

Agatha Christie

Uśpione morderstwo

przełożyła Anna Minczewska-Przeczek

Tytuł oryginału „Sleeping Murder”

I

Dom

Gwenda Reed stała na molu, lekko drżąc.

Doki, baraki urzędu celnego i widoczna z tego miejsca część Anglii łagodnie kołysały się jej przed oczami, unosząc i opadając.

I właśnie w tym momencie podjęła decyzję, której konsekwencją stały się niezwykle wydarzenia. Nie pojedzie promem do Londynu, choć to sobie wcześniej zaplanowała.

Właściwie dlaczego miałyby tam jechać? Nikt na nią nie czeka, nikt nie spodziewa się jej przyjazdu. Dopiero przed chwilą zesła z rozhuśtanego, trzeszczącego statku (ostatnie trzy dni, kiedy płynęli przez zatokę do Plymouth dały się jej zdrowo we znaki) i ponowne znalezienie się na rozkołysanym pokładzie było ostatnią z rzeczy, na jakie miałyby w tej chwili ochotę. Pójdzie do hotelu, pewnie i solidnie stojącego na twardym gruncie. I położy się do wygodnego, stabilnego łóżka, które nie będzie kołysało i trzeszczało. Wyśpi się, a rano - ależ tak, naturalnie - co za doskonały pomysł! Wynajmie samochód i powoli, bez pośpiechu, pojedzie sobie po południowej Anglii w poszukiwaniu domu - ładnego domku, jaki zgodnie z tym, co zaplanowali z Gilesem, ma dla nich znaleźć. Tak, to wspaniały pomysł.

Dzięki temu zobaczy trochę Anglii, o której Giles tyle jej opowiadał, a której ona sama jeszcze nie widziała na oczy, choć - jak większość Nowozelandczyków - nazywała ją swoją ojczyzną. W tej chwili Anglia nie przedstawiała się zbyt atrakcyjnie. Dzień był szary, zanosilo się na deszcz i wiał ostry, przenikliwy wiatr. Plymouth, pomyślała Gwenda, posłusznie przesuając się do odprawy paszportowej i celnej, nie jest zapewne najlepszą wizytówką Anglii.

Następnego ranka jej wrażenia diametralnie się zmieniły. Świeciło słońce. Za oknem rozciągał się atrakcyjny widok. A świat przestał się wreszcie kołysać i chwiać. Stał w miejscu. W końcu dotarła do Anglii - ona, Gwenda Reed, dwudziestojednoletnia młoda mężatka. Termin powrotu do Anglii jej męża nie był jeszcze pewny. Być może Giles przybędzie za parę tygodni.

Niewykluczone jednak, że zjawi się dopiero za pół roku. To właśnie on zasugerował, żeby Gwenda przyjechała tu wcześniej i rozejrzała się za jakimś odpowiednim dla nich domem. Oboje uważali, że byłoby dobrze mieć gdzieś stałą przystań. Praca Gilesa wiąże się co prawda z koniecznością podróżowania i czasami Gwenda będzie mu towarzyszyć, może się jednak okazać,

że warunki będą dla niej nieodpowiednie. Zresztą, obojgu podobał się pomysł posiadania jakiegoś własnego gniazdka. Ponadto Giles odziedziczył ostatnio trochę mebli po ciotce, kupienie domu wydawało się więc posunięciem rozsądnym i praktycznym.

Ich sytuacja materialna była całkiem dobra, perspektywa dużego wydatku nie stanowiła zatem problemu.

Początkowo Gwenda wzbraniała się przed samodzielnym wyborem.

- Powinniśmy to zrobić razem - przekonywała męża. Ale Giles zbyt żartem jej obawy.

- Nie na wiele bym ci się przydał - powiedział ze śmiechem. - Jeśli jakiś dom spodoba się tobie, to możesz być pewna, że mnie też. Chciałbym tylko, żeby miał kawałek ogródka. I nie był jednym z tych nowoczesnych paskudztw. No i wcale nie musi być bardzo duży. Najlepiej, gdyby znajdował się gdzieś na południowym wybrzeżu. W każdym razie niezbyt daleko od morza.

- Masz na myśli jakieś konkretne miejsce? - spytała Gwenda.

Ale Giles powiedział, że nie. Rodzice osierocili go we wczesnym dzieciństwie (oboje z Gwenda byli sierotami) i wakacje spędzał u różnych krewnych, wskutek czego nie czuł się przywiązany do żadnego szczególnego miejsca. Zresztą miał to być dom Gwendy. Jeśli zaś chodzi o wspólny wybór, załóżmy, że sprawy służbowe zatrzymają go jeszcze przez sześć miesięcy. Co by robiła przez cały ten czas? Tułała się po hotelach? Nie, musi znaleźć dom i urządzić go po swojemu.

- Chodzi ci o to - wytknęła mu Gwenda - żebyśmy zrobiła wszystko sama!

Ale w gruncie rzeczy pomysł wyszukania domu oraz urządzenia go - miło i przytulnie - na przyjazd Gilesa całkiem się jej podobał.

Byli zaledwie trzy miesiące po ślubie, a Gwenda bardzo kochała swojego męża.

Zjadła zamówione do łóżka śniadanie, po czym wstała i ułożyła plan działania. Dzień spędziła na zwiedzaniu Plymouth, które bardzo się jej spodobało. Następnego dnia zaś wynajęła wygodnego daimlera z kierowcą i wyruszyła w podróż po Anglii.

Pogoda dopisywała i wycieczka sprawiała Gwendzie dużą przyjemność. W Devonshire obejrzała kilka wystawionych na sprzedaż rezydencji, żadna jednak nie przypadła jej do gustu. Zresztą nie musiała się przecież spieszyć; mogła spokojnie szukać dalej. Bez trudu nauczyła się czytać między wierszami w entuzjastycznych opisach domów, dostarczanych przez pośredników, co pozwoliło jej oszczędzić przynajmniej kilku bezowocnych prób.

Mniej więcej po tygodniu, we wtorek wieczorem, samochód, którym podróżowała, zjechał krętą

drogą ze zbocza wzgórza i dowiózł ją do Dillmouth, mijając na obrzeżach tego ciągle jeszcze uroczego nadmorskiego kurortu widoczną między drzewami małą, białą wiktoriańską willę, przeznaczoną na sprzedaż.

Gwenda poczuła natychmiast dreszczyk emocji - zupełnie jakby rozpoznała miejsce, którego szukała. To jej dom! Była tego zupełnie pewna. Mogłaby naszkicować ogród, wysokie okna - och, tak, dom był właśnie taki, jakiego pragnęła.

Dzień miał się ku końcowi, spędziła więc noc w pobliskim hotelu Royal Clarence i z samego rana udała się do agencji nieruchomości, której nazwa widniała na tablicy informacyjnej przed willą.

Niedługo potem, dzierżąc w dłoni upoważnienie do oględzin posiadłości, stała w długim staromodnym salonie z dwoma francuskimi oknami wychodzącymi na wyłożony płytami chodnikowymi taras, za którym rozpościerał się porośnięty kwitnącymi krzewami ogródek skalny, stromo opadający ku rozległym trawnikom. A między drzewami, rosnącymi na skraju ogrodu, widać było morze.

To coś dla mnie - pomyślała Gwenda. - To mój dom. Czuję się tak, jakbym znała wszystkie jego zakamarki.

W tym momencie drzwi się otworzyły i do salonu weszła kichając wysoka, melancholijna kobieta. Była najwyraźniej zaziębiona.

- Pani Hengrave? Mam zezwolenie od panów Galbraitha i Penderleya. Ale może przyszłam zbyt wcześnie...

Pani Hengrave, wydmuchawszy nos, stwierdziła ponuro, że nie ma to najmniejszego znaczenia, i zaczęła oprowadzać Gwendę po domu.

Był dokładnie taki, jak potrzeba. Nie za duży. Niezbyt komfortowy, ale mogli sobie przecież z Gilesem zrobić jedną albo nawet dwie dodatkowe łazienki. Także i kuchnię można unowocześnić. Na szczęście jest bieżąca woda. Zmieni się zlew i wstawi nowe sprzęty...

W plany i projekty Gwendy wdzierał się monotonny głos pani Hengrave, relacjonującej szczegóły ostatniej choroby zmarłego majora Hengrave'a. Gwenda nieuważnie słuchała opowieści, pilnując się jedynie, by we właściwym momencie wyrazić współczucie i zrozumienie. Wszyscy krewni pani Hengrave mieszkają w hrabstwie Kent i namawiają ją, żeby przeniosła się gdzieś bliżej nich... to major tak ogromnie lubił Dillmouth, przez wiele lat był tu sekretarzem Klubu Golfowego, ale ona...

-Tak... naturalnie... okropne przeżycie... najzupełniej zrozumiałe... Tak, szpitale są właśnie takie... oczywiście... z pewnością jest pani...

Drugą połową świadomości Gwenda pośpiesznie rejestrowała: tu postawię bielizniarkę; myślę, że... Zgadza się. Pokój dwuosobowy - ładny widok na morze - spodoba się Gilesowi. O, ten mały pokoik też się przyda - Giles mógłby tu sobie urządzić garderobę... Łazienka - przypuszczam, że wanna ma mahoniową obudowę - och, tak, ma! Cudownie! I stoi na samym środku! Tego nie będę zmieniać - to arcydzieło tamtych czasów! Jaka ogromna wanna! Na obudowie można by położyć przybory toaletowe. I łódeczki... i malowane kaczuski. I udawać, że się jest na morzu... Już wiem: zamienimy ten ciemny dodatkowy pokój na dwie naprawdę nowoczesne łazienki, zielone, z chromowaną armaturą - rury nad kuchnią powinny być w porządku - a tę zachowamy taką, jaka jest...

- Zapalenie opłucnej - mówiła pani Hengrave. - Po trzech dniach rozwinęło się w obustronne zapalenie płuc...

- To straszne - współczująco stwierdziła Gwenda. - Czy na końcu tego korytarza nie ma aby jeszcze jednej sypialni?

Była - i to dokładnie taka, jaką sobie Gwenda wymarzyła: niemal okrągła, z dużym oknem w wykuszu. Oczywiście trzeba będzie ją odnowić. Jest co prawda w zupełnie niezłym stanie, ale dlaczego ludzie pokroju pani Hengrave tak ogromnie lubią ten musztardowo-herbatnikowy odcień farby?

Znów przeszły przez korytarz. Gwenda mruczała pod nosem, skrupulatnie zapisując w pamięci:

- Sześć, nie, razem z tą małą jest siedem sypialni i poddasze.

Deski podłogi lekko trzeszczały pod jej stopami. Czuła się już tak, jakby ten dom należał do niej, a nie do pani Hengrave. Ta melancholijna wdowa była tu intruzem - kobietą, która pomalowała pokoje na kolor musztardowo-herbatnikowy i której podoba się fryz z glicynii w salonie. Gwenda zerknęła na zapisaną na maszynie kartkę papieru, którą ścisnęła w dłoni. Były na niej informacje dotyczące tej posiadłości i ceny.

Przez ostatnie dni zdążyła się zorientować w cenach domów. Kwota, jakiej żądano za ten, nie była wysoka - dom wymagał co prawda modernizacji, ale mimo to... Zauważyła też przy cenie uwagę „do uzgodnienia”. Pani Hengrave widocznie bardzo zależy na przeniesieniu się do hrabstwa Kent, do „swoich”...

Miały właśnie zejść na dół, kiedy nagle Gwenda poczuła, że ogarnia ją fala irracjonalnego

przerżenia. Było to porażające uczucie, które minęło niemal równie szybko, jak się pojawiło. Pozostawiło jednak ślad.

- W tym domu... nie straszy, prawda? - spytała.

Pani Hengrave stojąca stopień niżej i zbliżająca się w swej opowieści do momentu, w którym pan Hengrave zaczął szybko tracić siły, spojrzała w górę z miną świadcząca, że czuje się urażona.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Dlaczego pani o to pyta?... Czyżby ktoś sugerował coś takiego?

- Nigdy pani nie odczuła ani nie widziała tu niczego, co... Czy nikt tu nie umarł?

Niezbyt fortunne pytanie - pomyślała Gwenda o moment za późno - zapewne bowiem major Hengrave...

- Mąż mój umarł w szpitalu Świętej Moniki - oświadczyła chłodno pani Hengrave.

- Och, naturalnie. Wspomniała już pani o tym.

- W domu zbudowanym jakieś sto lat temu - kontynuowała pani Hengrave tym samym lodowatym tonem - zgony wydają się czymś naturalnym. Jednakże panna Elwor-thy, od której mój drogi mąż nabył ten dom siedem lat temu, cieszyła się doskonałym zdrowiem, planowała nawet wyjazd za granicę i zajęcie się pracą misjonarską. I nic nie wspominała o żadnych zejściach w jej rodzinie w ostatnim okresie.

Gwenda pośpiesznie usiłowała załagodzić rozdrażnienie pani Hengrave. Znajdowały się znów w salonie. Był to pełen spokoju, czarujący pokój, który budził nastrój dokładnie odpowiadający oczekiwaniom Gwendy. Chwilowa panika, jaka nią przed momentem owładnęła, teraz wydawała się niezrozumiała. Co też jej przyszło do głowy? Ten dom jest absolutnie w porządku.

Zapytawszy panią Hengrave, czy mogłaby jeszcze obejrzeć ogród, wyszła na taras.

Tu powinny być stopnie prowadzące na trawnik - pomyślała.

Rósł tam jednak zamiast tego gęszcz wyjątkowo dorodnych forsycji, skutecznie przesłaniających widok na morze.

Gwenda przytaknęła swoim myślom. Tak, pozmienia tu wszystko.

Ruszyła za panią Hengrave wzdłuż tarasu i zeszła na trawnik schodkami, znajdującymi się na odległym krańcu. Ogródek skalny był zaniedbany i zarośnięty, a większość kwitnących krzewów wymagała przycięcia.

Pani Hengrave mruczała przepaszająco, że ogród jest dość zapuszczony. Mogli sobie pozwolić na ogrodnika jedy-

nie dwa razy w tygodniu. A i tak zdarzało się często, że nie przychodził, chociaż był umówiony.

Obejrzały niewielki, ale zupełnie wystarczający warzyw-nik, po czym wróciły do domu. Gwenda powiedziała, że ma jeszcze do obejrzenia inne domy i chociaż Hillside (co za pospolita nazwa!) bardzo się jej podoba, nie może w tej chwili podjąć decyzji.

Pani Hengrave pożegnała ją rzewnym spojrzeniem i potężnym kichnięciem.

Prosto z Hillside Gwenda wróciła do agentów, złożyła im poważną ofertę kupna posiadłości, a resztę poranka spędziła spacerując po Dillmouth. Było to urocze, staroświeckie nadmorskie miasteczko. W odległej „nowoczesnej” dzielnicy znajdowało się co prawda kilka wyglądających na nowo wybudowane hoteli i trochę surowych bungalowów, ale położenie geograficzne, linia wybrzeża i otaczające wzgórza uchroniły Dillmouth przed nadmierną ekspansją.

Po lunchu zadzwonili do Gwendy agenci z informacją, że pani Hengrave przyjęła jej ofertę.

Figlarnie uśmiechając się do siebie Gwenda poszła na pocztę, skąd nadała telegram do Gilesa.

KUPIŁAM DOM. UCAŁOWANIA. GWENDA.

Powinno go to zaskoczyć - pomyślała z dumą. - Przekona się, że nie zasypiam gruszek w popiele!

II

Tapeta

Minął miesiąc i Gwenda wprowadziła się do Hillside. Odebrała z magazynu meble po ciotce Gilesa i ustawiła je w domu. Były to solidne, staromodne sprzęty. Jedna czy dwie szafy okazały się zbyt duże i trzeba je było sprzedać, ale cała reszta doskonale pasowała i odpowiadała charakterem domowi. Małe, kolorowe stoliki, wykładane masą perłową i malowane w pałace oraz róże, wstawiła do salonu. Stały tam ponadto: wykwintny stolik do robótek z przymocowanym pod blatem woreczkiem z surowego jedwabiu, biurko z drzewa różanego oraz mahoniowa ława.

Kilka wygodnych krzeseł Gwenda rozmieściła w sypialniach, dokupiła też dwa duże, miękkie fotele dla siebie oraz Gilesa i ustawiła je po obu stronach kominka. Wielka sofa w stylu chesterfield znalazła swoje miejsce przy oknie. Zaslony zaś zostały uszyte ze staromodnego perkalu, niebieskiego, z delikatnym deseniem z wazoników róż i żółtych ptaszków. W efekcie salonik wyglądał -jej zdaniem - dokładnie tak, jak powinien.

Właściwie jeszcze nie zdążyła się w pełni zadomowić, nadal bowiem kręcili się po domu robotnicy. Powinni już dawno skończyć, ale słusznie uznała, że nie wyniosą się, jeśli ona nie zamieszka w domu.

Kuchnia została już przebudowana, a nowe łazienki właśnie wykańczano. Gwenda zamierzała wstrzymać się nieco

z dalszym ozdabianiem wnętrza. Chciała się najpierw nacieszyć domem i spokojnie dobrać najodpowiedniejsze kolory do sypialni. Dom był w bardzo dobrym stanie i wcale nie musiała wszystkiego robić naraz.

W kuchni urzędowała już pani Cocker, odnosząca się z protekcjonalną łaskawością do Gwendy, której nadmiernie demokratyczne nastawienie natychmiast odparła. Ale też osadziwszy raz swoją pracodawczynię na właściwym miejscu, zaczęła przejawiać chęć przełamania chłodu w ich stosunkach.

Tego ranka, kiedy Gwenda po przebudzeniu usiadła w łóżku, pani Cocker postawiła jej na kolanach tacę z posiłkiem.

- Gdy nie ma pana domu - oświadczyła - dama chętnie jada śniadanie w łóżku.

Gwenda nagięła się posłusznie do tego rzekomo angielskiego nakazu.

- Dzisiaj mamy jajecznicę - skomentowała pani Cocker przyniesione danie. - Wspominała pani co prawda o wędzonym łupaczu, ale nie chciałyby pani przecież jeść czegoś takiego w sypialni. Pozostawia po sobie zapach. Podam go na kolację, w śmietanie, na grzance.

- Och, bardzo dziękuję.

Pani Cocker uśmiechnęła się łaskawie i ruszyła w stronę wyjścia.

Gwenda nie zajmowała na razie dużej dwuosobowej sypialni. Zamierzała poczekać z tym do przyjazdu Gilesa. Tymczasem wybrała dla siebie pokój na końcu korytarza, o zaokrąglonych ścianach i z wykuszowym oknem. Odpowiadał jej i czuła się w nim szczęśliwa.

- Bardzo mi się tu podoba - oświadczyła impulsywnie, rozglądając się po pomieszczeniu.

Pani Cocker także popatrzyła pobłaźliwie wokół siebie.

- Tak, proszę pani, to całkiem ładny pokoik, chociaż ma-

ły. Sądząc po kratkach w oknie, odnoszę wrażenie, że musiał to być kiedyś pokój dziecinnny.

- Nie przyszło mi to do głowy. Zapewne ma pani rację.

- No cóż - westchnęła pani Cocker znacząco, po czym wyszła.

Kiedy przyjedzie pan domu - zdawała się sugerować - to kto wie? Być może pokój dziecinnny się przyda.

Gwenda zarumieniła się i znów popatrzyła dokoła. Pokój dziecinnny? Tak, nadawałby się do tego. Zaczęła go w myślach meblować. Tu, pod ścianą, stanąłby duży domek dla lalek. A w nim niskie szafki z zabawkami. Na kominku wesoło płonąłby ogień, wokół niego postawiłaby zaś wysoki ekran z przyczepionymi na lince zabawkami. Tylko te okropne musztardowe ściany! Tu przecież powinna być wesoła tapeta. Coś kolorowego i radosnego. Na przykład małe bukietki maków i chabrow... Tak, to by było cudowne. Postara się znaleźć tapetę z takim wzorkiem. Z całą pewnością gdzieś już ją widziała.

Wcale nie potrzeba tu dużo mebli. Są dwie szafy ścienne, tyle że jedna, w rogu pokoju, jest zamknięta i nie ma do niej klucza. Drzwiczki były zamalowane farbą - najwyraźniej nie zaglądano do niej od bardzo dawna. Musi powiedzieć robotnikom, żeby ją otworzyli, bo i tak nie ma dość miejsca na swoje ubrania.

Z każdym dniem czuła się coraz bardziej zadomowiona w Hillside. Usłyszawszy przez otwarte okno dochodzące z ogrodu głębokie pochrząkiwanie i suchy kaszel, pośpiesznie zabrała się do śniadania. Foster, zatrudniony na godziny kapryśny ogrodnik, który nie zawsze dotrzymywał

słowa, najwyraźniej dzisiaj przyszedł o umówionej porze.

Gwenda wykapała się, ubrała w tweedową spódnicę i sweter, po czym pospiesznie wyszła do ogrodu. Foster pracował przed oknem salonu. Gwenda zażyczyła sobie, by w pierwszej kolejności na wprost francuskiego okna zrobił ścieżkę przez ogródek skalny. Foster najpierw sprzeciwił się temu, twierdząc, że będzie musiał w tym celu wyrwać forsycje, azjatyckie weigele oraz lilie, Gwenda była jednak nieugięta. Ogrodnik zmienił więc zdanie i obecnie podchodził do swojego zadania niemal entuzjastycznie.

Tego ranka przywitał Gwendę ze śmiechem.

- Wygląda na to, że panienka przywraca tu dawne czasy. - Upierał się przy rym, żeby nazywać Gwendę „panienką”.

- Dawne czasy? Jak to?

Foster postukał szpadlem w grunt.

- Natrafiłem na stare schodki. O, widzi panienka? Szły dokładnie tak, jak panienka życzy sobie je mieć. Ktoś musiał je zakryć ziemią i posadzić krzaki.

- I zrobił bardzo głupio - skomentowała Gwenda. - Tu się aż prosi, żeby z salonu była aleja na trawnik i dalej, do morza.

Foster nie był co do tego przekonany, ale ostrożnie i z chmurną miną przytaknął.

-Nie mówię przecież, że to nie będzie ulepszenie... Będziecie mieli widok, a przez te krzaki to w salonie było ciemno. Szkoda tylko tych pięknych roślin. Nigdy jeszcze nie widziałem ładniejszego gąszczu forsycji. Mniejsza o lilie, ale znowu weigele są drogie, a musi panienka wiedzieć, że te tutaj są za stare, żeby je przesadzać.

- Och, wiem. Ale tak jest o wiele, wiele ładniej.

- No cóż - Foster podrapał się w głowę. - Może i tak.

- Jest tak, jak powinno być - powiedziała Gwenda, kiwając głową. - Kto tu mieszkał przed Hengrave'ami? - zapytała nagle. - Bo oni tu byli niezbyt długo, prawda?

- Jakieś sześć lat czy coś koło tego. Ale traktowano ich jak obcych. A przed nimi? Panny Elworthy. Ogromnie religijne. Należały do Low Church. Urodzone misjonarki. Kiedyś to nawet mieszkał u nich czarny kleryk. Było ich cztery siostry i brat, ale on nie miał wiele do powiedzenia przy tylu

kobietach. A jeszcze przed nimi? Zaraz, niech pomyślę... pani Findeyson. O, to była kobieta z klasą. Tutejsza. Mieszkała tu, jak mnie jeszcze nie było na świecie.

- Czy umarła w tym domu?

- Nie. W Egipcie czy jakimś takim miejscu. Ale sprowadzono jej ciało. I pochowano na cmentarzu. To ona posadziła tę magnolię oraz tamte szczodrzenie. A także te pospomi-ce. Bardzo lubiła krzewy. Wtedy - ciągnął - nie było jeszcze tych nowych domów na wzgórzu. Mieszkało się jak na wsi. Żadnego kina ani nowych sklepów. Ani tej tu promenady przed posiadłością! -W jego tonie wyczuwało się dezaprobatę, z jaką starsi ludzie reagują na wszelkie innowacje. -Zmiany - prychnął pogardliwie. - Nic, tylko same zmiany.

- Myślę, że świat się musi zmieniać - rzekła Gwenda. -Poza rym mamy teraz mnóstwo ulepszeń, prawda?

- Tak mówią. Ale ja tam wcale tego nie widzę. Zmiany! -Wyciągnął rękę w stronę rosnącego na zboczu po lewej stronie gąszczu cyprysów, przez który przeświecały ściany budynku. - Kiedyś mieliśmy tu mały szpital - powiedział. -W ładnym miejscu, blisko. A potem przyszli tacy jedni i zbudowali wielki gmach, jakąś milę za miastem. Trzeba iść dwadzieścia minut na piechotę albo dojechać autobusem za trzy pensy. - Znów wskazał ręką zarośla. - A tam jest teraz szkoła dla dziewcząt. Wprowadziły się tu z dziesięć lat temu. Ciągłe jakieś zmiany. Teraz to ludzie kupują sobie dom, pomieszkają w nim dziesięć czy dwanaście lat i znowu go sprzedają. Nie mogą usiedzieć na miejscu. Co w tym dobrego? Nie da się dobrze rozplanować ogrodu, kiedy człowiek nie ma przed sobą dłuższej perspektywy.

Gwenda popatrzyła z sympatią na magnolię.

- Jak za pani Findeyson - powiedziała.

- O, ona była jak trzeba. Przyszła tu jako panna młoda. Wychowała i pożeniła dzieci, pochowała męża, wnuki przyjeżdżały do niej na wakacje, a ruszyła się stąd dopiero, jak miała koło osiemdziesiątki. - W głosie Fostera dźwięczała pełna ciepła aprobata.

Gwenda wróciła do domu uśmiechnięta. Chwilę porozmawiała z robotnikami, a następnie poszła do salonu, gdzie usiadła przy biurku i napisała kilka listów. Pośród korespondencji, na którą jeszcze nie odpowiedziała, znajdował się list od mieszkających w Londynie kuzynów Gilesa. Pisali, że jeśli tylko zechce przyjechać do Londynu, koniecznie musi się zatrzymać w ich domu w Chelsea.

Gwenda wiedziała, że Raymond West był znanym (bardziej niż popularnym) powieściopisarzem, a jego żona Joan - malarką. Pobyt u nich mógł być zabawny, choć zapewne uznaliby ją za osobę bardzo ograniczoną. Ani Giles, ani ja nie mamy zacięcia na intelektualistów - pomyślała

Gwenda.

Nagle w korytarzu rozległ się dźwięczny gong. Oprawny w rzeźbiony heban gong był jednym z bardziej wartościowych przedmiotów odziedziczonych po ciotce Gilesa. A pani Cocker czerpała, jak się zdaje, szczególną przyjemność z wywoływania jego dźwięku, wskutek czego zawsze robiła to z całej mocy. Gwenda zasłoniła rękami uszy i wstała.

Przeszła pospiesznie przez salon w stronę ściany przy najodleglejszym oknie i zatrzymała się gwałtownie z okrzykiem gniewu. Trzeci raz robiła to samo. Zupełnie jakby się spodziewała, że uda jej się przejść przez ścianę do znajdującej się tuż obok jadalni.

Wróciła do drzwi, wyszła na główny korytarz i ruszyła nim, obchodząc salon, do jadalni. Miała do pokonania sporą odległość i przyszło jej do głowy, że z pewnością w zimie będzie to irytujące, w korytarzu hulały bowiem przeciągi, a centralne ogrzewanie zainstalowano jedynie w salonie, jadalni i dwóch sypialniach na pięterku.

Właściwie - rozmyślała Gwenda, zasiadłszy za ślicznym sheratonowskim stołem jadalnym, który kupiła w miejsce masywnego, kwadratowego stołu z mahoniu, odziedziczonego po ciotce Lavender - dlaczego miałabym nie zrobić drzwi łączących salon z jadalnią? Muszę porozmawiać o tym dziś po południu z panem Simsem.

Pan Sims zajmował się budowaniem i remontowaniem domów. Był mężczyzną w średnim wieku, o ochryłym głosie i wielkim darze przekonywania. Nosił zawsze przy sobie notes, w którym skwapliwie zapisywał wszelkie kosztowne pomysły, jakie tylko przychodziły do głowy jego zleceniodawcom.

Także do sugestii Gwendy odniósł się z pełną aprobatą.

- Nic prostszego, pani Reed. A jednocześnie to istotne ulepszenie, jeśli mi wolno ocenić.

- Czy to będzie bardzo dużo kosztowało?

Gwenda nauczyła się odnosić z lekką rezerwą do entuzjastycznych reakcji pana Simsa. Odbyli już kilka nieprzyjemnych rozmów, związanych z różnymi dodatkowymi kosztami, których nie przewidywał sporządzony przez pana Simsa kosztorys.

- Och, to zupełny drobiazg - odparł pan Sims, a jego chrapliwy głos brzmiał pobłaźliwie i uspokajająco.

Wątpliwości Gwendy nasiliły się. To właśnie tym „drobiazgom” pana Simsa nauczyła się nie ufać.

- Powiem pani, co zrobimy - stwierdził pan Sims przymilnie. - Jak tylko Taylor skończy dziś po

południu z garderobą, polecę mu, żeby się temu przyjrzał. I wtedy będę mógł to wycenić. Zobaczymy, jaka tu jest ściana.

Gwenda przystała na to. Napisała do Joan West list z podziękowaniem za zaproszenie, jednocześnie informując, że nie może teraz wyjechać z Dillmouth, musi bowiem mieć oko na robotników. Następnie przeszła się trochę przed domem, z przyjemnością wdychając lekki wietrzyk od morza. Kiedy wróciła do salonu, Taylor, najlepszy robotnik pana Simsa, stał pochylony w rogu pokoju i przyglądał się ścianie. Na widok Gwendy wyprostował się i uśmiechnął.

- Nie będzie z tym żadnego problemu, pani Reed - powiedział. - Kiedyś już były w tym miejscu drzwi. Ktoś nie chciał ich mieć i po prostu zagipsował otwór.

Gwenda poczuła się mile zaskoczona. Jakie to niezwykle - pomyślała - bo ja właśnie zawsze miałam wrażenie, że tu są drzwi. Przypomniała sobie, z jaką pewnością podeszła do tej ściany w porze lunchu. I na myśl o tym odczuła nagle lekki dreszcz niepokoju. Bo właściwie, jak o tym pomyśleć, wydawało się to dość dziwne. Z jakiego powodu była taka pewna, że tu są drzwi? Przecież na ścianie nie było po nich ani śladu. Jak to możliwe, że odgadła - czy wiedziała - że one tu są? Naturalnie byłoby wygodnie mieć drzwi z salonu do jadalni, ale dlaczego za każdym razem szła nieomylnie właśnie w to miejsce? Przecież każde inne na ścianie dzielącej oba pomieszczenia byłoby równie dobre. Ona jednak zawsze machinalnie, myśląc o czymś innym, podchodziła tu, gdzie rzeczywiście były drzwi.

Mam nadzieję - pomyślała Gwenda z niepokojem - że nie jestem jasnowidzem czy czymś takim... Nigdy przedtem nie przejawiała ani śladu zdolności metafizycznych. Nie była tego typu osobą. A może jednak? Jak inaczej wytłumaczyć tę sprawę ze ścieżką z tarasu przez zarośla do trawnika? Może wiedziała, że ścieżka była tam wcześniej, skoro tak bardzo się upierała, aby poprowadzić ją właśnie tędy?

Zapewne jednak mam w sobie coś z medium - pomyślała Gwenda z niepokojem. - A może ma to jakiś związek z tym domem?

Bo dlaczego zapytała tamtego dnia panią Hengrave, czy tu nie straszy?

Nie straszy! To najwspanialszy dom na świecie! Wykluczone, żeby było z nim coś nie w porządku. Pani Hengrave wydawała się ogromnie zaskoczona tym pomysłem Gwendy. A może w jej reakcji był jednak jakiś ślad rezerwy, ostrożne-

ści? Wielkie nieba! Zaczynam wymyślać niestworzone historie - pomyślała Gwenda. Z pewnym

wysiłkiem skoncentrowała się na rozmowie z Taylorem.

- Jest jeszcze jedna sprawa - powiedziała. - W moim pokoju na piętrze nie można otworzyć szafki. Chciałabym, żeby ją zreperowano.

Mężczyzna poszedł wraz z nią na górę i przyjrzał się drzwiczkom.

- Zostały kilkakrotnie zamalowane - orzekł. - Przyślę jutro robotników, żeby je otworzyli, jeśli pani sobie tego życzy.

Gwenda przytaknęła i Taylor wyszedł.

Tego wieczoru Gwenda czuła się niepewna i podenerwowana. Siedziała w salonie próbując czytać, reagowała jednak na każde skrzypnięcie mebli. Raz czy dwa obejrzała się za siebie z drżeniem. Nieustannie usiłowała wytłumaczyć sobie, że te incydenty z drzwiami i ścieżką nie mają znaczenia. Zwykły zbieg okoliczności. Wynikły jedynie ze zdrowego rozsądku.

Nie przyznałaby się do tego otwarcie, ale trochę się bała iść spać. Kiedy w końcu wstała, zgasiła światło i otworzyła drzwi do holu, uświadomiła sobie, że odczuwa lęk przed wejściem na schody.

Przebiegła je pośpiesznie, przemknęła przez korytarzyk i otworzyła drzwi do swojej sypialni.

Znalazłszy się w środku, odetchnęła głęboko. Strach minął jak ręką odjął. Z sympatią rozejrzała się po pokoju. Czuła się tu bezpieczna; bezpieczna i szczęśliwa. Tak, tu już jej nic nie groziło. (A co ci mogło grozić, idiotko? - strofowała się w myślach.) Popatrzyła na rozłożoną na łóżku pidżamę i stojące pod nią kapcie.

Naprawdę zachowujesz się jak sześciolatka! Powinnaś mieć filcowe kapciuszki haftowane w króliczki.

Położyła się do łóżka z uczuciem ulgi i wkrótce zasnęła.

Następnego ranka miała do załatwienia kilka spraw w miasteczku. Wróciła do domu w porze lunchu.

- Szafka w pani pokoju jest już otwarta - poinformowała pani Cocker, podając jej delikatnie podsmażoną solę z tłuczonymi ziemniakami i marchewką w śmietanie.

- Och, to dobrze - odparła Gwenda.

Była głodna i z apetytem zjadła lunch. Po wypiciu w saloniku kawy poszła na górę do swojej sypialni. Przeszła przez pokój, otworzyła drzwiczki szafki w rogu... i nagle wydała z siebie stłumiony okrzyk przerażenia.

Wnętrze szafki wyłożone było tapetą, którą na ścianach zastąpiono żółtawą farbą. Okazało się, że pokój był niegdyś wyłożony wesołym papierem w kwiatowy deseń, który tworzyły małe

bukieciki szkarłatnych maków na przemian z bukiecikami błękitnych chabrów...

Przez długą chwilę Gwenda stała w miejscu i wpatrywała się w szafkę, po czym niepewnym krokiem podeszła do łóżka i usiadła.

Oto znajdowała się w domu, w którym nigdy przedtem nie była, w kraju, którego nigdy przedtem nie odwiedzała. Zaledwie dwa dni temu leżała tu w łóżku, wyobrażając sobie, jakie chciałaby mieć ściany w tym pokoju - i okazuje się, że tapeta, którą sobie wyobraziła, jest identyczna z tą, jaka niegdyś znajdowała się tu na ścianach.

W głowie kłębiły się jej najdziwniejsze wyjaśnienia tej zagadki. Dunne, „Eksperyment z czasem” - patrzenie w przyszłość zamiast za siebie...

Mogła sobie tłumaczyć jako zbieg okoliczności ścieżkę w ogrodzie i drzwi w salonie - ale to nie dało się tak prosto wyjaśnić. Nie może być jednak dziełem przypadku, iż wyobraziła sobie tapetę o tak szczególnym wzorku, a następnie okazało się, że właśnie taką był niegdyś wyłożony ten pokój... Nie, musi być jakieś wytłumaczenie, którego nie zna i które... ją przeraża. W tym domu co chwila przekonywała

się, że patrzy nie tyle w przyszłość, co właśnie w przeszłość, że przywraca domowi jego dawny wygląd. W każdej chwili mogła zacząć widzieć jeszcze coś - coś, czego wcale nie chce oglądać. Ten dom ją przeraża... Ale czy to dom budzi jej przerażenie, czy ona sama? Nie ma najmniejszej ochoty być jedną z tych, co to „widzą”...

Odetchnęła głęboko, nałożyła kapelusz i płaszcz, po czym szybko wymknęła się z domu. Poszła na pocztę, gdzie nadała telegram następującej treści:

WEST, 19 ADDWAY SQUARE CHELSEA LONDYN. CZY MOGĘ ZMIENIĆ ZDANIE I PRZYJECHAĆ DO WAS JUTRO. GWENDA.

I opłaciła odpowiedź.

III

„Twarz jej zakryjcie...”

Raymond West i jego żona dokładali wszelkich starań, by młoda żona Gilesa czuła się w ich domu dobrze. Nie było ich winą, że wydali się Gwendzie nieco przerażający. Raymond ze swoim dziwnym wyglądem drapieżnego kruka, z rozwianymi włosami i nagłymi okrzykami w trakcie niezrozumiałej dla niej konwersacji sprawiał, że zaniepokojona Gwenda spoglądała na niego oczami okrągłymi jak spodki. Oboje z Joan zdawali się porozumiewać jakimś własnym językiem. Gwenda nigdy dotąd nie obracała się w towarzystwie intelektualistów i nie znała obowiązujących w nim norm.

- Zaplanowaliśmy, że zabierzemy cię na kilka przedstawień - oświadczył Raymond, kiedy Gwenda popijała gin, myśląc jednocześnie z żalem, że po podróży wolałaby zostać poczęstowana filiżanką herbaty.

Słyszając o teatrze natychmiast się rozpromieniła.

- Dziś wieczorem pójdziemy na balet do Sadler's Wells, a na jutro, z okazji urodzin mojej absolutnie niesamowitej ciotki Jane, przewidzieliśmy wyjście na „Tragedię księżny Amalfi” z Gielgudem. W piątek natomiast musisz zobaczyć „Oni maszerowali bez stóp”. To tłumaczenie z rosyjskiego; niewątpliwie najwybitniejszy utwór ostatniego dwudziestolecia. Wystawiają to w małym Witmore Theatre.

Gwenda z wdzięcznością przyjęła te propozycje dostarczenia jej rozrywki. Na musicale i tym podobne spektakle będzie przecież mogła chodzić z Gilesem po jego przyjeździe. Wzdragła się nieco na myśl o sztuce „Oni maszerowali bez stóp”, ale być może też się jej spodoba - choć zazwyczaj te „najwybitniejsze” przedstawienia nie budziły jej zachwyty.

- Z pewnością będziesz zachwycona moją ciotką Jane - oświadczył Raymond. - Jest, że tak powiem, doskonałym okazem swojej epoki. Wiktoriańska do szpiku kości. Wszystkie komódki w jej domu mają nogi owinięte perkalem. Mieszka w wiosce, w której nigdy nic się nie dzieje, przypominającej stojącą wodę.

- Raz coś się tam wydarzyło - wtrąciła sucho Joan.

- Był to zaledwie dramat namiętności, prymitywny, pozbawiony wszelkiej subtelności.

- Ale kiedy się to działo, byłeś nim ogromnie zafascynowany - przypomniała mu żona, robiąc

oko.

- Czasem bawi mnie także gra w wiejskiego krykieta -odparł z godnością Raymond.
- W każdym razie ciotka Jane odegrała znaczącą rolę w rozwikłaniu tego morderstwa.
- Och, bo ona nie jest głupia. Uwielbia wszelkie zagadki.
- Zagadki? - zdziwiła się Gwenda. Raymond zatoczył ręką szeroki łuk.
- Wszelkiego rodzaju. .Na przykład, dlaczego żona sklepikarza wzięła parasolkę idąc na zebranie parafialne, jeśli była ładna pogoda. Albo czemu cząstka marynowanej krewetki znalazła się w tym, a nie innym miejscu. I co się stało z komżą proboszcza. Wszystko to stanowi smakowite kąski dla ciotki Jane. Jeśli masz więc jakiś życiowy problem, Gwendo, to wystarczy, że jej o tym powiesz, a zapewniam cię, że znajdzie rozwiązanie.

Raymond roześmiał się. Gwenda przyłączyła się do niego, ale nie do końca szczerze. Następnego dnia została przed-

stawiona ciotce Jane, czyli panie Marple. Była to sympatyczna starsza pani, wysoka i chuda, z rumianymi policzkami i niebieskimi oczami, przestrzegająca dość wyszukanych form zachowania. W jej niebieskich oczach często zapalały się iskierki.

Po wczesnym obiedzie, w czasie którego wypito toast za zdrowie ciotki, wszyscy goście udali się do Teatru Królewskiego. Prócz solenizantki, Joan, Raymonda i Gwendy w towarzystwie było jeszcze dwóch panów: starszy malarz i młody adwokat. Malarz skupił całą swoją uwagę na Gwendzie, a adwokat zajmował się Joan i panną Marple, której spostrzeżenia zdawały się bardzo go bawić. W teatrze układ uległ jednak odwróceniu. Gwenda usiadła w środku rzędu, między Raymondem a adwokatem.

Zgasły światła; rozpoczęło się przedstawienie.

Było wyśmienicie grane i ogromnie się Gwendzie podobało. Dotychczas widziała niewiele naprawdę dobrych spektakli teatralnych.

Akcja zbliżała się do końca i nadszedł moment najwyższego napięcia. Ze sceny rozległ się głos aktora, przepełniony tragizmem skrzywionej i perwersyjnej umysłowości:

- „Twarz jej zakryjcie. W oczach mi się mąci. Młodo umarła...”¹

W tym momencie Gwenda krzyknęła.

Zerwała się z miejsca, po omacku wymijając pozostałych widzów dotarła do przejścia, a stamtąd do wyjścia. Pędem pokonała schodki w górę i wybiegła na ulicę. Ale i tam się nie zatrzymała. W ślepej panice na wpół szła, na wpół biegła po Haymarket.

Dopiero przy Piccadilly zauważyła przejeżdżającą ulicą wolną taksówkę, zatrzymała ją, wsiadła i podała adres domu w Chelsea. Na miejscu wysupłała drżącymi palcami pienią-

' Przekład Macieja Słomczyńskiego

dze, zapłaciła taksówkarzowi i weszła na schody. Służący, który otworzył drzwi, rzucił jej spojrzenie pełne zdumienia.

- Wcześniej pani wróciła. Źle się pani czuje?

- Ja... nie, to znaczy tak... jest mi słabo.

- Czy potrzeba pani czegoś? Może trochę brandy?

- Nie, dziękuję. Położę się od razu do łóżka. Wbiegła na schody, unikając dalszych pytań.

Ściągnęła ubranie, pozostawiła je rzucone na podłodze

i wsunęła się pod kołdrę. Leżała rozdygotana, z mocno bijącym sercem, wpatrując się w sufit.

Nie usłyszała, kiedy wrócili pozostali domownicy, ale po jakichś pięciu minutach otworzyły się drzwi i do pokoju wkroczyła panna Marple. Pod pachą ścisnęła dwa termofory, a w dłoni filiżankę.

Gwenda usiadła w łóżku, usiłując powstrzymać drżenie.

- Och, panno Marple, tak mi strasznie przykro. Nie wiem, co... to było okropne z mojej strony. Czy bardzo się na mnie rozgniewali?

- Nie martw się o nic, moje drogie dziecko - odparła panna Marple. - Weź te termofory i otul się ciepło.

- Kiedy ja właściwie nie potrzebuję termoforów.

- Ależ owszem, potrzebujesz. O, tak jest dobrze. I napij się herbaty...

Herbata była gorąca, mocna i przesłodzona, ale Gwenda wypijała ją posłusznie. Nie drżała już tak bardzo.

- A teraz połóż się i śpij - poradziła panna Marple. - Przeżyłaś zapewne jakiś szok. Ale porozmawiamy o tym jutro. Niczym się nie martw. Po prostu się wyśpij.

Otuliła Gwendę kołdrą, pogładziła ją z uśmiechem i wyszła.

Na dole Raymond rozmawiał z Joan.

- Co się u licha stało tej dziewczynie? - pytał z irytacją. - Rozchorowała się czy co?

- Mój drogi Raymondzie, nie mam pojęcia, po prostu

krzyknęła! Przypuszczam, że było to dla niej trochę za dużo macabre.

- No cóż, Webster faktycznie jest nieco przerażający. Ale nie przyszłoby mi na myśl... - przerwał,

kiedy do pokoju weszła panna Marple. - Wszystko z nią w porządku?

- Myślę, że tak. Po prostu przeżyła ciężki szok.

- Szok? Wskutek oglądania dramatu jakobińskiego?

- Myślę, że musi się za tym kryć coś więcej - odparła w zamyśleniu panna Marple.

Śniadanie podano Gwendzie do łóżka. Wypiła kawę, do której skubnęła kawałek grzanki. Kiedy wstała i zeszła na dół, Joan malowała już w swoim studiu, a Raymond pracował w gabinecie. W salonie była jedynie panna Marple. Siedziała przy oknie, z którego rozciągał się widok na rzekę, zajęta robótką na drutach. Przywitała Gwendę pogodnym uśmiechem.

- Dzień dobry, moja droga. Mam nadzieję, że czujesz się dziś lepiej.

- Och tak, całkiem dobrze. Zupełnie nie rozumiem, jak to się stało, że zrobiłam wczoraj z siebie taką skończoną idiotkę. Czy oni są... czy oni są na mnie wściekli?

- Och, nie, moja droga. Oni to doskonale rozumieją.

- Co rozumieją?

Panna Marple spojrzała na Gwendę znad robótki.

- Że ubiegłej nocy przeżyłaś jakiś silny szok. Czy nie byłoby lepiej - dodała - żebyś mi o tym opowiedziała?

Gwenda przemierzała nerwowo pokój.

- Myślę, że powinnam raczej pójść do psychiatry czy do kogoś takiego.

- W Londynie są, oczywiście, doskonali specjaliści od chorób psychicznych. Czy jesteś jednak zupełnie pewna, że to konieczne?

- Cóż... Wydaje mi się, że popadam w obłęd... Z pewnością popadam w obłęd.

W tym momencie do salonu weszła niemłoda pokojówka z tacą, na której leżał telegram dla Gwendy.

- Posłaniec chciałby wiedzieć, czy będzie odpowiedź, proszę pani?

Gwenda rozerwała kopertę. Telegram został przesłany z Dillmouth. Przez chwilę patrzyła na niego z taką miną, jakby nie rozumiała ani słowa, po czym zgmiotła go w małą kulkę.

- Bez odpowiedzi - odparła machinalnie. Pokojówka wyszła.

- Mam nadzieję, że to nie była żadna zła wiadomość, moja droga?

- To od Gilesa... mojego męża. Zdecydował się lecieć samolotem. Będzie tu za tydzień.

W głosie Gwendy zabrzmiało zakłopotanie i przygnębienie. Panna Marple zakasłała dyskretnie.

- No cóż... to z pewnością... bardzo miłe, prawda?

- Miłe? Teraz, kiedy nie jestem pewna, czy nie zwariowałam? Jeżeli jestem szalona, to nie powinnam była przecież wychodzić za mąż za Gilesa. I ten dom, i w ogóle wszystko. Och, już sama nie wiem, co robić.

Panna Marple poklepała sofę zapraszającym gestem.

- A może byś tak usiadła tu przy mnie, moja droga, i po prostu opowiedziała mi, o co tu chodzi? Gwenda przyjęła zaproszenie z uczuciem ulgi. Wyznała starszej pani dokładnie wszystko, poczynając od pierwszego wrażenia, jakie odniosła patrząc na Hillside, i opisała kolejno incydenty, które początkowo budziły jej zdumienie, a potem zaczęły ją martwić.

- I doszło do tego, że zaczęłam się bać - skończyła. - Myślałam, że przyjeżdżając do Londynu uwolnię się od tego wszystkiego. Ale, jak pani widzi, nie mogę się uwolnić. To coś towarzyszy mi i tu. Ubiegłej nocy... - zaciśnęła powieki i głośno przełknęła ślinę, przypominając sobie tamto wydarzenie.

- Ubiegłej nocy? - podpowiedziała jej panna Marple.

- Boję się, że pani w to nie uwierzy - Gwenda mówiła teraz bardzo szybko. - Pomyśli pani, że jestem histeryczką, dziwaczką albo kimś takim. To się stało całkiem nagle, tuż przed zakończeniem. Patrzyłam na przedstawienie z przyjemnością. I ani razu nie pomyślałam o domu. A potem to przyszło... zupełnie bez powodu... kiedy on powiedział te słowa... - Zacytowała cichym, drżącym głosem: „Twarz jej zakryjcie. W oczach mi się mąci. Młodo umarła...”. - Wtedy z powrotem znalazłam się tam, na schodach, patrzyłam w dół między słupkami balustrady i zobaczyłam ją. Leżała wyciągnięta... i martwa. Miała złote włosy, a jej twarz była cała... cała sina! Nie żyła, zaduszono ją, a ktoś mówił te słowa w taki sam okropny, bełkotliwy sposób... i widziałam jego ręce... szare, pomarszczone... nie ręce - łapy małpy... To było potworne. Nie żyła...

- Kto? - spytała łagodnie panna Marple.

Gwenda odpowiedziała natychmiast, bez zastanowienia.

- Helen...

IV

Helen?

Przez moment Gwenda wpatrywała się w pannę Marple, po czym odgarnęła włosy z czoła.

- Dlaczego ja to powiedziałam? - spytała. - Dlaczego powiedziałam „Helen”? Nie znam żadnej Helen! - Opuściła z rozpaczą ręce. - Widzi pani? Jestem szalona! Wymyślam jakieś historie! Widzę to, czego nie ma. Najpierw chodziło tylko o tapety... ale teraz już pojawiają się zmarli. Czyli jest ze mną coraz gorzej.

- Nie spiesz się tak z wyciąganiem wniosków, moja droga...

- Albo to wina tego domu. Może jest nawiedzony... zaczarowany, czy coś w tym rodzaju... Widzę rzeczy, które się w nim zdarzyły... a może takie, które dopiero mają się wydarzyć... co byłoby jeszcze gorsze. Zapewne zostanie tam zamordowana jakaś kobieta o imieniu Helen... Nie rozumiem tylko jednego: jeśli nawiedzony jest dom, dlaczego widzę te okropności, kiedy jestem od niego daleko. Nie, to raczej ja staję się niepoczytalna. Lepiej będzie, jeśli udam się do psychiatry od razu... jeszcze dziś.

- Hm, no cóż, oczywiście, moja droga Gwendo, zawsze to można zrobić, jeśli wyczerpie się wszelkie inne możliwości, ale uważam, że o wiele lepiej jest najpierw rozważyć najprostsze i najzwyczajniejsze wyjaśnienia. Pozwól, proszę, że wyjaśnię do końca fakty. Przygnębiły cię trzy incydenty. Sprawa ścieżki w ogrodzie, której istnienie przeczuwałaś, choć ją zasypano i posadzono na niej kwiaty; zamurowane drzwi i tapeta, której wzór bezbłędnie odgadłaś, co do najdrobniejszych szczegółów, choć jej nie widziałaś. Mam rację? -Tak.

- A zatem najprostsze, najnaturalniejsze byłoby wyjaśnienie, że kiedyś już widziałaś te rzeczy.

- Ma pani na myśli poprzednie wcielenie?

- Ależ nie, moja droga. Chodzi mi o twoje obecne wcielenie. O to, że to mogą być twoje wspomnienia.

- Ale ja, panno Marple, nigdy przedtem nie byłam w Anglii. Aż do ubiegłego miesiąca.

- Czy jesteś tego zupełnie pewna, moja droga?

- Oczywiście, że tak. Całe życie spędziłam w pobliżu Christchurch w Nowej Zelandii.

- Tam się urodziłaś?

- Nie, urodziłam się w Indiach. Ojciec był oficerem armii brytyjskiej. Matka umarła w rok czy dwa po moim urodzeniu i wtedy tata oddał mnie na wychowanie jej krewnym w Nowej Zelandii. Sam umarł kilka lat później.

- A pamiętasz podróż z Indii do Nowej Zelandii?

- Właściwie nie. Mam tylko bardzo mgliste wspomnienia z pobytu na statku. Na przykład, że miał okrągłe okna - to znaczy iluminatory. I że był tam mężczyzna w białym mundurze, z czerwoną twarzą, niebieskimi oczami oraz jakimś znakiem na brodzie, zapewne szramą. Lubił podrzucać mnie do góry i pamiętam, że czułam wówczas jednocześnie przerażenie i zachwyty. Ale to tylko takie fragmenty..

- A pamiętasz swoją nianię albo hinduską piastunkę?

- To nie była Hinduska. Miałam angielską nianię. Pamiętam ją, ponieważ została ze mną przez pewien czas, póki nie ukończyłam pięciu lat. Potrafiła wycinać kaczuszki z papieru. Tak, była na statku. Nakrzyczała na mnie, ponieważ się

*>' rozplakałam, kiedy kapitan mnie pocałował, a mnie się nie podobał jego zarost.

- To bardzo interesujące, moja droga. Odnoszę wrażenie, że mylisz ze sobą dwie różne podróże. W jednej kapitan miał zarost, w drugiej zaś - czerwoną twarz, a na brodzie bliznę.

- To prawda - przyznała Gwenda. - Faktycznie chyba coś mi się myli.

- Prawdopodobnie po śmierci twojej matki ojciec zabrał cię najpierw do Anglii i mieszkałaś właśnie w Hillside. Sama powiedziałaś, że od chwili, kiedy tam weszłaś, wydawało ci się, że to twój dom. I sypiasz zapewne w swym dawnym pokoju dziecięcym...

- To faktycznie był pokój dziecięcy. W oknach są kraty.

- No widzisz? A na ścianach miał tę ładną, wesołą tapetę z makami i chabrami. Dzieci doskonale zapamiętują, jakie były ściany w ich pokojach. Ja sama pamiętam blado-fioletowe irysy na ścianach, choć tapetę zmieniono, gdy miałam zaledwie trzy lata.

- I dlatego pomyślałam natychmiast o zabawkach, o domku dla lalek i szafkach na klocki?

- Tak. Podobnie wygląda sprawa łazienki. Wanny z mahoniową obudową. Powiedziałaś mi, że kiedy ją zobaczyłaś, przyszły ci na myśl pływające w niej kaczuszki.

- Faktycznie - powiedziała w zamyśleniu Gwenda - od razu wiedziałam, gdzie co jest: kuchnia, bielizniarka. I ciągle byłam przekonana, że z salonu są drzwi do jadalni. Ale przecież to jest zupełnie niemożliwe, że przyjechawszy do Anglii kupiłam dom identyczny z tym, w którym mieszkałam tak dawno temu!

- To nie jest niemożliwe, moja droga. To tylko wyjątkowy zbieg okoliczności, a takie przecież się zdarzają. Twój mąż chciał, abyście mieli dom na południowym wybrzeżu, szukałaś więc w tym rejonie, natrafiłaś na taki, który poruszył Wspomnienia i przyciągnął twoją uwagę. Był odpowiedniej

wielkości i oczekiwano za niego rozsądnej ceny, więc go kupiłaś. Nie, to wcale nie jest tak absolutnie nieprawdopodobne. Gdyby chodziło tylko o to, że, jak to się mówi (zapewne słusznie), ten dom jest nawiedzony, myślę, że zareagowałabyś inaczej. A przecież nie wyczułaś w nim żadnej przemocy czy niechęci z wyjątkiem, jak mówiłaś, jedynego szczególnego momentu, kiedy zamierzałaś zejść ze schodów i spojrzałaś z góry na hol na parterze.

W oczach Gwendy ponownie pojawił się cień przerażenia.

- Ma pani na myśli, że to... to z Helen...też jest prawdą?

- No cóż - odparła bardzo łagodnym tonem panna Mar-ple - tak właśnie myślę, moja droga...

Musimy uznać, jak sądzę, że jeśli pozostałe sprawy są wspomnieniami, wspomnieniem jest także i to...

- Że naprawdę widziałam leżącą tam kobietę, która została zamordowana... uduszona?

- Nie przypuszczam, abyś wówczas wiedziała, że została uduszona. Nasunęło ci się takie skojarzenie pod wpływem wczorajszego przedstawienia, ponieważ odpowiada twojemu dorosłemu rozumieniu znaczenia sinej, konwulsyjnie wykrzywionej twarzy. Myślę, że bardzo małe dziecko, ledwie mogące zejść po schodach, potrafi zdać sobie sprawę z przemocy, śmierci, zła i skojarzyć je z określonymi słowami. Uważam bowiem, że morderca wypowiedział te słowa. To musiał być bardzo silny wstrząs dla dziecka. Dzieci to takie dziwne małe stworzenia. Jeśli się czegoś bardzo przestraszą, zwłaszcza gdy tego nie rozumieją, nie rozmawiają o tym. Zamykają to w sobie. Pozornie być może nawet zapominają. Ale wspomnienia tkwią głęboko w ich pamięci. Gwenda wciągnęła głęboko powietrze.

- I sądzi pani, że mnie przytrafiło się coś takiego? Dlaczego więc teraz nie przypomniało mi się wszystko naraz?

- Nie da się uruchomić pamięci na życzenie. Często gdy człowiek usiłuje to zrobić, wspomnienia chowają się jeszcze

głębiej. Wydaje mi się jednak, że mamy kilka wskazówek sugerujących, że coś takiego naprawdę się zdarzyło. Na przykład, kiedy przed chwilą opowiadałaś mi o swoich wczorajszych przeżyciach w teatrze, użyłaś bardzo wymownego określenia. Powiedziałaś, że wydawało ci się,

jakbyś patrzyła „między słupkami balustrady”. Otóż normalnie patrzy się na dół nie „między” słupkami, tylko ponad nimi. Jedynie dziecko patrzy w taki sposób.

- Jakie to inteligentne spostrzeżenie - stwierdziła Gwen-da z uznaniem.

- Takie drobiazgi są bardzo istotne.

- Ale kim była Helen? - spytała Gwenda ze zdziwieniem.

- Powiedz mi, moja droga, czy jesteś zupełnie pewna, że to była Helen?

-Tak... To niesamowicie dziwne, ponieważ nie mam pojęcia, kim była ta „Helen”, a jednocześnie wiem, naprawdę wiem, że to właśnie Helen tam leżała... Jak mam się dowiedzieć czegoś więcej?

- Hm, myślę, że trzeba się najpierw dowiedzieć, czy jako dziecko faktycznie byłaś kiedykolwiek w Anglii albo czy mogłaś tu być. Twój krewni...

Gwenda przerwała pannie Marple w pół zdania.

- Ciotka Alison. Jestem pewna, że ona będzie wiedziała.

- To napisz do niej pocztą lotniczą. Poinformuj ją, że zaistniały pewne okoliczności, w związku z którymi koniecznie musisz wiedzieć, czy byłaś kiedykolwiek w Anglii. Pocztą lotniczą powinnaś dostać odpowiedź jeszcze przed przyjazdem twojego męża.

- Och, dziękuję, panno Marple. Jest pani dla mnie taka dobra. I mam nadzieję, że to, co pani sugeruje, jest prawdą. Bo wtedy wszystko byłoby w porządku. To znaczy, nie byłoby w tym nic nadnaturalnego.

Panna Marple uśmiechnęła się.

- Myślę, że wszystko okaże się zgodne z tym, co przypuszczamy. Zamierzam pojutrze wybrać się do moich starych znajomych w północnej Anglii. Za jakieś dziesięć dni będę wracała i zatrzymam się w Londynie. Jeśli będziesz tu wtedy z mężem lub jeśli otrzymasz do tego czasu odpowiedź na swój list, pamiętaj, że ogromnie chciałabym się dowiedzieć szczegółów.

- Ależ naturalnie, droga panno Marple. Poza tym bardzo bym chciała, żeby poznała pani Gilesa. On jest taki cudowny. I zrobimy sobie wielką naradę na temat całej tej sprawy.

Gwenda najwyraźniej czuła się podniesiona na duchu.

Panna Marple wyglądała jednak na mocno zafrasowaną.

V

Morderstwo z przeszłości

Jakieś dziesięć dni później panna Marple weszła do małego hoteliku w Mayfair, gdzie entuzjastycznie przywitali ją młodzi Reedowie.

- To mój mąż, panno Marple - zawołała Gwenda. - Giles, nie potrafię ci opisać, jaka dobra była dla mnie panna Mar-ple.

- Jestem szczęśliwy, że mogę panią poznać, panno Marple. Słyszałem, że Gwenda wpadła w taką panikę, że niewiele brakowało, a kazałaby się zamknąć w domu wariatów.

Łagodne, niebieskie oczy panny Marple z sympatią przyglądały się Gilesowi. Bardzo przyjemny młody człowiek, wysoki i jasnowłosy, o rozbrajającym nawyku mrugania powiekami z nieśmiałości. Zwróciła też uwagę na wyrażającą zdecydowanie brodę i mocną szczękę.

- Wypijmy herbatę w małym saloniku, tym ciemnym - zaproponowała Gwenda. - Nikt tam nie zagląda. A potem pokażemy pannie Marple list od ciotki Alison. Tak - dodała, kiedy panna Marple spojrzała na nią bystro. - Otrzymałam list, z którego wynika, że było niemal dokładnie tak, jak pani przypuszczała.

Tuż po herbacie na stole pojawił się list od panny Alison Danby:

Najdroższa Gwendo,

Bardzo się zmartwiłam wieścią, że miałaś jakieś nieprzyjemne przejścia. Prawdę mówiąc, zupełnie wypadło mi z pamięci, że faktycznie jako matkę dziecko przez krótki czas mieszkałaś w Anglii.

Twoja matka, a moja siostra Megan, poznała Twojego ojca, majora Hallidaya, kiedy pojechała odwiedzić naszych znajomych, mieszkających wówczas w Indiach. Pobrali się i Ty się tam wodziłaś. Niespełna dwa lata po urodzeniu Ciebie Twoja matka zmarła. Był to dla nas ogromny wstrząs. Napisaliśmy wtedy do Twojego ojca, z którym utrzymywaliśmy kontakt listowny, ale którego nie znaleźliśmy osobiście, błagając go, aby powierzył nam opiekę nad Tobą, jako że bylibyśmy szczęśliwi mając Ciebie, a jemu - młodemu oficerowi w wojsku - mogło być trudno opiekować się małym dzieckiem. Twój ojciec odrzucił jednak naszą propozycję i powiadomił nas, że rezygnuje z wojska i zabiera Cię do Anglii. Miał nadzieję, jak pisał, że kiedyś przyjedziemy go tam odwiedzić.

Domyślałam się, że w drodze do domu Twój ojciec spotkał młodą kobietę, zakochał się w niej i zaraz po przyjeździe do Anglii pobrali się. Małżeństwo to nie było, jak sędzę, udane i, o ile wiem, mniej więcej po roku się rozpadło. To wtedy Twój ojciec napisał do nas z pytaniem, czy nadal chcielibyśmy stworzyć Ci dom. Nie muszę chyba mówić, jacy byliśmy szczęśliwi z tego powodu. Zostałaś przysłana do nas pod opieką angielskiej niani Równocześnie Twój ojciec przepisał na Ciebie większość swojego majątku i zasugerował, żebyś przybrała prawnie nasze nazwisko. Przyznam, że wydało nam się to trochę dziwne, ale uznaliśmy, że miał dobre intencje - chciał, żebyś się stała w jeszcze większym stopniu członkiem naszej rodziny. Nie postąpiliśmy jednak zgodnie z tą sugestią Mniej więcej rok później Twój ojciec zmarł w szpitalu. Przypuszczam, że zdecydował się oddać nam Ciebie pod opiekę, gdy dowiedział się czegoś złego o swoim zdrowiu.

Niestety nie potrafię Ci powiedzieć, gdzie mieszkałaś w czasie swojego pobytu z ojcem w Anglii. Pisząc do nas z pewnością podaś swój adres, ale działa się to przecież osiemnaście lat te-, mu i trudno byłoby pamiętać takie szczegóły. Wiem, że gdzieś w południowej Anglii - i mam wrażenie, że mogło to być Dillmo-uth. Wydawało mi się co prawda, że miejscowość nazywała się Dartmouth, ale te nazwy są dość podobne. Zdaje mi się, że Twoja macocha ponownie wyszła za mąż, ale nie przypominam sobie jej imienia ani nawet nazwiska panieńskiego, choć Twój ojciec wspomniał je w liście, kiedy informował nas o swoim ponownym ożenku. Chyba trochę niechętnie przyjęliśmy wiadomość o tak szybkim zawarciu przez niego kolejnego małżeństwa, choć to oczywiste, że na pokładzie statku bardzo szybko nawiązuje się bliskie związki uczuciowe, a możliwe też, że Twój ojciec uważał to za korzystne ze względu na ciebie. Zapewne głupio zrobiłam nie wspominając Ci o twoim pobycie w Anglii, chociaż go nie pamiętasz, ale - jak Ci już } wspomniałam - cała ta sprawa umknęła mi z pamięci. Za- ' wsze wydawały nam się ważne jedynie śmierć Twojej matki , i - będący jej następstwem - Twój przyjazd do nas. Mam nadzieję, że teraz wszystko się już wyjaśniło. Ufam, że Giles będzie mógł wkrótce dołączyć do Ciebie. ^ Rozłąka zaraz po ślubie musi być trudna dla Was obojga. [f Wszystkie inne umieści przekażę Ci w następnym liście, ja-i ko że ten wysyłam w pośpiechu, w odpowiedzi na Twój tele-Ę gram.

fr1

Twoja kochająca Cię ciotka

'.)

Alison Danby

J5; PS Nie napisałaś, co to za przykrości cię spotkały?"

\

e - Widzi pani? - odezwała się Gwenda. - Było niemal do-, kładnie tak, jak pani przypuszczała.

Panna Marple wygładziła kartkę listu. /: -Tak... no tak. Zdroworozsądkowe wyjaśnienie. Wiecie,

doszłam do tego, że bardzo często właśnie takie podejście jest słuszne.

- Jestem pani ogromnie wdzięczny, panno Marple - powiedział Giles. - Biedna Gwenda czuła się naprawdę przygnębiona, a i mnie niepokoiła myśl, że Gwenda mogłaby być jasnowidzem, chorą psychicznie albo czymś w tym rodzaju.

- Żona o takich talentach mogłaby być bardzo kłopotliwa

- zażartowała Gwenda. - Chyba że żyłbyś naprawdę bez grzechu.

- Co właśnie robię - odparł Giles.

- A dom? Co czujesz na myśl o domu? - spytała panna Marple.

- Och, wszystko w porządku. Jedziemy tam jutro. Giles nie może się doczekać, żeby go zobaczyć.

- Nie wiem, czy zdaje sobie pani z tego sprawę, panno Marple - powiedział Giles - ale wygląda na to, że w naszych rękach znalazła się zagadka związana z morderstwem doskonałym.

Dokładnie na naszym progu czy raczej w głównym korytarzu.

- Tak, rozważałam to - przyznała panna Marple w zamyśleniu.

- A Giles wprost uwielbia historie kryminalne - dodała Gwenda.

- No cóż, uważam, że to jest historia kryminalna. Ciało uduszonej pięknej kobiety, leżące w korytarzu. I nic o tej kobiecie nie wiadomo prócz jej imienia. Oczywiście wiem, że to się zdarzyło blisko dwadzieścia lat temu. Po tak długim czasie z pewnością nie ma już żadnego tropu, ale można przynajmniej się rozejrzeć, poszukać jakichś powiązań. Śmiem nawet twierdzić, że nie da się rozwiązać tej zagadki...

- Myślę, że dałoby się - przerwała mu panna Marple.

- Nawet po tych osiemnastu latach. Tak, myślę, że to jest do zrobienia.

- A w każdym razie nie zaszkodzi spróbować, prawda?

Giles zamilkł, z rozpromienioną twarzą oczekując odpowiedzi.

Panna Marple poruszyła się niespokojnie. Jej twarz miała poważny, niemal surowy wyraz.

- Otóż może to spowodować bardzo poważne szkody -ostrzegła. - Radziłabym warn... tak, z

całego serca radziłabym, abyście pozostawili tę sprawę w spokoju.

- Zostawić? Naszą własną zagadkę kryminalną, naturalnie jeśli to było morderstwo?

- Myślę, że to było morderstwo. I właśnie dlatego nie ruszałabym tego. Morderstwo nie jest... nie jest czymś, co można traktować lekkomyślnie.

- Ależ panno Marple - zaproponował Giles. - Gdyby wszyscy myśleli .tak jak pani...

- Och, wiem - przerwała mu. - Są sytuacje, kiedy po prostu trzeba się tym zająć... kiedy oskarżana jest osoba niewinna... podejrzenia padają na różnych ludzi... albo gdy chodzi o niebezpiecznego przestępcę, który może znowu zaatakować. Ale musicie zrozumieć, że to morderstwo w dużym stopniu należy do przeszłości. Zapewne nawet nie wyszło na jaw, bo gdyby było inaczej, szybko dowiedzielibyście się o nim od waszego starego ogrodnika lub kogoś z sąsiadów. Morderstwo, popełnione nawet bardzo dawno temu, jest zawsze sensacją. Nie, najwyraźniej w jakiś sposób pozbyto się ciała i sprawa nigdy nie budziła żadnych podejrzeń. Czy jesteście pewni... czy jesteście zupełnie pewni, że postąpicie mądrze, rozgrzebując to wszystko na nowo?

- Panno Marple! - zawołała Gwenda - Wydaje się pani naprawdę zatroskana!

- Masz rację, moja droga. Jesteście parą bardzo miłych, czarujących młodych ludzi (jeśli wolno mi tak powiedzieć). Niedawno się pobraliście i dobrze warn ze sobą. Błagam was, nie próbujcie ujawniać rzeczy, które mogą... no cóż, mogą... jak by to ująć?... mogą was przygnębić lub zmartwić.

Gwenda przyjrzała się jej bacznie.

- Myśli pani o czymś szczególnym... o czymś... do czego robi pani aluzję?

- Nie robię aluzji, moja droga. Po prostu radzę warn - żyję bowiem wystarczająco długo i wiem, jak bardzo przygnębiająca może być natura człowieka - żebyście nie poprawiali dobrego. Taka właśnie jest moja rada: nie poprawiajcie tego, co dobre.

- Ależ to wcale nie jest poprawianie dobrego - w głosie Gile-sa pojawiła się inna, twardsza nutka.

- Hillside to nasz dom, Gwendy i mój, a popełniono w nim jakieś morderstwo, czy w każdym razie tak się nam zdaje. Nie zamierzam pogodzić się z morderstwem w moim domu i nawet nie kiwnąć palcem w tej sprawie, mimo że to się wydarzyło osiemnaście lat temu.

Panna Marple westchnęła.

- Tak mi przykro - powiedziała. - Wyobrażam sobie, że większość dzielnych młodych mężczyzn w tej sytuacji czułaby się tak samo. A nawet sympatyzuję z tobą., niemal podziwiam cię za to.

Ale chciałabym... och, bardzo bym chciała... żebyś tego nie robił.

Następnego dnia po wiosce St Mary Mead rozeszła się wieść, że panna Marple wróciła do domu. O jedenastej widziano ją na High Street. Za dziesięć dwunasta wstąpiła na plebanię. Po południu złożyły jej wizytę trzy najbardziej rozplotko-wane mieszkanki wioski. Wysłuchały wrażeń z wizyty w tętniącej życiem metropolii, po czym, spełniwszy ten wymóg grzeczności, zajęły się szczegółowym relacjonowaniem pannie Marple zbliżającej się batalii o odpowiednie miejsce dla stoiska z robótkami ręcznymi na festynie oraz lokalizację namiotu, w którym będzie podawana herbata.

Później widziano pannę Marple jak zwykle w ogrodzie, ale tym razem bardziej koncentrowała się na pieleniu chwastów niż na tym, co robili jej sąsiedzi. Była rozkojarzona w czasie skromnej kolacji i zaledwie jednym uchem słuchała emocjonującej opowieści swojej małej pokojówki Evelyn o postępkach miejscowego aptekarza. Następnego dnia nadal była nieobecna duchem, co zostało dostrzeżone przez kilka osób, w tym żonę pastora. Wieczorem tego dnia panna Marple oświadczyła, że nie czuje się dobrze i poszła do łóżka. Następnego ranka posłała po dr. Haydocka.

Doktor Haydock był od wielu lat lekarzem, przyjacielem i sojusznikiem panny Marple.

Wysłuchał litanii podanych przez nią objawów, zbadał ją, po czym usiadł na krześle i wycelował w jej stronę stetoskop.

- Jak na kobietę w twoim wieku - stwierdził - i wbrew wątlemu wyglądowi, jesteś w zupełnie dobrej formie.

- Z pewnością ogólny stan mojego zdrowia jest dobry - odparła panna Marple. - Ale muszę wyznać, że czuję się trochę przemęczona... nieco wyczerpana.

- Za dużo masz ruchu. W Londynie pewnie chodziłaś spać bardzo późno.

- To prawda. Ostatnio Londyn mnie trochę męczy. I powietrze tam takie... nieświeże. Nie to samo, co nad morzeni.

- W St Mary Mead powietrze jest przyjemne i świeże.

- Ale często wilgotne i dość parne. Nie jest, no wiesz, takie zupełnie rześkie.

Dr Haydock spojrział na nią z budzącym się zainteresowaniem.

- Przyślę ci tonik - oświadczył uczynnie.

- Dziękuję, doktorze. Syrop Eastona jest zawsze bardzo przydatny.

- Nie ma żadnej potrzeby, żebyś mnie pouczała, co mam ci przepisać, moja pani.

- Zastanawiałam się, czy może nie byłoby wskazane leczenie klimatyczne...? - panna Marple spojrzała na doktora pytająco swoimi szczerymi, niebieskimi oczami.

- Przecież ostatnio nie było cię przez trzy tygodnie.

- Wiem. Ale spędziłam je w Londynie, a to, jak sam stwierdziłeś, niekorzystnie wpływa na stan nerwów. A potem pojechałam na północ, do okręgu przemysłowego. Nie to samo, co rzeńskie, morskie powietrze.

Doktor Haydock spakował swoją torbę lekarską, po czym odwrócił się w stronę panny Marple z szerokim uśmiechem.

-To teraz mi wyjaśnij, dlaczego po mnie posłałeś. Po prostu powiedz, o co ci chodzi, a ja ci to zalecę. Jeśli chcesz, abym swoim autorytetem zawodowym potwierdził, że potrzebne ci jest morskie powietrze...

- Wiedziałam, że zrozumiesz - powiedziała z wdzięcznością panna Marple.

- Morskie powietrze to doskonała rzecz. Najlepiej jedź od razu do Eastbourne, inaczej bowiem twoje zdrowie może poważnie ucierpieć.

- Sądzę, że w Eastbourne może być trochę za chłodno. No wiesz, wolałabym raczej coś na południu.

- A zatem Bournemouth albo wyspa Wight. Panna Marple mrugnęła do niego porozumiewawczo.

- Zawsze uważałam, że małe miejscowości są o wiele przyjemniejsze.

Dr Haydock z powrotem usiadł.

- Rozbudziłaś moją ciekawość. O jakąż to małą miejscowość nadmorską ci chodzi?

- No cóż, myślałam o Dillmouth.

- Ładna, mała dziura. Dość nudna. Dlaczego właśnie Dillmouth?

Panna Marple przez chwilę milczała. W jej oczach ponownie pojawił się wyraz zatroskania.

- Załóżmy, że pewnego dnia - odezwała się w końcu - zupełnie przypadkowo odkryłeś fakt, który zdaje się świadczyć

o tym, że wiele lat temu... dziewiętnaście czy dwadzieścia... zostało popełnione morderstwo z premedytacją. Jesteś jedyną osobą, która o tym wie, to znaczy niczego takiego przedtem nie podejrzewano ani nie zgłaszano na policję. Co byś z tym zrobił?

- Czyli właściwie chodzi o morderstwo z przeszłości?

- Dokładnie tak.

Dr Haydock zamyślił się na moment.

- Nie było żadnej pomyłki wymiaru sprawiedliwości? Nikt niewinny nie ucierpiał wskutek tego?

- O ile mi wiadomo, nikt.

- Hm. Morderstwo z przeszłości. Uspione morderstwo. No cóż, powiem ci, co bym zrobił. Nie ruszałbym tego. Tak właśnie bym postąpił. Wtrącanie się w sprawę morderstwa jest niebezpieczne. Bywa bardzo niebezpieczne.

- Tego się właśnie obawiam.

- Mówi się, że morderca zawsze powtarza swoją zbrodnię. To nieprawda. Istnieje taki typ przestępcy, który popełnia zabójstwo, udaje mu się jakoś umknąć odpowiedzialności i później bardzo uważa, aby się już nigdy nie narazić na niebezpieczeństwo. Nie twierdzę, że taki ktoś żyje sobie potem szczęśliwie, nie wierzę, aby tak było, może pokutować za to na wiele sposobów. Patrząc jednak na niego z zewnątrz odnosi się wrażenie, że wszystko jest w porządku. Zapewne tak właśnie było w przypadku Madeleine Smith czy w sprawie Lizzie Borden.

Madeleine Smith nie udowodniono winy, a Lizzie została uniewinniona, ale wiele osób uważa, że obie były winne. Mógłbym przytoczyć i inne takie przypadki. Żaden z tych morderców nie powtórzył przestępstwa; jedyne, które popełnili, dało im to, czego pragnęli, i zadowolilo ich. Ale przypuśćmy, że zagrozi im jakieś niebezpieczeństwo. Zakładam, że ten zabójca, wszystko jedno kim on czy ona jest, należy do tego typu morderców. Popełnił przestępstwo, uciekł i nikt go nie podejrzewał. Niech się teraz pojawi ktoś,

kto zacznie węszyć w sprawie, wyciągać na wierzch jakieś rzeczy, przewracać głazy, badać ślady i w końcu dotrze do celu. Co ten zabójca z kimś takim zrobi? Będzie się przyglądał z założonymi rękami i uśmiechem na ustach, jak myśliwy osacza go coraz bardziej? Nie, jeśli nie wiąże się z tym żadna ważna kwestia, radziłbym tego nie ruszać. Nie budziłbym uspionego morderstwa - powtórzył swoje poprzednie sformułowanie, po czym dodał twardo: - Oto moje zalecenia.

Zostaw całą tę sprawę w spokoju.

- Ależ to nie ja jestem w nią zamieszana. Chodzi o dwoje wspaniałych dzieci. Pozwól, że ci wyjaśnię!

Opowiedziała mu całą historię, a Haydock słuchał.

- Niezwykłe - skomentował, kiedy skończyła. - Niezwykły zbieg okoliczności. Wszystko to razem wzięte jest zupełnie niesamowite. Przypuszczam, że zdajesz sobie sprawę, na co to wskazuje?

- Och, naturalnie. Ale nie sądzę, aby oni na to wpadli, przynajmniej jak dotąd.

- Będą bardzo nieszczęśliwi i pożałują, że w ogóle się tym zajęli. Nie należy budzić licha. A z drugiej strony, jestem w stanie zrozumieć punkt widzenia tego młodego Gilesa. A niech to, sam bym tego tak nie zostawił. Nawet teraz jestem ciekaw...

Przerwał i wbił ostre spojrzenie w pannę Marple.

- A więc to dlatego szukasz pretekstu, aby pojechać do Dillmouth. Chcesz wetknąć nos w sprawę, która cię w najmniejszym stopniu nie dotyczy.

- Wcale nie, doktorze Haydock. Martwię się tylko o tych dwoje. Są tacy młodzi, niedoświadczeni. Stanowczo zbyt ufni i łatwowierni. Czuję, że powinnam tam być, żeby się nimi zaopiekować.

- I dlatego chcesz tam jechać. Żeby się nimi zaopiekować! Kobieto, czy ty nie możesz zostawić żadnego morderstwa w spokoju? Nawet morderstwa z przeszłości?

Panna Marple uśmiechnęła się skromnie.

- Ale musisz sam przyznać, że parę tygodni w Dillmouth wpłynęłoby korzystnie na stan mojego zdrowia, prawda?

- Raczej będzie oznaczało twój koniec - stwierdził dr Haydock. - Ale ty przecież i tak mnie nie posłuchasz!

W drodze do pułkownikostwa Bantrych, którym zamierzała złożyć krótką wizytę, panna Marple spotkała pułkownika Bantry'ego, który szedł ze strzelbą, prowadząc przy nodze swojego spaniela.

- Miło cię znowu widzieć - powitał serdecznie gościa pułkownik. - Jak tam w Londynie?

Panna Marple odparła, że było jej w Londynie bardzo dobrze. Bratanek zabrał ją kilka razy do teatru.

- Z pewnością na same nadęte sztuczki. Ja tam uznaję jedynie komedie muzyczne.

Panna Marple powiedziała, że obejrzała rosyjską sztukę, bardzo interesującą, tylko trochę zbyt długą.

- Rosjanie! - wybuchnął pułkownik Bantry. Kiedyś w szpitalu dano mu do przeczytania powieść Dostojewskiego.

Po chwili dodał, że panna Marple znajdzie Dolly w ogrodzie.

Panią Bantry niemal zawsze można było zastać w ogrodzie. Uprawa roślin stanowiła jej pasję, ulubioną literaturą były katalogi roślin cebulkowych, a rozmowy koncentrowały się wokół

prymulek, cebul, kwitnących krzewów i alpejskich osobliwości. Zbliżając się, panna Marple dostrzegła najpierw słusznych rozmiarów pośladki, wciśnięte w wyblakłe twe-edowe spodnie. Na odgłos kroków pani Bantry powróciła do postawy wyprostowanej - czemu towarzyszyło kilka chrupnięć kości stawowych i min wyrażających ból, jako że wskutek swojego hobby nabawiła się reumatyzmu - ubrudzoną dłonią otarła pot z czoła i serdecznie przywitała się z przyjaciółką.

- Słyszałam, że wróciłaś, Jane. Zobacz, jak ładnie rosną moje ostróżki. A widziałaś te nowe małe goryczki? Miałam z nimi trochę kłopotów, ale myślę, że się przyjęły. Trzeba nam tylko deszczu. Jest okropnie sucho. Esther mówiła mi - dodała - że jesteś chora. - Esther była kucharką pani Bantry i jej oficerem łącznikowym, przekazującym informacje o wydarzeniach w wiosce. - Cieszę się, że to nieprawda.

- To tylko przemęczenie - odparła panna Marple. - Dr Haydock uważa, że powinnam pooddychać morskim powietrzem. Jestem trochę osłabiona.

- Och, ale chyba nie wyjedziesz teraz - zaprotestowała pani Bantry. - To absolutnie najpiękniejsza pora roku dla ogrodów. Twoja rabata z pewnością zaczyna właśnie kwitnąć.

- Dr Haydock uważa, że powinnam.

- No cóż, Haydock nie jest takim głupcem jak niektórzy lekarze - przyznała ponurym głosem pani Bantry.

- Tak sobie myślałam, Dolly, o tej twojej kucharce.

- Jakiej kucharce? Potrzebujesz kucharki? Chyba nie chodzi ci o tę, która popijała, prawda?

- Nie, nie, nie. Myślałam o tej, która piekła takie doskonale ciasta. Tej, co miała męża kamerdynera.

- Ach, mówisz o Zupie Cielecej - skojarzyła natychmiast pani Bantry. - Kobiecie o pełnym rozpaczym głosie, który zawsze brzmiał tak, jakby miała wybuchnąć płaczem. Dobra kucharka. A jej mąż to taki tęgi, dość leniwy człowiek. Arthur podejrzewał zawsze, że mu rozwadniał whisky, ale nie wiem, jak to było. Szkoda, że zawsze w małżeństwie jedno z dwojga musi być nieudane. Otrzymali spadek po jakimś dawnym pracodawcy, wyjechali i otworzyli pensjonat na południowym wybrzeżu.

- O tym właśnie myślałam. Czy to nie w Dillmouth jest ten ich dom?

- Zgadza się, w Dillmouth, przy Sea Parade 14.

W - Przyszło mi do głowy, że skoro dr Haydock zalecił mi 5* wyjazd nad morze, mogłabym pojechać do... oni się nazywają Saunders, prawda?

- Tak. Doskonały pomysł, Jane. Nie mogłabyś wymyślić nic lepszego. Jestem pewna, że pani Saunders się tobą dobrze zaopiekuje, a ponieważ jest po sezonie, będą zadowoleni, kiedy przyjedziesz i z pewnością nie policzą ci drogo. Mając dobre wyżywienie i oddychając morskim powietrzem wkrótce się wzmocnisz.

- Dziękuję ci, Dolly. Myślę, że tak.

VI

Próby dedukcji

- Jak ci się zdaje, gdzie było ciało? Gdzieś tu? - dopytywał się Giles.

Stali oboje z Gwendą w korytarzu w Hillside. Wrócili do domu ubiegłej nocy i Giles zabrał się z zapalem do działania. Był uradowany jak mały chłopiec, który dostał nową zabawkę.

- Chyba tak - odparła Gwendą. Cofnęła się na sam szczyt schodów i spoglądała na dół krytycznie. - Tak... myślę, że gdzieś tu.

- Przykucnij - polecił jej Giles. - Wiesz, tak jak byś miała zaledwie trzy lata.

Gwendą posłusznie kucnęła.

- Na pewno nie widziałaś człowieka, który wypowiedział te słowa?

- Nie przypominam sobie, żebym go widziała. Musiał być trochę bardziej cofnięty... o tak, tutaj.

Widziałam tylko jego łapy.

- Łapy - zachnął się Giles.

- To naprawdę były łapy. Szare łapy... nie takie, jak u człowieka.

- Zastanów się, Gwendo. To przecież nie jest „Morderstwo przy Rue Morgue” ani nic w tym rodzaju. Człowiek nie ma łap.

- On miał.

Giles spojrział na nią powątpiewająco.

- Musiałaś sobie to później wymyślić - zawyrokował.

- A nie sądzisz - Gwenda mówiła to powoli i z namysłem - że mogłam sobie wymyślić całą tę historię? Wiesz, Giles, zastanawiałam się nad tym i wydaje mi się najbardziej praw-dopodobne, że to wszystko mi się po prostu przyśniło. Tak przecież mogło być. Dzieci miewają tego typu sny, a potem są tak bardzo przerażone, że zapamiętują je na długo. Czy nie uważasz, że to może wyjaśniać całą tę sprawę? Bo prze-cież nikt w Dillmouth nie ma, jak się zdaje, zielonego pojęcia o tym, że w tym domu popełniono jakieś morderstwo, nastąpiła jakaś gwałtowna śmierć, ktoś zniknął czy w ogóle wyda-rzyło się coś dziwnego.

Giles nadal wyglądał jak mały chłopczyk, ale teraz już in-ny - taki, któremu właśnie odebrano ładną, nową zabawkę.

- Myślę, że to mógł być koszmarny sen - przyznał ponu-ro. Ale nagle jego twarz się rozjaśniła.

- Nie - stwierdził. - Nie wierzę w to. Mogły ci się przyśnić łapy małpy i ktoś martwy, ale niech mnie licho, jeśli mogłaś sobie wyśnić ten cytat z „Tragedii księżny Amalfi”.

- Mogłam przecież usłyszeć, jak ktoś to mówił, a potem, mi się przyśniło.

- Nie sądzę, aby jakimkolwiek dziecku mogło się przydarzyć coś takiego. Chyba że usłyszałaś te słowa wtedy, kiedy byłaś czymś bardzo wystraszona, a jeśli tak, to wracamy do punktu wyjścia. Poczekaj, myślę, że wiem. Przyśniły ci się te łapy. Zobaczyłaś ciało i usłyszałaś słowa, byłaś tym śmiertelnie przerażona i potem miałaś koszmarne sen, a w tym śnie pojawiły się małpie łapy. Zapewne bałaś się małp.

Na twarzy Gwendy malował się cień powątpiewania.

- Myślę, że tak mogło być... - powiedziała powoli.

- Gdybyś mogła sobie jeszcze cokolwiek przypomnieć...

Zejdź tu do holu. Zamknij oczy. Myśl... Nic więcej nie przychodzi ci do głowy?

- Nie, Gilesie... Im bardziej staram się o tym myśleć, tym głębiej mi to umyka... To znaczy zaczynam mieć wątpliwości, czy w ogóle coś takiego kiedykolwiek widziałam. Może tamtej nocy w teatrze miałam tylko jakieś zaburzenia umysłowe.

- Nie. Coś musiało się wydarzyć. Panna Marple też tak uważa. A co z „Helen”? Musisz przecież pamiętać coś na jej temat.

- Nie pamiętam zupełnie nic. Tylko to imię.

- Być może nawet niekoniecznie właściwe.

- Owszem, właściwe. To była Helen. Gwenda powiedziała to z uporem i przekonaniem.

- Jeśli jesteś taka pewna, że tą kobietą była Helen, to musisz przecież coś o niej wiedzieć - wyciągnął logiczny wniosek Giles. - Czy dobrze ją znałaś? Mieszkała tutaj? A może tylko przebywała przez jakiś czas?

- Mówię ci, że nie wiem - Gwenda stała się spięta i zdenerwowana.

Giles spróbował od innej strony.

- A kogo jeszcze pamiętasz? Ojca?

- Nie. To znaczy, nie umiem powiedzieć. No wiesz, jego fotografia zawsze stała na wierzchu. Ciotka Alison mawiała: „To twój tata”. Ale nie pamiętam go tutaj, w tym domu...

- A jakichś służących... nianię... czy kogoś takiego?

- Nie... nie. Im bardziej się staram, tym mniej pamiętam. Wszystko, co wiem, tkwi w podświadomości, tak jak to było z tym machinalnym podchodzeniem do drzwi. Zapewne gdybyś

nie męczył mnie tak bardzo, Gilesie, przypominałoby mi się więcej. Zresztą próby wyjaśnienia tego wszystkiego są beznadziejne. To było tak dawno temu.

- Właśnie że nie są beznadziejne. Przyznała to nawet stara panna Marple.

- Ale nie podsunęła nam żadnego pomysłu, jak się do tego zabrać - odparła Gwenda. - A z błysku w jej oczach wnoszę, że miała kilka koncepcji. Zastanawiam się, w jaki sposób ona próbowałaby to wyjaśnić.

- Nie sądzę, by mogła wymyślić coś takiego, czego my nie potrafimy - stwierdził z przekonaniem Giles. - Musimy przestać spekulować, Gwendo, i zabrać się do tej sprawy w sposób systematyczny. Zrobiliśmy już początek, to znaczy przejrzałem parafialny rejestr zgonów. Nie ma w nim żadnej „Helen”, której wiek byłby odpowiedni. A nawet wydaje mi się, że nie było w ogóle żadnej Helen w tym okresie, który przeglądałem. Wśród tych, których imiona brzmiały podobnie, znalazłem jedynie Ellen Pugg, lat dziewięćdziesiąt cztery. Teraz musimy obmyślić następne posunięcie, które dałoby jakieś efekty. Jeśli twój ojciec i zapewne twoja macocha mieszkali w tym domu, to musieli go albo kupić, albo też wynajmować.

- Zgodnie z tym, co mówił Foster, przed Hengrave'ami mieszkali tu jacyś ludzie o nazwisku Elworthy, a jeszcze przed nimi pani Findeyson. I nikt więcej.

- Twój ojciec mógł kupić ten dom, mieszkać w nim bardzo krótko, po czym znowu sprzedać. Myślę jednak, że bardziej prawdopodobne jest, że go wynajął, zapewne z umeblowaniem. A w takim razie najlepiej będzie, jeśli udamy się do agencji nieruchomości.

Zadanie to nie było wyczerpujące, w Dillmouth były bowiem raptem dwie takie agencje.

Panowie Wilkinson działali od stosunkowo niedawna. Otworzyli swoje biuro jedenaście lat temu.

Zajmowali się przede wszystkim małymi bungalowami i nowymi domami na obrzeżach miasteczka. Druga agencja, panów Galbraitha i Penderleya, była tą, w której Gwenda kupiła dom. Wszedłszy do biura tej właśnie agencji, Giles zaczął opowiadać przygotowaną wcześniej historię. Otóż oboje z żoną są zachwyceni Hillside i oczarowani Dillmouth. Jego żona, pani Reed, kiedyś tu już mieszkała jako małe dziecko. Ma tylko bardzo mgliste wspomnienia z tego okresu, ale wydaje się jej, że to właśnie Hillside było wówczas jej domem. Nie jest jednak tego pewna. Chciałby się więc dowiedzieć, czy jest może w rejestrze agencji jakiś dokument, z którego wynikałoby, że major Halliday wynajmował przez jakiś czas Hillside. To musiało być jakieś osiemnaście czy dziewiętnaście lat temu...

Pan Penderley rozłożył ręce w przeproszającym geście.

- Obawiam się, panie Reed, że nie jesteśmy w stanie panu pomóc. Nasze rejestry nie sięgają tak daleko wstecz... to znaczy jeśli chodzi o krótkoterminowe umowy najmu domów z umeblowaniem. Ogromnie mi przykro, panie Reed. Gdyby żył nasz stary pracownik, pan Narracott, być może mógłby coś panu pomóc. Ale, niestety, zmarł ubiegłej zimy. Miał niezwykłą pamięć, naprawdę wyśmienitą. I pracował w firmie blisko trzydzieści lat.

- Nie ma nikogo innego, kto mógłby o tym pamiętać?

- Cóż, wszyscy nasi pracownicy są stosunkowo młodzi. Naturalnie jest jeszcze stary pan Galbraith, który kilka lat temu przeszedł na emeryturę.

- Może mogłabym jego zapytać? - zasugerowała Gwenda.

- Hm. Nie bardzo wiem... - w głosie pana Penderleya brzmiało powątpiewanie. - Miał wylew w ubiegłym roku. I, niestety, jego umysł nie działa już w pełni sprawnie. Wiecie państwo, on jest już po osiemdziesiątce.

- Mieszka w Dillmouth?

- Ach, tak. W Calcutta Lodge. To bardzo ładny, mały domek przy ulicy Seaton. Ale naprawdę nie sądzę...

- Nie bardzo wierzę, żeby to coś dało - powiedział Giles do Gwendy - ale nigdy nie wiadomo. Nie piszmy jednak do niego, tylko pójdźmy tam oboje i spróbujmy coś wskórać.

Calcutta Lodge stał w zadbanym ogrodzie, a i salon, do którego ich wprowadzono, też był ogromnie schludny, choć nieco przeładowany. Pachniało w nim pastą do podłóg i ziołami. Mosiężne klamki lśniły. Okna były nieskazitelnie czyste.

Szczupła kobieta w średnim wieku, która weszła do salonu, przywitała ich podejrzliwym spojrzeniem.

Giles szybko wyjaśnił cel ich wizyty i z twarzy panny Galbraith ustąpił wyraz przerażenia, typowy dla osoby, która spodziewa się, że zaraz zostanie wciągnięta w rurę odkurzacza.

} | - Bardzo mi przykro - powiedziała - ale naprawdę nie sądzę, abym mogła państwu pomóc. To było tak dawno temu, prawda?

- Czasami zapamiętuje się jakieś charakterystyczne rzeczy - nalegała Gwenda.

- Ależ ja nie mogłam o czymś takim wiedzieć. Nigdy nie miałam nic wspólnego z agencją. Mówi pani, że chodzi o majora Hallidaya? Nie, nie przypominam sobie, żebyśmy się natknęła w Dillmouth na kogoś o tym nazwisku.

- A może pani ojciec pamięta?

- Ojciec? - panna Galbraith pokręciła przecząco głową. - On już nie bardzo kojarzy fakty i pamięć go zawodzi.

i

Gwenda w zamyśleniu wpatrywała się w mosiężny stolik z Benares, po czym przeniosła wzrok na procesję hebanowych słoni, maszerujących wzdłuż komody.

- Wydawało mi się, że mógłby pamiętać - usprawiedliwiła się - ponieważ mój ojciec wrócił wówczas z Indii. A państwa dom nazywa się Calcutta Lodge, prawda?

Przerwała, wpatrując się pytająco w gospodynię.

- Tak - potwierdziła panna Galbraith. - Ojciec spędził jakiś czas w Kalkucie. Prowadził tam interesy. Potem wybuchła wojna i w 1920 roku przyłączył się do firmy tutaj, ale zawsze mówił, że chciałby wrócić do Indii. Moja matka nie

lubiała jednak mieszkać w innych częściach imperium... i trudno byłoby zresztą powiedzieć, że tamtejszy klimat jest zdrowy. Cóż, zapewne chcielibyście państwo poznać mojego ojca. Sama nie wiem... właściwie ma dziś jeden ze swoich lepszych dni...

Poprowadziła ich do małego ciemnego gabinetu. Rozparty w dużym wytartym fotelu siedział tam stary mężczyzna z siwymi wąsami jak u morsa i lekko wykrzywioną twarzą. Kiedy córka przedstawiała mu gości, spoglądał na Gwendę z wyraźnym uznaniem.

- Nie mam już takiej pamięci jak dawniej - powiedział dość niewyraźnie. - Mówisz Halliday? Nie, nie pamiętam tego nazwiska. Znałem kiedyś chłopaka w szkole w Yorkshire... ale to było ponad siedemdziesiąt lat temu.

- Wydaje nam się, że wynajmował Hillside - odpowiedział mu Giles.

- Hillside? Czy to się wtedy nazywało Hillside? - na oko pana Galbraitha na moment opadła powieka i uniosła się z powrotem. - Mieszkała tam Findeyson. Ładna kobieta.

- Możliwe, że ojciec wynajął to mieszkanie umeblowane... To było tuż po jego powrocie z Indii.

- Indii? Powiadasz, że z Indii? Pamiętam pewnego gościa... wojskowego. Znał tego starego łotra Mohammeda Hassana, który oszukał mnie na dywanach. Miał młodą żonę... i dziecko... małą dziewczuszkę.

- Tym dzieckiem byłem ja - stwierdziła zdecydowanym głosem Gwenda.

- Na-apra-wdę?... Co ty powiesz! No, no, ale ten czas leci. Zaraz, jak on się nazywał? Chciał jakiś umeblowany dom... tak... pani Findeyson musiała wyjechać na całą zimę do Egiptu czy gdzieś tam... takie tam błazeństwa. Zaraz, jak on się nazywał?

- Halliday - podsunęła mu Gwenda.

- No właśnie, moja droga, Halliday. Major Halliday. Miły człowiek. Miał bardzo ładną żonę... młodziutką... jasnowłosą. Chciała mieszkać blisko swoich krewnych czy jakoś tak... Tak, była bardzo ładna.

- Kim byli jej krewni?

V* - Nie wiem. Nie mam pojęcia. Nie jesteś do niej podobna. £ Gwenda już miała powiedzieć, że to była tylko jej maco-

*iał

f cha, ale powstrzymała się, by nie komplikować dodatkowo całej sprawy.

№ - Jak ona wyglądała? - zapytała tylko. Jr - Na zmartwioną - stwierdził nieoczekiwanie pan Galii, braith. - Tak właśnie wyglądała, jakby była zmartwiona. Tak, bardzo miły, ogromnie miły człowiek z tego majora. I chętnie słuchał o moim pobycie w Kalkucie. Nie tak, jak ci tutejsi, co to nigdy nosa nie wychylili z Anglii. Ograniczeni, tacy właśnie są. A ja widziałem świat. Jak się nazywał ten facet z wojska... ten, co chciał umeblowane mieszkanie? Był jak stary gramofon, zacinający się na zużytej płycie... St Catherine's. No właśnie. Wynajął St Catherine's... sześć gwinei za tydzień... kiedy pani Findeyson była w Egipcie. Umarła tam, biedaczka. Dom wystawiono na aukcję... zaraz, kto go wtedy kupił? Elworthy... tak, no właśnie... kilka kobiet... siostry. Zmieniły nazwę domu... mówiły, że St Catherine's brzmi papiesko. Strasznie cięte na wszystko, co papieskie. Rozsyłały ulotki. Nieładne były, wszystkie... i lubiły czarnuchów... wysyłały im portki i Biblię. Strasznie zawzięte, żeby nawracać pogan. - Nagle westchnął głęboko i odchylił się na oparcie fotela. - Dawne dzieje - stwierdził z rozdrażnieniem. - Nie pamiętam nazwisk. Facet z Indii... miły człowiek... Zmęczyłem się, Gladys. Chciałbym dostać moją herbatę.

Giles i Gwenda podziękowali mu oraz jego córce, po czym wyszli.

- Tak więc potwierdziło się - odezwała się Gwenda. - Mieszkaliśmy z ojcem w Hillside. I co robimy dalej?

- Jaki ze mnie idiota! - wykrzyknął Giles. - Somerset House!

- Co to jest ten Somerset House?

- Jest tam urząd stanu cywilnego, w którym są odpisy zawieranych małżeństw. Pójdę tam poszukać potwierdzenia ślubu twojego ojca. Według tego, co ci napisała ciotka, twój ojciec ożenił się ponownie tuż po przyjeździe do Anglii. Nie rozumiesz, Gwendo? Powinniśmy już

wcześniej na to wpaść. Zupełnie możliwe, że „Helen” mogła być jakąś krewną twojej macochy, na przykład młodszą siostrą. Zresztą, jeśli poznamy jej nazwisko panięskie, może uda nam się znaleźć kogoś, kto wie, co się działo w Hillside. Pamiętasz, ten staruszek powiedział, że chcieli mieć dom w Dillmouth, żeby mieszkać blisko krewnych pani Halliday. Jeśli jej krewni mieszkają gdzieś tu w pobliżu, może uda nam się czegoś od nich dowiedzieć.

- Giles - odezwała się Gwenda. - Myślę, że jesteś cudowny.

Po przemyśleniu wszystkiego Giles doszedł do wniosku, że nie musi jechać do Londynu. Co prawda, będąc z natury człowiekiem energicznym, zawsze miał skłonności do miotania się i zabiegania o to, żeby wszystko robić osobiście, w tym wypadku uznał jednak, że można zdać się na działania rutynowe.

Przeprowadził długą rozmowę telefoniczną ze swoim biurem.

- Mam! - wykrzyknął entuzjastycznie, kiedy nadeszła oczekiwana odpowiedź.

Wyciągnął z koperty list i potwierdzoną kopię świadectwa ślubu.

- No i proszę bardzo, Gwendo: piątek, siódmego sierpnia, Urząd Stanu Cywilnego w Kensington. Kelvin James Halliday i Helen Spenlove Kennedy.

Gwenda krzyknęła przenikliwie.

- Helen?

Popatrzyli na siebie.

-Ale... - Giles mówił powoli, z namysłem - to nie mogła ^ być ona... To znaczy oni się przecież rozstali i ona ponownie A wyszła za mąż... i wyjechała.

- Nie wiemy - przerwała mu Gwenda - czy wyjechała... ,(Znow popatrzyła na wyraźnie wypisane imię i nazwisko: Helen Spenlove Kennedy.

Helen...

VII

Doktor Kennedy

Kilka dni później Gwenda, spacerująca pomimo porywistego wiatru po Esplanadzie, zatrzymała się raptownie przy jednej ze szklanych altan, które władze miasta ustawiły z myślą o wygodzie turystów.

- Panna Marple? - zawołała autentycznie zdumiona. Rzeczywiście była to panna Marple w ciepłym wełnianym płaszczu i opatulona szalikiem.

- Domyślam się, że to dla ciebie niespodzianka - odparła panna Marple różnym głosem. - Otóż mój doktor zalecił mi wyjazd nad morze dla zmiany klimatu, a z twojego opisu Dillmouth wyglądało tak atrakcyjnie, że postanowiłam tu przyjechać. Tym bardziej że dawna kucharka i kamerdyner mojej znajomej mają tu pensjonat i mogłam się u nich zatrzymać.

- Ale dlaczego nie przysłała nas pani odwiedzić?

- Starzy ludzie bywają utrapieniem, moja droga. A nowożeńcy powinni móc cieszyć się sobą. - Uśmiechnęła się, widząc protest Gwendy. - Jestem pewna, że przyjęlibyście mnie bardzo serdecznie. A jak się macie? Robicie jakieś postępy w wyjaśnianiu waszej zagadki?

- Złapaliśmy trop - odparła Gwenda. Usiadła obok panny Marple, po czym opowiedziała jej szczegółowo o wszystkim, co w tej sprawie zrobili i czego się dotychczas dowiedzieli.

- A teraz - kończyła swoją opowieść - daliśmy ogłoszenie do mnóstwa gazet lokalnych oraz do „Timesa” i innych dużych dzienników. Napisaliśmy, żeby osoby, które cokolwiek wiedzą o Helen Spenlove Halliday, z domu Kennedy, skontaktowały się z nami. Przypuszczam, że ktoś się powinien zgłosić, prawda?

- Tak sądzę, moja droga... tak sądzę.

Głos panny Marple brzmiał jak zawsze łagodnie, ale w oczach miała niepokój. Rzuciła szybkie, badawcze spojrzenie na siedzącą obok dziewczynę. Ten jej ton, pełen zaangażowania, brzmiał niezupełnie szczerze. Gwenda, pomyślała panna Marple, wygląda na zmartwioną. Zapewne zaczęła sobie uświadamiać to, co miał na myśli dr Haydock, kiedy pytał pannę Marple, czy wie, na co to wskazuje. No tak, ale było już za późno, by się wycofać...

- Naprawdę bardzo mnie ta sprawa zainteresowała - powiedziała łagodnym, przeprasającym tonem. - Wiesz, w moim życiu jest tak mało emocji. Czy uznałabyś, że jestem okropnie wścibska, gdybym cię poprosiła, abyś mi dawała znać, co się dalej dzieje?

- Ależ naturalnie, że damy pani znać - odparła Gwenda ciepło. - Będzie pani wiedziała o wszystkim. Przecież gdyby nie pani, nalegałabym na lekarzy, żeby zamknęli mnie w domu wariatów. Proszę mi podać swój tutejszy adres, a poza tym musi pani koniecznie przyjść do nas na drinka... to znaczy na herbatę i zobaczyć nasz dom. Powinna pani poznać miejsce zbrodni, prawda?

Roześmiała się, ale w jej śmiechu był ślad nerwowości. Kiedy pożegnała się i odeszła, panna Marple pokręciła lekko głową i zmarszczyła w zamyśleniu brew.

f;

t

| Giles i Gwenda codziennie gorliwie przeglądali pocztę, ale po-3> czątkowo spotykał ich zawód. Dostali jedynie dwa listy od

prywatnych detektywów, którzy oferowali swoje chęci i umiejętności w zakresie podjęcia poszukiwań.

- Na nich przyjdzie pora później - stwierdził Giles. -A zresztą, jeśli będziemy musieli zatrudnić detektywów, to zwrócimy się do jakiejś renomowanej agencji, a nie do takich, które łapią klientów listownie. Ale naprawdę nie wiem, co innego mógłby zrobić detektyw niż to, co my robimy.

Jego optymizm (czy wiara w siebie) znalazły uzasadnienie kilka dni później. Nadszedł bowiem list napisany starannym, choć nie do końca czytelnym pismem, cechującym człowieka, który często używa pióra.

Gatls HiH Wooleigh Bolton Szanowny Panie,

W odpowiedzi na Pańskie ogłoszenie w „Ttmesie” informuję, że Helen Spenlove Kennedy jest moją siostrą. Straciłem z nią kontakt wiele lat temu i byłbym bardzo rad usłyszeć jakieś wieści o niej.

Z poważaniem James Kennedy, doktor medycyny

- Wooleigh Bolton. To niedaleko - stwierdził Giles.- Do Wooleigh Camp jeździ się stąd na pikniki. Na wrzosowiskach.

To jakieś pięćdziesiąt kilometrów. Napiszmy do doktora Kennedy'ego i zapytajmy go, czy

możemy mu złożyć wizytę, czy może wolałby spotkać się u nas.

Otrzymali odpowiedź, że dr Kennedy oczekuje ich w następną środę.

Wooleigh Bolton było rozległą, z rzadka zabudowaną wioską, ciągnącą się wzdłuż zbocza góry.

Galls Hill okazał się najwyżej położonym domem, na samym szczycie wzniesie-

nią. Rozciągał się z niego widok na Wooleigh Camp i ciągnące się aż do morza wrzosowiska.

- Dość posępne miejsce - oceniła Gwenda, wzdrygając się.

Sam dom też był ponury, a dr Kennedy najwyraźniej gardził takimi nowoczesnymi udogodnieniami, jak centralne ogrzewanie. Kobieta, która otworzyła im drzwi, była posępna i robiła wrażenie nieprzystępnej. Poprowadziła ich przez niemal pusty korytarz do gabinetu. Dr Kennedy wstał na powitanie. Gabinet mieścił się w długim, dość wysokim pokoju, którego ściany zapępniały półki z książkami.

Dr Kennedy był siwowłosym, starszym mężczyzną o świdrujących oczach patrzących przenikliwie spod krzaczastych brwi. Zmierzył ostrym spojrzeniem kolejno oboje swoich gości.

- Państwo Reed? Proszę usiąść tutaj, pani Reed, to krzesło jest chyba najwygodniejsze. O cóż więc chodzi?

Giles gładko rozpoczął swoje wcześniej przygotowane opowiadanie.

Niedawno pobrali się w Nowej Zelandii. Przyjechali do Anglii, gdzie jego żona mieszkała przez pewien czas jako małe dziecko, i usiłują teraz odnaleźć starych przyjaciół rodziny i krewnych.

Dr Kennedy pozostał sztywny i nieprzystępny. Zachowywał się uprzejmie, ale nie krył irytacji z powodu nalegania mieszkańców kolonii na odtwarzanie więzi rodzinnych.

- I sądzicie, że moja siostra... moja przyrodnia siostra... ,a być może i ja... jesteśmy z wami spokrewnieni? - zapytał

Gwendę grzecznie, ale z wyczuwalną wrogością.

- Była moją macochą - odparła Gwenda. - Drugą żoną mojego ojca. Naturalnie nie bardzo ją pamiętam. Byłam wtedy bardzo mała. Moje panięskie nazwisko brzmi Halliday.

Wpatrywał się w nią i nagle, całkiem niespodziewanie, jego twarz rozjaśnił uśmiech. Stał się zupełnie innym człowiekiem, jego powściągliwość znikła bez śladu.

- Dobry Boże! - zawołał. - Nie chce pani chyba powiedzieć, że to pani jest Gwennie!

Gwenda przytaknęła gorliwie. Dawno zapomniane zdrobnienie jej imienia zabrzmiało w jej uszach w sposób sympatycznie znajomy.

- Tak - potwierdziła. - To właśnie ja.

- Nie do wiary. Całkiem dorosła, mężatka. Jak ten czas leci! To już... z piętnaście lat... nie, oczywiście o wiele więcej. Nie pamiętasz mnie, jak sądzę?

Gwenda pokręciła przecząco głową.

- Nie pamiętam nawet mojego ojca. To znaczy, moje wspomnienia są bardzo zamglone.

- Faktycznie... pierwsza żona Hallidaya pochodziła z Nowej Zelandii... pamiętam, mówił mi o tym. Myślę, że to ładny kraj.

- Najpiękniejszy na świecie. Ale Anglię też bardzo lubię.

- Przyjechaliście w odwiedziny czy zamierzacie tu osiaść?

- Zadzwoił na gospodynię. - Musicie się napić ze mną herbaty. - Kiedy wysoka kobieta weszła, powiedział:

- Poproszę o herbatę i... hm... gorące grzanki z masłem albo... albo ciasto czy coś takiego.

Twarz budzącej respekt gospodyni przybrała jadowity wyraz, ale odparła tylko:

- Tak proszę pana - i wyszła.

- Zazwyczaj nie pijam herbaty - wyjaśnił dr Kennedy niepewnie - ale musimy to jakoś uczcić.

- To bardzo miłe z pańskiej strony - stwierdziła Gwenda.

- Nie, nie przyjechaliśmy w odwiedziny. Kupiliśmy tu dom. -Zrobiła krótką przerwę i dodała: - Hillside.

- Och, tak. W Dillmouth. Stamtąd pisaliście - mruknął niewyraźnie dr Kennedy.

- To zupełnie niezwykły zbieg okoliczności - w głosie Gwendy zabrzmiało ożywienie. -Prawda, Giles?

- Tak mi się zdaje - przytaknął Giles. - Naprawdę zdumiewający.

- Widzi pan, był na sprzedaż - ciągnęła Gwenda i, widząc, że dr Kennedy nie rozumie, o czym mówią, dodała: -To ten sam dom, w którym dawno temu mieszkałam.

Dr Kennedy zmarszczył czoło.

- Hillside? Ależ naturalnie... tak, słyszałem, że zmieniono mu nazwę. Kiedyś nazywał się Świętej Jakiejś tam czy jakoś tak... jeśli myślę o właściwym domu... przy drodze Lea-hampton, idąc do miasta po prawej stronie?

-Tak.

- To ten. Zabawne, jak nazwy łatwo uciekają z głowy. Poczekajcie chwileczkę. St Catherine's - tak się kiedyś nazywał.

- I ja tam mieszkałam, prawda? - spytała Gwenda.

- Tak, naturalnie - wpatrywał się w nią z rozczeniem. -Dlaczego chciałaś tu wrócić?

Niemożliwe przecież, żebyś dużo zapamiętała z tamtego okresu.

-Nie. A jednak... miałam wrażenie, jakby to był mój dom.

- Jakby to był twój dom - powtórzył doktor. Jego słowa były bez wyrazu, ale Gilesa zastanowiło, o czym doktor mógł myśleć.

-I dlatego - kontynuowała Gwenda - miałam nadzieję, że pan zechce mi opowiedzieć o wszystkim... o moim ojcu i Helen, i - zakończyła niezręcznie - no, w ogóle o wszystkim...

Spojrzał na nią w zamyśleniu.

- Myślę, że twoi krewni niewiele mogli o tym wiedzieć... ci w Nowej Zelandii. Bo i skąd? Cóż, nie ma wiele do opowiadania. Helen, moja siostra, wracała z Indii tym samym statkiem co twój ojciec. Był wdowcem z małą córeczką. Helen było go bardzo żal, a może zakochała się w nim.

On czuł się samotny, a może zakochał się w niej. Trudno powiedzieć, Jak to jest w takich przypadkach. Pobrali się w Londynie tuż po przyjeździe i zjawili się u mnie w Dillmouth.

Miałem tam

wtedy praktykę. Kelvin Halliday robił wrażenie miłego człowieka, dość znerwicowanego i wyczerpanego, ale wydawali się raczej szczęśliwi ze sobą... wtedy. Przez chwilę milczał.

- Jednakże po upływie niespełna roku - podjął po krótkiej przerwie swoją opowieść - Helen uciekła z kimś innym. O tym zapewne wiedziałaś?

- Z kim uciekła? - spytała Gwenda.

Spojrzał na nią tymi swoimi przenikliwymi oczami.

- Nie powiedziała mi tego - odparł. - Nie cieszyłem się jej zaufaniem. Dostrzegłem, bo nie mogłem nie dostrzec, że między nią a Kelvinem pojawił się jakiś rozdźwięk. Nie wiem, z jakiego powodu. Zawsze byłem dość prostolinijszy i wyznawałem zasadę wierności małżeńskiej. Helen nie chciała, abym wiedział, co się u nich dzieje. Docierały do mnie plotki, co jest normalne, ale nie wymieniano żadnego konkretnego nazwiska. Często miewali goście z Londynu i innych części Anglii. Przypuszczam, że to musiał być ktoś z nich.

- Czy to znaczy, że nie doszło do rozwodu?

- Helen nie chciała się rozwodzić. A przynajmniej tak twierdził Kelvin, kiedy o tym rozmawialiśmy. Dlatego właśnie sądziłem (być może mylnie), że chodziło o kogoś żonatego.

Żonatego z kobietą na przykład wyznania rzymskokatolickiego.

- A mój ojciec?

- On też nie chciał rozwodu.

Dr Kennedy odpowiadał raczej lakonicznie.

- Niech mi pan opowie o moim ojcu - poprosiła Gwenda.

- Dlaczego nagle zdecydował się wysłać mnie do Nowej Zelandii?

- Przypuszczam - odparł po krótkim namyśle dr Kennedy

- że nalegali na to twoi tamtejsi krewni. Po rozpadzie drugiego małżeństwa twój ojciec zapewne doszedł do wniosku, że to najlepsze rozwiązanie.

- A dlaczego sam mnie tam nie zawiózł?

Dr Kennedy popatrzył na komodę, jakby szukał przyrządu do czyszczenia fajki.

- Och, nie wiem... Był dość słabego zdrowia.

- A co mu było? Na co umarł?

W tej chwili otworzyły się drzwi i pojawiła się gospodyni, z pogardliwą miną niosąca przed sobą naładowaną tacę. Znajdował się na niej talerz grzanek z masłem i trochę dżemu, ale nie było żadnego ciasta. Dr Kennedy niepewnym gestem zaprosił Gwendę, żeby naląła herbatę. Zrobiła to. Kiedy filiżanki zostały już napełnione i rozdane, a Gwenda poczęstowała się grzanką, dr Kennedy odezwał się z wymuszoną wesołością:

- Powiedźcie mi, co zmieniliście w domu? Przypuszczam, że nie rozpoznałbym go po przeróbkach, jakie z pewnością zrobiliście.

- Cieszymy się z nowych łazienek - przyznał Giles. Gwenda, wpatrując się w doktora, powtórzyła swoje pytanie:

- Na co umarł mój ojciec?

- Naprawdę nie umiem powiedzieć, moja droga. Jak już wspominałem, przez pewien czas miał kłopoty ze zdrowiem i w końcu pojechał do sanatorium gdzieś na wschodnim wybrzeżu. Umarł jakieś dwa lata później.

- A gdzie dokładnie jest to sanatorium?

- Przykro mi, ale nie pamiętam. Jak powiedziałem, wydaje mi się, że na wschodnim wybrzeżu.

Wyraźnie wykręcał się od odpowiedzi. Giles i Gwenda wymienili szybkie spojrzenia.

- Może mógłby pan powiedzieć nam przynajmniej - odezwał się Giles - gdzie został pochowany? Gwenda, co jest zresztą zupełnie zrozumiałe, bardzo chciałaby pojechać na jego grób.

Dr Kennedy pochylił się nad kominkiem i zaczął scyzorykiem wydłubywać popiół z fajki.

- Wiecie - powiedział dość niewyraźnie - naprawdę nie sędzę, aby grzebanie się w przeszłości miało sens. Czczenie przodków to błąd. Liczy się tylko przyszłość. Jesteście młodzi, zdrowi, macie przed sobą całe życie. Myślcie o tym, co was czeka. Po co zawracać sobie głowę składaniem kwiatów na grobie kogoś, kogo na dobrą sprawę ledwo znałaś?

- Chciałabym zobaczyć grób mojego ojca - stwierdziła Gwenda, a w jej głosie dało się wyczuć bunt.

- Obawiam się, że nie potrafię ci pomóc - ton głosu dr. Kennedy'ego był uprzejmy, ale chłodny. - To było dawno temu, a ja nie mam już takiej pamięci jak niegdyś. Nie utrzymywałem kontaktu z twoim ojcem, od kiedy opuścił Dillmo-uth. Wydaje mi się, że napisał do mnie kiedyś z sanatorium i mam wrażenie, że ten list przyszedł gdzieś ze wschodniego wybrzeża, ale nawet tego nie jestem pewny. I nie mam pojęcia, gdzie go pochowano.

- Jakie to dziwne - powiedział Giles.

- Wcale nie. Ogniwem łączącym nas była Helen. Zawsze czułem się z nią bardzo związany. Jest moją przyrodnią siostrą, o wiele lat młodszą. Staralem się wychować ją najlepiej, jak tylko umiałem. Dobre szkoły i tak dalej. Ale nie ulega wątpliwości, że Helen... cóż, nigdy nie była stała w upodobaniach. Kiedy była jeszcze bardzo młoda, pojawiły się kłopoty w związku z pewnym niepożądanym młodzieńcem. Wyciągnąłem ją z tego. Potem postanowiła wyjechać do Indii i wyjść za mąż za Waltera Fane. To było w porządku, chłopak był miły, syn najlepszego prawnika w Dillmouth, ale szczerze mówiąc nudny jak flaki z olejem. Adorował ją od bardzo dawna, ale Helen nigdy nie zwracała na niego uwagi. Mimo to zmieniła zdanie i postanowiła jechać do Indii, gdzie miała wyjść za niego za mąż. Kiedy jednak zobaczyła go ponownie, rozmyśliła się. Zatelegrafowała do mnie, żebym przysłał jej pieniądze na powrót do domu. Wysłałem. W drodze powrotnej poznała Kelvina. Wzięli ślub, zanim się o tym dowiedziałem. Muszę przyznać, że czułem się trochę zawstydzony postępowaniem mojej siostry. To chyba wyjaśnia, dlaczego nie utrzymywaliśmy z Kelvinem kontaktów po jej ucieczce. A gdzie jest teraz Helen? - zapytał nagle. - Czy możecie mi powiedzieć? Chciałbym się z nią skontaktować.

- Ależ nie wiemy - odparła Gwenda. - Nic zupełnie o niej nie wiemy.

- Och! Po przeczytaniu waszego ogłoszenia... - Spojrzał na nich z nagłym zainteresowaniem. - Powiedzcie mi, dlaczego daliście to zawiadomienie do gazety?

- Chcieliśmy nawiązać kontakt z... - zaczęła Gwenda i raptownie przerwała.

- Z kimś, kogo ledwie pamiętasz? - dr Kennedy wyglądał na zdziwionego.

- Myślałam - powiedziała szybko Gwenda - że jeśli uda mi się skontaktować z Helen... powiedziałyby mi... o moim ojcu.

- Tak... Rozumiem. Przykro mi, ale nie na wiele mogę się wam przydać. Już nie ta pamięć. A to było tak dawno temu.

- Może przynajmniej wie pan - wtrącił Giles - jakiego rodzaju było to sanatorium. Dla gruźlików?

Twarz dr. Kennedy'ego znów przybrała martwy wyraz.

- Tak... tak, wydaje mi się, że właśnie takie.

- W takim razie powinniśmy je bez trudu odnaleźć - stwierdził Giles. - Bardzo panu dziękujemy za wszystkie informacje.

Wstał, a Gwenda poszła w jego ślady.

- Bardzo dziękujemy - powiedziała. - I proszę przyjechać, odwiedzić nas w Dillmouth.

Wyszli z gabinetu i Gwenda, oglądając się przez ramię, spojrzała po raz ostatni na dr.

Kennedy'ego. Stał przy komodzie szarpiąc swój siwiejący wąs z mocno zatroskaną miną.

- On wie coś, czego nam nie chce powiedzieć - zawyrokowała, kiedy wsiedli do samochodu. - Coś w tym jest... och, Giles!... Żałuję... żałuję, że w ogóle zaczęliśmy...

Spojrzeni na siebie i w umyśle obojga zrodziła się ta sama obawa, choć żadne się do tego nie przyznało.

- Panna Marple miała racje - powiedziała Gwenda. - Nie powinniśmy rozgrzebywać przeszłości.

- Nie musimy tego dalej ciągnąć - odezwał się niepewnym głosem Giles. - Myślę, kochanie, że nawet będzie lepiej, jeśli na tym poprzestaniemy.

Gwenda pokręciła przecząco głową.

- Nie, Gilesie, nie możemy się teraz zatrzymać. Jeśli to zrobimy, to już zawsze będziemy się zastanawiać i wyobrażać sobie Bóg wie co. Nie, musimy brnąć dalej... Dr Kennedy nie chciał nam powiedzieć, bo chciał być uprzejmy..., ale tego typu grzeczność wcale nie jest dobra.

Musimy szukać dalej i wyjaśnić, co się naprawdę stało. Nawet jeśli... nawet jeśli to mój ojciec był tym... - przerwała, czując, że nie jest w stanie dokończyć tej myśli.

VIII

Urojenia Kelvina Hallidaya

Następnego ranka byli w ogrodzie, kiedy przyszła pani Cocker z pilną wiadomością.

- Przepraszam pana - powiedziała, zwracając się do Gile-sa. - Dzwoni jakiś doktor Kennedy.

Pozostawiając Gwendzie dalsze uzgadnianie planów ze starym Fosterem, Giles wszedł do domu i podniósł słuchawkę.

- Mówi Giles Reed.

- Tu dr Kennedy. Rozmyślałem o naszej wczorajszej rozmowie, panie Reed. Są pewne fakty, które -jak sądzę - powinniście jednak poznać. Mógłbym przyjechać do was dziś po południu, jeśli będziecie w domu.

- Z całą pewnością będziemy. O której?

- O trzeciej?

- Doskonale.

W ogrodzie stary Foster rozmawiał z Gwendą.

- Czy to ten doktor Kennedy, co to mieszkał tu kiedyś na West Cliff?

- Tak sądzę. Znał go pan?

- Mówili, że to najlepszy doktor, jaki tu był. Nie żeby był tak popularny jak dr Lazenby. Zawsze umiał coś tak powiedzieć, żeby człowiekowi było weselej, taki był ten Lazenby. A dr Kennedy zawsze był jakby niegadatliwy i oschły... ale znał się na swojej robocie.

- Kiedy zrezygnował z praktyki?

- O, już dawno temu. Piętnaście lat albo coś koło tego. Mówią, że podupadł na zdrowiu.

Giles wyszedł na taras i natychmiast odpowiedział na nieme pytanie Gwendy.

- Przyjedzie tu dziś po południu.

- Och! - Znów zwróciła się do Foster. - Czy znał pan siostrę doktora Kennedy'ego?

- Siostrę? O ile pamiętam, to nie. Tyle wiem, że była taka dziewczyna. Wyjechała stąd do szkół, a potem za granicę, chociaż słyszałem, że wróciła tu na trochę po wyjściu za mąż. Ale zdaje mi się, że uciekła z jakimś facetem... mówią, że zawsze była zwariowana. Nie wiem, czy kiedykolwiek ją widziałem. Wie pani, przez jakiś czas miałem pracę w Plymouth.

- Po co przyjeżdża? - spytała Gilesa, kiedy szli w stronę końca tarasu.

- Dowiemy się o trzeciej.

Dr Kennedy zjawił się punktualnie.

- Jakie to dziwne uczucie być tu znowu - powiedział, rozglądając się po salonie, po czym bez dalszych wstępów przeszedł do wyjaśnienia celu swojej wizyty.

- Zakładam, że jesteście zdecydowani odszukać to sanatorium, w którym umarł KeMn Halliday, i poznać wszystkie szczegóły dotyczące jego choroby i śmierci.

- Jak najbardziej - potwierdziła Gwenda.

- Cóż, oczywiście możecie to zrobić bez większego trudu. Doszedłem więc do wniosku, że mniejszym wstrząsem będzie dla was, jeśli dowiedziecie się o tym ode mnie. Przykro mi, że muszę wam o rym powiedzieć, nie da to bowiem nic ani wam, ani nikomu innemu, a tobie, Gwennie, sprawi zapewne wiele bólu. Ale proszę bardzo. Twój ojciec nie chorował na gruźlicę, a sanatorium, w którym przebywał, było szpitalem dla umysłowo chorych.

- Szpitalem dla umysłowo chorych? Czy to znaczy, że był chory psychicznie? - Gwenda przeraźliwie zbladła.

- Nigdy tego nie potwierdzono. I, moim zdaniem, nie był nienormalny, jeśli traktować ten termin w sensie ogólnie przyjętym. Przeszedł bardzo silne załamanie nerwowe i cierpiał na urojenia. Poszedł do szpitala z własnej woli, na własne życzenie i mógł, gdyby tylko zechciał, w każdej chwili stamtąd wyjść. Jego stan nie uległ jednak poprawie i zmarł tam.

- Cierpiał na urojenia? - powtórzył Giles pytająco. - Jakiego rodzaju?

- Wydawało mu się, że udusił żonę - odparł oschłym tonem dr Kennedy.

Z gardła Gwendy wydobył się stłumiony okrzyk. Giles szybko wyciągnął rękę i ujął jej lodowatą dłoń.

- A... a zrobił to? - zapytał.

- Co? - dr Kennedy wpatrzył się w niego. - Nie, oczywiście, że nie. Nie ma co do tego cienia wątpliwości.

-Ale... ale skąd pan to wie? - Głos Gwendy zabrzmiał bardzo niepewnie.

- Moje drogie dziecko! Nigdy nie ulegało to najmniejszej wątpliwości. Helen porzuciła go dla innego mężczyzny. Kelvin już jakiś czas przedtem miał zaburzenia: jakieś koszmarnie sny, chore pomysły. Ostatni wstrząs spowodował załamanie. Nie jestem psychiatrą. Oni umieją wytłumaczyć przyczyny takich stanów. Mąż, który wolałby, aby jego żona była raczej martwa niż niewierna, potrafi uwierzyć, że umarła... a nawet, że sam ją zabił.

Giles i Gwenda ostrożnie wymienili ostrzegawcze spojrzenia.

- Tak więc pana zdaniem - odezwał się cicho Giles - nigdy nie było wątpliwości co do tego, czy faktycznie zrobił to, o czym był przekonany, że zrobił?

- Och, jestem tego zupełnie pewien. Dostałem od Helen dwa listy. Pierwszy był z Francji i dostałem go jakiś tydzień

po jej wyjeździe, a drugi mniej więcej pół roku później. Och, nie, to było wyłącznie jego urojenie i nic więcej. Gwenda wciągnęła głęboko powietrze.

- Czy zechciałby pan opowiedzieć mi o tym? - spytała. -Bardzo proszę.

- Powiem ci wszystko, co mi wiadomo, moja droga. Trzeba zacząć od tego, że Kelvin od pewnego czasu stał się dziwnie neurotyczny. Przyszedł do mnie z prośbą, abym mu pomógł. Mówił, że ma jakieś niepokojące sny, zawsze takie same i zawsze kończące się w ten sam sposób... że dusi Helen. Staralem się dotrzeć do źródła tych niepokojów... przypuszczam, że było nim jakieś wydarzenie z dzieciństwa. Jego rodzice najwyraźniej nie byli szczęśliwym małżeństwem... Cóż, nie będę się nad tym rozwodził. To wydaje się interesujące jedynie medykom. Zasugerowałem Kelvinowi, żeby skontaktował się z psychiatrą; jest kilku doskonałych specjalistów; ale nie chciał o tym słyszeć, uważał, że to nie ma sensu. Domyślałem się, że między nim a Helen nie układa się najlepiej, ale Kelvin nigdy mi o tym nie opowiadał, a ja nie chciałem go wypytywać. Cała sprawa wyszła na jaw, kiedy pewnego wieczora przyszedł do mojego domu... pamiętam, że to był piątek, wróciłem ze szpitala i zastałem go w gabinecie. Czekał na mnie od jakiegoś kwadransa. Jak tylko wszedłem, popatrzył na mnie i powiedział: „Zabiłem Helen”. Przez moment nie wiedziałem, co mam myśleć. Był taki chłodny i rzeczowy. Zapytałem, czy chodzi mu o to, że miał kolejny sen. „Tym razem to nie sen - odpowiedział. - To prawda. Leży tam, martwa. Udusiłem ją”.

Następnie całkiem chłodnym i rzeczowym głosem stwierdził: „Lepiej będzie, jeśli wrócisz ze mną do domu. I stamtąd zadzwonisz na policję”. Nie wiedziałem, co mam o tym myśleć.

Wyprowadziłem z powrotem samochód z garażu i pojechaliśmy. W domu było cicho i ciemno.

Poszliśmy do sypialni. ..

- Sypialni? - przerwała mu Gwenda. W jej głosie zabrzmiało zdumienie.

Dr Kennedy spojrział na nią lekko zaskoczony.

- Tak, właśnie tam się to wszystko zdarzyło. Oczywiście w sypialni niczego nie znaleźliśmy! Nie było żadnej martwej kobiety na łóżku. Wszystko było w porządku, nawet pościel nie była

zgnieciona. Kelvin miał jedynie halucynacje.

- I co ojciec wtedy powiedział?

- Och, naturalnie upierał się przy swojej wersji. Widzisz, on w nią naprawdę wierzył.

Przekonałem go, aby pozwolił sobie dać środek uspokajający, i położyłem go spać na łóżku w garderobie. A potem rozejrzałem się po mieszkaniu. W koszu na śmieci w salonie znalazłem zgnieciony list pozostawiony przez Helen. Był zupełnie jednoznaczny. Napisała coś w tym rodzaju: „To nasze pożegnanie. Przykro mi; nasze małżeństwo było nieporozumieniem od samego początku. Odchodzę z tym jedynym, jakiego kiedykolwiek kochałam. Wybacz mi, jeśli potrafisz. Helen”. Najwyraźniej Kelvin wszedł do domu, przeczytał list od niej, poszedł na górę i przeżył coś w rodzaju szoku nerwowego, po czym przybiegł do mnie, przeświadczony, że zabił Helen. Następnie rozmawiałem z ich służącą. Miała tego dnia wolny wieczór i wróciła późno. Poszedłem z nią do pokoju Helen, żeby przejrzeć ubrania. Sytuacja była całkiem jednoznaczna. Helen spakowała walizkę oraz torbę i zabrała je ze sobą.

Przeszukałem dom, ale nie natrafiłem na ślad niczego niezwykłego... w każdym razie z pewnością nie było tam uduszonej kobiety. Przeżyłem jeszcze bardzo trudne chwile z KeMnem następnego ranka, ale w końcu dał się przekonać, że to tylko urojenie... a przynajmniej mówił, że w to wierzy, i zgodził się pójść do szpitala na leczenie. Jak już mówiłem, tydzień później otrzymałem list od Helen. Wysłany z Biarritz, ale pisała, że wybiera się do Hiszpanii. Miałem przekazać KeMnowi, że ona nie chce rozwodu. I żeby zapomniał o niej najszybciej, jak to możliwe. Pokazałem ten list Kelvinowi. Niewiele powiedział. Zamierzał zrealizować swoje plany. Wysłał telegram do krewnych pierwszej żony do Nowej Zelandii, prosząc, aby zaopiekowali się dzieckiem. Uporządkował swoje sprawy, po czym pojechał do bardzo dobrej prywatnej kliniki psychiatrycznej i podjął odpowiednią kurację. Leczenie nie pomogło mu jednak. Umarł dwa lata później. Mogę wam podać adres tego szpitala. To w Norfolk. Obecny dyrektor był wówczas młodym lekarzem i zapewne będzie mógł wam szczegółowo opowiedzieć o chorobie twojego ojca.

- Potem dostał pan jeszcze jeden list od siostry, prawda? - zapytała Gwenda.

- Och, tak. Jakies pół roku później. Przysłała go z Florencji... i podała adres na poste restante, do panny Kennedy. Jak napisała, doszła do wniosku, że to zapewne nieuczciwe wobec KeMna nie dać mu rozwodu... choć ona tego nadal nie chce. Jeśli Kelvinowi zależy i da jej znać, postara się przesłać mu potrzebne dowody swej winy. Zabrałem list, żeby pokazać Kelvinowi.

Natychmiast powiedział, że nie chce się rozwodzić. Napisałem do niej i powiadomiłem ją o tym. Od tego czasu już się nie odezwała. Nie wiem, gdzie mieszka, ani nawet czy jeszcze żyje. To dlatego zainteresowało mnie wasze ogłoszenie. Miałem nadzieję, że dowiem się od was czegoś na jej temat. Bardzo mi przykro, Gwennie. Musiałaś jednak poznać prawdę. Żałuję tylko, że nie zostawiłaś tej sprawy w spokoju.

IX

Nieznany czynnik?

Giles poszedł odprowadzić doktora Kennedy'ego do drzwi, a kiedy wrócił, zastał Gwendę siedzącą bez ruchu, z czerwonymi rumieńcami na policzkach i oczami tak błyszczącymi, jakby miała wysoką temperaturę. Kiedy zaczęła mówić, jej głos brzmiał ochryple i załamywał się.

- Co to było za stare porzekadło? Jedno z dwojga: śmierć albo szaleństwo? To jest właśnie to: śmierć albo szaleństwo.

- Gwenda... kochanie - Giles podszedł i objął ją. Miała napięte mięśnie i siedziała sztywno.

- Dlaczego nie zostawiliśmy tego w spokoju? No, dlaczego? To mój ojciec ją zadusił. A te słowa, które słyszałam, wypowiedział mój ojciec. Nic dziwnego, że mi się przypomniały. .. że byłam taka przerażona. Mój własny ojciec.

- Poczekaj, Gwendo... chwileczkę. Naprawdę nie wiemy...

- Ależ to oczywiste i my to wiemy! Powiedział doktorowi Kennedy'emu, że zadusił żonę, prawda?

- Ale Kenndey jest pewien, że twój ojciec tego nie zrobił...

- Ponieważ nie znaleźli ciała. Ale ciało było... i ja je widziałam.

- Widziałaś je w korytarzu, a nie w sypialni.

- Co za różnica?

- No cóż, w każdym razie to dziwne, nie sądzisz? Dłacz-

go Halliday miałyby mówić, że udusił żonę w sypialni, jeśli zrobił to w korytarzu?

- Och, nie wiem. To szczegół zupełnie bez znaczenia.

- Nie byłbym tego taki pewny. Weź się w garść, kochanie. W całej tej sprawie jest kilka bardzo dziwnych elementów.

Przyjmijmy, jeśli chcesz, że twój ojciec naprawdę zadusił Helen. W korytarzu. Co było później?

- Poszedł do doktora Kennedy'ego.

- I powiedział mu, że zadusił żonę w sypialni, przyprowadził go do domu, ale ciała nie było w korytarzu... ani w sypialni. Do licha, przecież nie może być morderstwa bez ofiary. Co zrobił z ciałem?

- Zapewne ciało było i doktor Kennedy pomógł mu, po czym wszystko pospiesznie

uporządkował... ale, oczywiście, nie mógł nam o tym powiedzieć.

Giles pokręcił przecząco głową.

- Nie, Gwendo... Nie mogę sobie wyobrazić doktora Kennedy'ego postępującego w ten sposób. To twardy, sprytny, nie ulegający emocjom Szkot. Sugerujesz, że narażałby się na zarzut współuczestnictwa w zbrodni. Nie wierzę, aby to zrobił. Świadczyłby na korzyść Hallidaya, przedstawiając jego stan psychiczny... w to mogę uwierzyć. Ale dlaczego miałby nadstawiać karku, tuszując całą tę sprawę? Kelvin Halliday nie był żadnym jego krewnym ani bliskim przyjacielem. Poza tym została zamordowana jego siostra, którą on najwyraźniej bardzo kochał... nawet jeśli przejawiał nieco wiktoriańską dezaprobatę dla jej lekkomyślnego postępowania. Nawet ty nie mogłaś mieć w tej historii znaczenia decydującego, nie byłaś bowiem dzieckiem jego siostry. Nie, Kennedy nie współuczestniczyłby w ukryciu morderstwa. Gdyby miał to zrobić, jest tylko jedna możliwość, na którą byłby zapewne skłonny przystać - wydałby fałszywe świadectwo zgonu z powodu ataku serca czy czegoś takiego. Przypuszczam, że mógłby coś takiego zrobić... ale też doskonale wiemy, że tak się nie stało. Nie ma bowiem zapisu o jej śmierci w rejestrach parafialnych, a zresztą, gdyby to zrobił, powiedziałby nam, że jego siostra umarła. Biorąc to wszystko pod uwagę, wyjaśnij mi, proszę, jeśli potrafisz, co się stało z ciałem.

- Być może ojciec je gdzieś zakopał... na przykład w ogrodzie?

- A potem poszedł do Kennedy'ego i powiedział mu, że zamordował żonę? Dlaczego? Czemu nie trzymał się wersji, że go opuściła?

Gwenda odgarnęła włosy z czoła. Rozluźniła się już nieco i rumieniec na jej policzkach pomału bladł.

- Nie wiem - przyznała. - Teraz, kiedy tak to naświetliłeś, istotnie cała ta historia wydaje się trochę niedorzeczna. Czy sądzisz, że doktor Kennedy powiedział nam prawdę?

- Och, tak! Jestem o rym głęboko przekonany. Z jego punktu widzenia wszystko jest doskonale uzasadnione. Sny, halucynacje... a w końcu wielkie urojenie. Nie wątpi, że to była halucynacja, ponieważ, jak już uzgodniliśmy, nie może być morderstwa bez ofiary. I tu właśnie nasze poglądy na tę sprawę się różnią, ponieważ my wiemy, że ciało było. -Przerwał na chwilę, po czym ciągnął: - Z jego punktu widzenia wszystko pasuje. Brakujące ubrania i walizka, list pożegnalny. I później dwa listy od jego siostry.

Gwenda poruszyła się niespokojnie.

- No właśnie. Jak wytłumaczyć te listy?

- Na razie nie jesteśmy w stanie. Ale będziemy musieli znaleźć wyjaśnienie. Jeśli przyjmiemy założenie, że Kennedy mówi prawdę (a jak już wspomniałem, jestem pewien, że tak właśnie jest), musimy rozwiązać zagadkę tych listów.

- Myślę, że faktycznie były pisane przez jego siostrę. Rozpoznałby chyba jej pismo, prawda?

- Właściwie nie sędzę, żeby się nad tym zastanawiał. To nie była kwestia podpisu na wątpliwym czeku. Jeśli charakter pisma był wystarczająco podobny do pisma jego siostry, zapewne nie przyszło mu nawet do głowy, żeby podważać ich prawdziwość. Przecież już wcześniej nabrał przeświadczenia, że uciekła z jakimś mężczyzną. Listy jedynie to potwierdziły. Gdyby nie dostał od niej żadnej wiadomości, no cóż, wtedy mógłby zacząć coś podejrzewać.

Mimo wszystko w związku z tymi listami pozostaje parę niejasności, które zapewne nie przyszły do głowy jemu, ale są uderzające dla mnie. Otóż, są one w dziwny sposób anonimowe. Żadnego adresu, po prostu poste restante. Żadnej wzmianki, kim jest człowiek, z którym uciekła. I wyraźna determinacja, aby zerwać wszystkie dawne więzi. Zmierzam do tego, że są to listy dokładnie takie, jakich życzyłby sobie morderca, gdyby chciał uśpić wszelkie podejrzenia ze strony rodziny ofiary. Stary chwyt. Wysłanie listów z zagranicy nie stanowi problemu.

- Myślisz, że mój ojciec...

- Nie, tego właśnie nie myślę. Wyobraź sobie mężczyznę, który postanawia się pozbyć żony. Rozgłasza plotki o jej rzekomej niewierności. Pozoruje jej wyjazd, przygotowuje list pożegnalny, pakuje i zabiera ubrania. Przygotowuje też listy od niej, które będą przychodzić co jakiś czas z zagranicy. W rzeczywistości zaś po cichu morduje ją i ukrywa ciało, powiedzmy, pod podłogą w piwnicy. To typowy model morderstwa, którym się często posługiwano. Ale tego rodzaju morderca z całą pewnością nie biegnie w popłochu do szwagra poinformować go o zabiciu żony i nie pyta, czy nie byłoby lepiej, żeby zawiadomili policję. Z drugiej strony, jeśli twój ojciec był typem zabójcy działającego w afekcie, nieprzytomnie kochał swoją żonę i udusił ją pod wpływem nagłego ataku zazdrości, zupełnie w stylu Otella, (co pasowałoby zresztą do słów, jakie usłyszałaś), z pewnością nie pakowałby ubrań i nie organizował wysyłania listów z zagranicy przed udaniem się z tą hiobową wieścią do kogoś, kto nie należy do osób, które pomogłyby zatuszować całą sprawę. To wszystko nie pasuje, Gwendo. Cały scenariusz jest do niczego.

- A zatem jakie proponujesz rozwiązanie?

- Nie wiem... Wydaje mi się, że tkwi w tym jakiś nieznany czynnik, nazwijmy go X. To ktoś, kto jeszcze się nie pojawił. Ale jego istnienie zdradza metoda, jaką się posłużył.

- X? - spytała Gwenda ze zdziwieniem, po czym nagle jej oczy spochmurniały. - Zmyślasz, Gilesie. Chcesz mnie po prostu pocieszyć.

- Przysięgam, że nie zmyślam. Czy nie czujesz, że nie da się tego wyjaśnić tak, by wszystkie elementy tej łamigłówki pasowały do siebie? Wiemy, że Helen Halliday została uduszona, ponieważ widziałaś...

Przerwał w pół zdania.

- Dobry Boże! Jakież ze mnie głupiec! Teraz już rozumiem. Wszystko się zgadza. Masz rację. I Kennedy też ma rację. Posłuchaj, Gwendo. Helen szykuje się do ucieczki z kochankiem - i to jest właśnie ten człowiek, którego nie znamy.

- Ten X?

Giles niecierpliwie machnął ręką, by mu nie przerywała.

- Napisała liścik do swojego męża, ale wtedy właśnie on przyszedł, przeczytał i wpadł w furję. Zgniół liścik, cisnął go do kosza i rzucił się na nią. Przerazona uciekła na korytarz, ale złapał ją i zaczął dusić. Zemdlała i wtedy ją puścił, po czym stojąc w pewnej odległości od niej, zacytował słowa z „Tragedii księżny Amalfi” właśnie w chwili, kiedy dziecko wyszło z pokoju na górze, dotarło do balustradki przy schodach i spojrzało na dół.

- A co potem?

- Cała sprawa polega na tym, że ona nie umarła. Jemu mogło się zdawać, że nie żyje, ale ona tylko zemdląca. Zapewne zjawił się jej kochanek, już po tym, kiedy mąż w panice pobiegł do domu doktora na drugim krańcu miasteczka. Albo sama odzyskała przytomność. W każdym razie natychmiast po odzyskaniu świadomości wykorzystuje sytuację. I to szybko. Taki przebieg wydarzeń wyjaśnia wszyst-

ko. Przekonanie Kelvina, że ją zabił. Zniknięcie ubrań, które zostały spakowane i wyniesione już wcześniej. I późniejsze listy, które są absolutnie prawdziwe. No proszę: mamy wyjaśnienie.

- Ale nadal nie wiemy, dlaczego Kelvin powiedział, że udusił ją w sypialni - powiedziała Gwenda z namysłem.

- Był tak rozgorączkowany, że nie pamiętał, gdzie się to wszystko zdarzyło.

- Chciałabym ci uwierzyć - stwierdziła Gwenda. - Bardzo bym chciała... Ale nadal jestem pewna... zupełnie pewna, że kiedy spojrzałam w dół, ona była martwa... naprawdę martwa.

- Niby skąd mogłaś to wiedzieć? Miałaś wtedy zaledwie jakieś trzy lata.

Spojrzała na niego dziwnym wzrokiem.

- Myślę, że dziecko potrafi to rozpoznać lepiej niż ktoś starszy. Tak jak pies, który wyczuwa śmierć, zadziera łeb do góry i zaczyna wyć. Myślę, że dzieci znają śmierć...

- Nonsens. Fantazjujesz.

Dzwonek u drzwi wejściowych przerwał ich dyskusję.

- Ciekawe, kto to może być? - zapytał Giles. Gwenda wyglądała na speszoną.

- Zupełnie zapomniałam. Panna Marple. Zaprosiłam ją na dziś do nas na herbatę. Lepiej nie mówmy jej o tym.

Gwenda obawiała się, że ta herbata okaże się wyjątkowo trudna do przełknięcia. Na szczęście panna Marple robiła wrażenie, jakby nie dostrzegала, że jej gospodyni mówi trochę zbyt szybko i z pewną nerwowością, a jej wesołość jest nieco wymuszona. Panna Marple ze swej strony była sympatycznie gadatliwa. Pobyt w Dillmouth sprawiał jej ogromną radość i - czyż to nie ekscytujące? - niektórzy z przyjaciół jej przyjaciół napisali do swoich znajomych w Dillmouth, dzięki czemu otrzymała niezwykle miłe zaproszenia tutejszych mieszkańców.

- Człowiek czuje się o wiele mniej obco, jeśli rozumiesz, co mam na myśli, moja droga, kiedy pozna trochę ludzi mieszkających tu od lat. Na przykład zostałam zaproszona na herbatę do pani Fane, wdowy po starszym wspólniku najlepszej tutejszej firmy prawniczej. A to taka staromodna firma rodzinna. Teraz prowadzi ją młodszy syn pani Fane.

Przekazywane pogodnym tonem plotki ciągnęły się bez końca. Gospodyni panny Marple jest taka uprzejma i tak o nią dba.

- I tak cudownie gotuje. Przez kilka lat pracowała u mojej dawnej przyjaciółki, pani Bantry. Choć sama nie pochodzi z tych stron, jej ciotka mieszkała tu przez wiele lat, a ona przyjeżdżała tu z mężem na wakacje, zna więc mnóstwo miejscowych plotek. A tak przy okazji, czy jesteś zadowolona ze swojego ogrodnika? Słyszałam, że ma opinię bumelanta, który więcej gada niż pracuje.

- Pogaduszki i picie herbaty to jego specjalność - skomentował Giles. - Wypija w ciągu dnia z pięć filiżanek herbaty. Ale pod naszym okiem pracuje doskonale.

- Wyjdźmy może na dwór, pokażemy pani ogród - zaproponowała Gwenda.

Oprowadzili gościa po domu i ogrodzie, a panna Marple zachowywała się pod każdym względem stosownie. Jeśli Gwenda obawiała się wnikliwych obserwacji czy wytknięcia jakichś

niedociągnąć, to bardzo się myliła. Panna Marple zdawała się nie dostrzegać nic niezwykłego. O dziwo, to Gwenda była osobą, która zachowała się w sposób zaskakujący. Przerwała pannie Marple, kiedy ta była mniej więcej w połowie anegdoty o dziecku i muszelce, by bez tchu rzucić w stronę Gilesa:

- Jest mi wszystko jedno... zamierzam jej powiedzieć...

Panna Marple spojrzała na nią z uwagą. Giles zaczął coś mówić, ale rozmyślił się.

- No cóż, wydajesz na siebie wyrok, Gwendo - stwierdził w końcu.

Gwenda zignorowała to ostrzeżenie i wyrzuciła z siebie wszystko. Opowiedziała o wizycie u doktora Kennedy'ego i wizycie doktora u nich, a także o informacjach, jakie im przekazał.

- To przed tym przestrzegaliśmy nas pani w Londynie, prawda? - spytała w końcu bez tchu. - Już wówczas przypuszczała pani, że... że mój ojciec mógł być w to zamieszany?

- Przyszło mi to do głowy jako jedna z możliwości, rzeczywiście - odparła łagodnie panna Marple. - „Helen” zupełnie dobrze mogła być młodą macochą... a w przypadku... hm... uduszenia, bardzo często się zdarza, że mąż jest w to zamieszany.

Panna Marple mówiła jak osoba, która obserwuje zjawiska bez odrobiny zdziwienia czy emocji.

- Teraz już rozumiem, dlaczego namawiała nas pani, żeby zostawić tę sprawę w spokoju - oświadczyła Gwenda. - Och, i tak bardzo żałuję, że nie posłuchaliśmy pani rady. Ale nie można cofnąć tego, co już się stało.

- Nie - potwierdziła panna Marple. - Nie można.

- A teraz proszę wysłuchać Gilesa. On ma różne zastrzeżenia i sugestie.

- Ja tylko twierdzę, że w całej tej historii wiele rzeczy nie pasuje do siebie - powiedział Giles, po czym przejrzyście, jasno wyłożył swoje poglądy, tak jak przedtem w rozmowie z Gwendą.

Następnie przedstawił swoją ostateczną teorię.

- Gdyby zechciała pani przekonać Gwendę, że to jedyna rozsądna możliwość.

Wzrok panny Marple przesunął się z Gilesa na Gwendę i z powrotem.

- To doskonale uzasadniona hipoteza - podsumowała. -

Ale zawsze jest jeszcze, jak sam pan mówił, panie Reed, możliwość udziału jakiegoś X.

- X! - jęknęła Gwenda.

- Nieznanego czynnika - wyjaśniła panna Marple. - Kogoś, kto, jak by tu powiedzieć, jeszcze się nie pojawił, ale jego obecność można wydedukować ze względu na pewne oczywiste fakty.

- Jedziemy do sanatorium w Norfolk - powiedziała Gwenda. - Do tego, w którym umarł mój

ojciec. Zapewne tam się czegoś dowiemy.

X

Historia choroby

Saltmarsh House był ładnie położony, jakieś dziesięć kilometrów od morza. Miał dobre połączenie kolejowe z Londynem z odległego o siedem kilometrów miasteczka South Benham. Gilesa i Gwendę wprowadzono do wielkiego, przestronnego pokoju dziennego, z meblami w kretonowych kwiecistych pokrowcach. Niezwykle sympatycznie wyglądająca siwowłosa staruszka weszła do pokoju ze szklanką mleka w dłoni, skinęła im głową na powitanie i usiadła przy kominku. Jej oczy przez chwilę wpatrywały się nieruchomo w Gwendę, po czym staruszka pochyliła się ku dziewczynie.

- Czy to twoje biedne dziecko, moja droga? - spytała niemal szeptem.

Gwenda wyglądała na nieco zaskoczoną.

- Nie... - odpowiedziała niepewnie. - Nie moje.

- Ach, tak się tylko zastanawiałam. - Staruszka pokiwała głową i zaczęła drobnymi łykami pić mleko. Po chwili znów podjęła rozmowę.

- Wpół do jedenastej... taki mamy czas. Zawsze jest wpół do jedenastej. To w najwyższym stopniu znaczące. - Zniżyła głos i pochyliła się do przodu.

- Za kominkiem - wyszeptwała. - Tylko nikomu nie mówcie, że wam powiedziałam.

W tym momencie do pokoju weszła ubrana w biały mundurek pielęgniarka i poprosiła Gilesa i Gwendę, by poszli za nią.

Zostali wprowadzeni do gabinetu dr Penrose'a, który wstał na ich powitanie.

Gwenda nie mogła opanować wrażenia, że dr Penrose sam wygląda na lekko szalonego. A w każdym razie bardziej przypominał pacjenta niż ta miła staruszka w salonie. Ale zapewne psychiatrzy zawsze wyglądają na trochę obłąkanych.

- Otrzymałem list od państwa, a także od doktora Kenne-dy'ego - powiedział dr Penrose. - I przejrzałem historię choroby pani ojca. Oczywiście całkiem dobrze pamiętam ten przypadek, ale postanowiłem odświeżyć sobie pamięć, aby móc przekazać wam wszystko, co chcielibyście wiedzieć. Rozumiem, że dopiero w ostatnim czasie dowiedzieliście się państwo o tej sprawie? Gwenda wyjaśniła, że wychowywała się w Nowej Zelandii u krewnych matki i wszystko, co wiedziała na temat ojca, sprowadzało się do informacji, że zmarł w szpitalu w Anglii.

- To prawda - przytaknął dr Penrose. - Przypadek pani ojca był z pewnością dość szczególny.

- To znaczy? - spytał Giles.

- No cóż, bardzo silna obsesja czy może urojenie. Major Halliday, choć wyraźnie bardzo zdenerwowany, z największym uporem obstawał przy twierdzeniu, że zadusił swoją drugą żonę pod wpływem ataku furii na tle zazdrości. W jego chorobie nie występowało wiele z typowych dla takich przypadków objawów i powiem szczerze, pani Reed, że gdyby doktor Kennedy nie zapewnił mnie, iż pani Halliday jest cała i zdrowa, potraktowałbym wówczas wyznania pani ojca jako zgodne ze stanem faktycznym.

- Miał pan wrażenie, że faktycznie ją zabił? - spytał Giles.

- Powiedziałem „wówczas”. Później, kiedy lepiej poznałem charakter i psychikę majora Hallidaya, zmieniłem tę opinię. Pani ojciec z całą pewnością nie był typem paranoidalnym. Nie cierpiał na manię prześladowczą, nie miał żadnych napadów furii. Był człowiekiem łagodnym, uprzejmym i potrafił kontrolować swoje zachowanie. Nie był ani tym, co przyjęło się uważać za szaleńca, ani nie stanowił zagrożenia dla otoczenia. Cierpiał jedynie na uporczywą obsesję śmierci pani Halliday i jestem przekonany, że aby poznać jej przyczyny, musielibyśmy cofnąć się daleko w przeszłość, do jakichś przeżyć z dzieciństwa. Ale muszę przyznać, że psychoanaliza w jego przypadku zawiodła i nie udało nam się odnaleźć źródła choroby. Łamanie oporu pacjenta wobec psychoanalizy nieraz trwa bardzo długo. Nawet kilka lat. W przypadku pani ojca nie mieliśmy dość czasu. - Przerwał, po czym spojrzał bacznie na Gwendę. - Wiecie państwo, jak sądzę, że major Halliday popełnił samobójstwo?

- Och, nie! - krzyknęła Gwenda.

- Przykro mi, pani Reed. Myślałem, że pani o tym wie. Ma pani prawo, być może, częściowo obarczać nas winą. Przyznaję, że nie doszłoby do tego, gdybyśmy zastosowali wobec niego odpowiedni nadzór. Ale naprawdę nie dostrzegłem u majora Hallidaya żadnych oznak świadczących, że może być typem samobójczym. Nie przejawiał skłonności do melancholii, nie miał stanów przygnębienia czy załamania. Narzekał na bezsenność i mój kolega zalecił mu odpowiednie pastylki. Major udawał, że je połyka, a tymczasem chował je, aż uzbierała się odpowiednia ilość i... - doktor Penrose rozłożył bezradnie ręce.

- Był aż tak bardzo nieszczęśliwy?

- Nie. Nie sądzę. Dokuczał mu raczej, o ile mogę wydawać sądy, kompleks winy i pragnienie poniesienia kary. Początkowo, jak pani wie, obstawał przy tym, aby wezwać policję. W końcu

zdołaliśmy mu to wyperswadować, zapewnia-

jąc go, że w rzeczywistości nie popełnił żadnego przestępstwa, uparcie jednak nie dawał się przekonać. Choć nieustannie mu to udawadniano i musiał sam przyznać, że nie pamięta nic, co by mogło świadczyć o jego winie. - Doktor Penrose przewertował leżące przed nim papiery. - Jego relacja z tamtego wieczoru była zawsze taka sama. Wszedł do domu. Było ciemno. Służący mieli wolny dzień. Jak zwykle nalał sobie w jadalni drinka, wypił, po czym drzwiami łączącymi pokoje przeszedł do salonu. Dalej nie pamiętał już niczego, absolutnie niczego aż do chwili, kiedy stał w sypialni i patrzył na martwą żonę. I wiedział, że to on ją udusił...

- Proszę wybaczyć, doktorze, że zapytam - przerwał mu Giles - ale skąd wiedział, że popełnił ten czyn?

- Nie miał co do tego cienia wątpliwości. Przez kilka miesięcy poprzedzających tamten dzień zajmował się, jak twierdził, wymyślaniem dzikich i melodramatycznych posądzeń. Męczyło go, na przykład, podejrzenie, że żona podaje mu narkotyki. Był w Indiach, gdzie w lokalnych sądach często rozpatrywane są sprawy przeciwko żonom doprowadzającym mężów do obłądzenia poprzez systematyczne podawanie im trucizny. Kelvin Halliday stosunkowo często cierpiał na halucynacje, połączone z utratą poczucia czasu i dezorientacją. Zdecydowanie odrzucał zarzut, jakoby podejrzewał żonę o niewierność, ale mimo wszystko uważam, że właśnie to było siłą sprawczą. W rzeczywistości wydarzenia zapewne przebiegały następująco: wszedł do salonu, przeczytał list, w którym żona informowała go o odejściu, i nie chcąc przyjąć do wiadomości tego faktu, podświadomie wybrał jej śmierć. Stąd to urojenie.

- Czy to oznacza, że tak bardzo mu na niej zależało? - spytała Gwenda.

- Najwyraźniej tak.

- I nigdy... nie uznał... że to była halucynacja?

- Przyjął do wiadomości, że tak musiało być, ale jego wewnętrzne przekonanie pozostało nienaruszone. Obsesja sta-

ła się zbyt silna, by mogły zadziałać logiczne argumenty. Gdybyśmy potrafili odkryć leżące u jej podstaw urazy z dzieciństwa...

Gwenda przerwała mu. Nie interesowały jej obsesje z dzieciństwa.

- Ale jest pan całkiem pewny, jak pan mówił, że... że on tego nie zrobił?

- Och, jeśli to jest powodem pani zmartwienia, proszę sobie natychmiast wybić je z głowy.

Kelvin Halliday, niezależnie od tego, jak bardzo mógł być zazdrosny o swoją żonę, z całą

pewnością nie był mordercą.

Doktor Penrose zakasłał i wziął mały, zniszczony, czarny zeszytek.

- Jeśli chciałaby pani to wziąć, myślę, że znalazłoby się we właściwych rękach. Są tu notatki, jakie robił pani ojciec w czasie pobytu u nas. Kiedy przekazywaliśmy jego rzeczy wykonawcy testamentu (a właściwie było to biuro prawne), doktor McGuire, ówczesny dyrektor, zachował je jako przyczynek do historii choroby. Przypadek pani ojca, jak pani być może wie, został opisany w książce McGuire'a, ale oczywiście podane są tam jedynie inicjały K.H. Jeśli chce pani wziąć ten pamiętnik...

Gwenda skwapliwie wyciągnęła rękę.

- Dziękuję - powiedziała. - Bardzo chcę go mieć.

W drodze powrotnej do Londynu Gwenda wyciągnęła w pociągu mały, zniszczony, czarny zeszytek i zaczęła czytać.

Otworzyła w przypadkowym miejscu.

Kelvin Halliday napisał tam:

„Myślę, że ci tutejsi lekarze wiedzą, co robią... To wszystko wydaje mi się taką głupotą. Czy kochałem się w mojej matce? Czy nienawidziłem ojca? Nie wierzę w ani jedno słowo z tego ich gadania... Nie mogę się pozbyć wrażenia, że to jest typowa sprawa dla policji - sądu kryminalnego - a nie urojenia pomyleńca. A jednak... niektórzy ludzie tutaj są tacy naturalni, rozsądni - zupełnie jak wszyscy pozostali - póki nie natrafi się nagle na jakiś przejaw obłądzenia. Bardzo dobrze, wygląda na to, że i ja mam bzika. Napisałem do Jamesa... nakłaniałem go, żeby skontaktował się z Helen... Niechby przyjechała i zobaczyła się ze mną, jeśli żyje... Mówi mi, że nie wie, gdzie ona może być... mówi tak, ponieważ wie, że Helen nie żyje, że ją zamordowałem... dobry z niego człowiek, ale nie uda mu się mnie oszukać... Helen nie żyje...

Kiedy zacząłem ją podejrzewać? Dawno temu... Wkrótce po naszym przyjeździe do Dillmouth... zmieniło się jej zachowanie... coś ukrywała... często ją obserwowałem... tak, a ona obserwowała mnie...

Czy podawała mi narkotyki w jedzeniu? Te dziwne, okropne koszmary sennie. To nie były zwykłe sny... żywe koszmary... Wiem, że to wskutek narkotyków... Jedyne ona mogła to robić... Ale dlaczego? Jest jakiś mężczyzna... jakiś mężczyzna, którego się bała...

No dobrze, postawmy sprawę uczciwie. Podejrzewałem, że miała kochanka. Był ktoś - wiem, że

był taki ktoś -sama mi o tym powiedziała na statku... Kochała go i nie mogła poślubić. Oboje byliśmy w tej samej sytuacji... Ja nie potrafiłem zapomnieć Megan... Jak mała Gwennie czasami ogromnie przypomina Megan! Helen na statku tak cudownie bawiła się z Gwennie... Helen... Jesteś taka cudowna...

Czy Helen żyje? Czy też objąłem dłońmi jej szyję i wycisnąłem z niej życie? Przeszedłem przez drzwi z jadalni i zobaczyłem list od niej... na biurku, i wtedy - i wtedy -wszystko stało się czarne - po prostu ogarnęła mnie czerń... Ale nie ma co do tego wątpliwości... zabiłem ją... Chwała Bogu, że Gwennie jest szczęśliwa w Nowej Zelandii. To do-
brzy ludzie. Będą ją kochali ze względu na pamięć o Megan. Megan, Megan, jak bardzo chciałbym, abyś tu była...

To najlepszy sposób... żadnego skandalu... najlepiej dla dziecka. Nie mogę już dłużej. Rok po roku. Muszę pójść na skróty. Gwennie nigdy się o tym nie dowie. Nigdy nie dowie się, że jej ojciec był mordercą..."

Do oczu Gwendy napłynęły łzy. Popatrzyła na siedzącego naprzeciwko Gilesa, ale mąż siedział ze wzrokiem utkwionym w drugim końcu przedziału.

Po chwili poczuł, że Gwenda mu się przygląda i pokręcił lekko głową.

Współpasażer czytał gazetę wieczorną. Na zewnętrznej kolumnie był wyraźnie widoczny melodramatyczny tytuł: „Kim byli mężczyźni w jej życiu?"

Powolnym ruchem głowy Gwenda przytaknęła, po czym wróciła do lektury pamiętnika.
„Był ktoś - wiem, że był ktoś..."

XI

Mężczyźni w jej życiu

Panna Marple minęła Sea Parade i szła spacerkiem po ulicy Fore, która zakręcała koło Arcade na wzgórzu. Sklepy były tu w dawnym stylu: pasmanteria sprzedająca włóczkę i druty do robótek ręcznych, cukiernia, przypominający czasy wiktoriańskie sklep tekstylny oraz inne tego samego rodzaju.

Panna Marple zajrzała przez wystawę do sklepu z włóczką. Dwie młode ekspedientki obsługiwały klientów, ale starsza kobieta w głębi sklepu była wolna.

Panna Marple otworzyła drzwi i weszła. Usadowiła się przy ladzie, a sprzedawczyni, sympatyczna kobieta o siwych włosach, zapytała natychmiast:

- Czym mogę pani służyć?

Panna Marple chciała trochę bladoniebieskiej włóczki, z której mogłaby zrobić na drutach kaftanik dla dziecka. Wybierała swobodnie i bez pośpiechu. Dyskutowała na temat fasonu, przejrzała różne katalogi z modelami ubranek dla dzieci, opowiadając przy tym o swoich ciotecznych wnukach i wnuczkach. Ani ona, ani sprzedawczyni nie okazywały śladu zniecierpliwienia. Sprzedawczyni zdążyła się zresztą przez długie lata przyzwyczaić do klientek takich jak panna Marple. Wolała nawet te uprzejme, rozplotkowane, zapomniane starsze panie niż niecierpliwe, dość niegrzeczne młode matki, które same nie wiedziały, czego chcą, i szukały zawsze rzeczy tanich i efektownych.

- Tak - stwierdziła panna Marple. - Myślę, że to będzie rzeczywiście bardzo ładne. I zawsze uważałam, że storkleg to dobra włóczka. Faktycznie nie zbiega się w praniu. Chyba wezmę jeszcze pięć deka.

Pakując włóczkę, sprzedawczyni zauważyła, że wieje dziś bardzo zimny wiatr.

- Och tak, w rzeczy samej, odczułam to, kiedy szłam ulicą Dillmouth bardzo się zmieniło. Nie byłam tu od... zaraz, niech się zastanowię... od blisko dziewiętnastu lat.

- Naprawdę? To faktycznie znajdzie tu pani wiele zmian. Myślę, że wtedy nie było jeszcze supermarketu ani hotelu Southview?

- Och, nie, było to wówczas całkiem nieduże miasteczko. Mieszkałam wtedy u znajomych... Dom nazywał się St Catherine's... może go pani zna? Przy drodze Leahampton.

Jednakże sprzedawczyni była w Dillmouth dopiero od jakichś dziesięciu lat.

Panna Marple podziękowała jej, zabrała swój pakunek i weszła do sklepu tekstylnego w sąsiedztwie. Tu też zwróciła się do starszej ekspedientki. Rozmowa przebiegała bardzo podobnie, tyle że dotyczyła letnich ubrań. Tym razem, zagadnięta o dom przy Leahampton, sprzedawczyni zareagowała natychmiast.

- To musiał być dom pani Findeyson.

- Tak, no właśnie. Choć moi znajomi wynajmowali go z umeblowaniem. Major Halliday z żoną i małą córeczką.

- Pamiętam, proszę pani. Mieszkali tu coś około roku.

- Istotnie. Po powrocie z Indii. Mieli bardzo dobrą kucharkę. Dała mi cudowny przepis na pieczony pudding z jabłkami oraz, jeśli się nie mylę, na piernik. Często zastanawiam się, co ona teraz porabia.

- Przypuszczam, że chodzi pani o Edith Pagett. Nadal mieszka w Dillmouth. Jest teraz na służbie... w Windrush Lodge.

- Była też jeszcze jedna znajoma mi rodzina - państwo Fane'owie. Zdaje mi się, że pan Fane był prawnikiem.

- Starszy pan Fane zmarł kilka lat temu, a młody pan Walter Fane mieszka z matką. Nie ożenił się. Jest teraz starszym wspólnikiem.

- Naprawdę? Wydawało mi się, że pan Walter Fane wyjechał do Indii, by zająć się uprawą herbaty czy czymś takim.

- Myślę, że rzeczywiście tak było, kiedy był młody. Ale wrócił do domu i po roku czy dwóch wszedł do firmy. Robią najlepsze interesy w okolicy, cieszą się naprawdę doskonałą opinią. A pan Walter Fane to bardzo miły, spokojny człowiek.

Wszyscy go tu lubią.

- Ach prawda! - wykrzyknęła panna Marple. - Był zaręczony z panną Kennedy, zgadza się? A potem ona zerwała z nim i poślubiła majora Hallidaya.

- No właśnie. Pojechała do Indii, żeby wyjść za pana Fa-ne'a, ale chyba zmieniła zamiar i wyszła za kogoś innego.

W głosie ekspedientki pojawiła się lekka nutka dezaprobaty.

Panna Marple pochyliła się w stronę rozmówczynie i zniżyła głos.

- Zawsze mi było bardzo żal biednego majora Hallidaya (znałam jego matkę) i tej małej córeczki.

O ile wiem, druga żona go porzuciła. Uciekła z kimś. Obawiam się, że to była dość płocha kobieta.

- Straszna trzpiotka. A jej brat, doktor, to taki miły człowiek. Ogromnie mi pomógł, jak cierpiałam na reumatyzm w kolanie.

- Z kim uciekła? Nigdy się tego nie dowiedziałam.

- Nie umiem pani powiedzieć. Mówiono, że to był jeden z letników. Ale wiem, że major Halliday całkiem się załamał.

Wyjechał stąd i podobno zapadł na zdrowiu. Proszę, reszta dla pani.

Panna Marple przyjęła resztę i pakunek.

- Bardzo dziękuję - powiedziała. - Zastanawiam się, czy... mówiła pani, że ona nazywa się Edith Pagett... czy ona jeszcze pamięta ten przepis na piernik. Gdzieś go zgubiłam... to znaczy moja roztrzepana pokojówka gdzieś go zapodziała... a ja tak ogromnie lubię dobry piernik.

- Myślę, że pamięta, proszę pani. Jej siostra mieszka tu w sąsiedztwie, jest żoną pana Mountforda, cukiernika. Edith zazwyczaj przychodzi do niej, jak ma wolne, i jestem pewna, że pani Mountford przekaze jej wiadomość.

- To doskonały pomysł. Bardzo dziękuję za wszystko. Narobiłam pani tyle kłopotu.

- Było mi bardzo przyjemnie, zapewniam panią. Panna Marple wyszła na ulicę.

- Bardzo miła staromodna firma - powiedziała do siebie. - A te kamizelki są naprawdę ładne, więc właściwie trudno powiedzieć, że niepotrzebnie wyrzuciłam pieniądze. - Spojrzała na bładoniebieski emaliowany zegarek, który nosiła jak broszkę przy sukni. - Zostało mi pięć minut do spotkania z tymi moimi dzieciakami w „Rudym Kocie”. Mam nadzieję, że to, czego dowiedzieli się w sanatorium, nie było dla nich zanadto przygnębiające.

Giles i Gwenda siedzieli przy stoliku w rogu w „Rudym Kocie”. Między nimi leżał mały, czarny zeszytek.

Panna Marple weszła i dołączyła do nich.

- Czego się pani napije, panno Marple? Kawy?

- Tak, bardzo proszę... ale za ciastko dziękuję, tylko bułeczka z masłem.

Giles złożył zamówienie, a Gwenda popchnęła w stronę panny Marple zeszytek.

- Najpierw musi pani to przeczytać - powiedziała - a dopiero potem porozmawiamy. To jest to, co mój ojciec... co napisał, kiedy był w sanatorium. Och, Giles, ale jeszcze przedtem powiedz pannie Marple, czego dowiedzieliśmy się od doktora Penrose'a.

Kiedy Giles skończył, panna Marple otworzyła mały, czarny zeszytek, a kelnerka przyniosła trzy filiżanki słabej kawy, bułkę z masłem i talerz ciastek. Giles i Gwenda milczeli, wpatrzeni w pannę Marple.

Wreszcie zamknęła zeszytek i odłożyła na stół. Miała trudny do odgadnięcia wyraz twarzy.

Gwenda pomyślała, że panna Marple wygląda na rozgniewaną. Zaciśnięła usta i miała błyszczące oczy, aż nienaturalnie, biorąc pod uwagę jej wiek.

- Tak, w rzeczy samej - powiedziała. - W rzeczy samej!

- Radziła nam pani kiedyś - odezwała się Gwenda - pamięta pani? Radziła nam pani, żeby tego nie ruszać. Rozumiem teraz, dlaczego. Ale my zrobiliśmy po swojemu... i oto, do czego doszliśmy. Teraz jednak wygląda na to, że dotarliśmy do kolejnego etapu, na którym można by... jeśli by ktoś chciał... poprzestać... Czy sądzi pani, że powinniśmy to zostawić? Czy raczej nie?

Panna Marple powoli pokręciła głową. Wyglądała na zmartwioną i zakłopotaną.

- Nie wiem - odparła. - Naprawdę nie wiem. Może byłoby lepiej, o wiele lepiej. Ponieważ po tak długim czasie nic już nie możecie zrobić... mam na myśli, że nic konstruktywnego.

- Chodzi pani o to, że po tak długim czasie niczego już nie uda się nam odkryć? - spytał Giles.

- Och, nie - zaprzeczyła panna Marple. - Wcale nie to miałam na myśli. Dziewiętnaście lat to nie taki znowu długi okres. Nadal wiele osób pamięta, co się wówczas działo, i mogłoby udzielić informacji... całkiem dużo ludzi. Na przykład służba. Musiało być wtedy w domu co najmniej dwoje

służących i opiekunka do dziecka, a także prawdopodobnie ogrodnik. To jedynie kwestia czasu i pewnego wysiłku, żeby tych ludzi odnaleźć i porozmawiać z nimi. A skoro o tym mowa, znalazłam już jedną interesującą osobę. Kucharkę. Nie, nie w tym tkwi problem. Chodziło mi o to, czy może was to doprowadzić do czegoś pozytywnego i skłaniam się ku pogładowi, że... do niczego. A jednak... - przerwała na chwilę. - Jest jednak pewne „ale”... nie potrafię szybko porządkować swoich myśli, ale mam wrażenie, że jest coś... coś zapewne trudnego do wytłumaczenia... co sugeruje, że warto podjąć ryzyko, a nawet... że należałoby je podjąć... tylko naprawdę trudno mi wyjaśnić konkretnie, co to jest...

.- Wydaje mi się... - zaczął Giles i urwał.

Panna Marple zwróciła się doń z wdzięcznością.

- Dżentelmeni - powiedziała - zawsze chyba umieją wszystko usystematyzować. Jestem pewna, że przemyślał pan sobie całą tę sprawę.

- Staralem się to poukładać - stwierdził Giles. - I mam wrażenie, że można tu wyciągnąć dwa wnioski. Jeden jest ten sam, który sugerowałem już poprzednio. Helen Halliday żyła w chwili, kiedy Gwennie zobaczyła ją leżącą w korytarzu. Odzyskała przytomność i uciekła z kochankiem, kimkolwiek był. To ciągle jeszcze pasuje do faktów - na tyle, na ile je znamy. Zgadzałoby się z głęboko zakorzenionym przeświadczeniem Kelvina Hallidaya, że zadusił żonę, a także z brakiem walizki i ubrań oraz liścikiem znalezionym przez doktora Kennedy'ego. Ale są tu pewne luki. Nie wiemy na przykład, dlaczego Kelvin był przekonany, że zadusił żonę w sypialni. I nie wyjaśnia to kwestii, która moim zdaniem stanowi naprawdę słaby punkt tej teorii, otóż: co się obecnie dzieje z Helen Halliday. W moim odczuciu jest bowiem sprzeczne z wszelkim rozsądkiem to, że nigdy więcej nie dała znaku życia. Zakładając, że te dwa listy od niej są autentyczne, co robiła później? Czemu już nigdy potem nie napsała? Była bardzo zżyta z bratem, on jest do niej najwyraźniej bardzo przywiązany i zawsze był. Mógł nie aprobować jej prowadzenia się, ale to nie znaczy, że już nigdy więcej nie chciał mieć z nią kontaktu. I jeśli chcecie poznać moją opinię, ten problem wyraźnie dręczy samego Kennedy'ego. Powiedzmy, że zaakceptował wówczas bez zastrzeżeń całą tę sprawę tak, jak nam ją opowiedział. Odejście jego siostry i załamanie nerwowe Kelvina. Ale nie spodziewał się, że jego siostra już nigdy więcej się nie odezwie. Jak sądzę, z biegiem lat, kiedy nie miał od niej żadnych wiadomości, a Kelvin upierał się przy swoim urojeniu i w końcu popełnił samobójstwo, ta straszna wątpliwość zaczęła kiełkować w jego umyśle. Załóżmy, że Kelvin mówił prawdę? Że naprawdę zabił Helen? Nie odzywała się ani słowem, ale gdyby zmarła gdzieś za granicą, wieść o tym z pewnością dotarłaby do niego. Myślę, że właśnie dlatego tak skwapliwie odpowiedział na nasze ogłoszenie. Miał nadzieję, że naprowadzimy go na jakiś ślad Helen, że dowie się, gdzie ona jest i co robi. Uważam bowiem za zupełnie nienaturalne, aby człowiek zniknął tak... tak całkowicie jak Helen. To samo w sobie jest wysoce podejrzane.

- Zgadzam się z panem - stwierdziła panna Marple. - Ale wspomniał pan o alternatywie.

- Myślałem także - zaczął Giles powoli - o drugiej możliwości. Jest dość nieprawdopodobna, a nawet nieco przerażająca. Wiąże się bowiem z... jak by to powiedzieć... czymś w rodzaju złej woli...

- Tak - przytaknęła Gwenda. - Zła wola to właściwe określenie. A nawet, jak sądzę, coś z pogranicza choroby psychicznej... -wzdrygnęła się.

- Myślę, że wiele na to wskazuje - przytaknęła panna Marple. - W całej tej sprawie jest strasznie

dużo... fałszu... więcej niż można było sobie wyobrazić. Natknęłam się na to...

Na jej twarzy odbiła się zaduma.

- Widzicie, nie da się tego wyjaśnić w sposób naturalny - powiedział Giles. - Przyjmuję teraz mało prawdopodobną hipotezę, że Kelvin Halliday nie zabił żony, choć naprawdę był przekonany, że to zrobił. Czyli zakładam to, w co doktor Penrose, który wydaje się uczciwym człowiekiem, najwyraźniej stara się wierzyć. Jego pierwsze wrażenie po spotkaniu Hallidaya było takie, że ojciec Gwendy zabił żonę i chciał się oddać w ręce policji. Potem musiał uwierzyć doktorowi Ken-nedy'emu, który twierdził, że tak się nie stało. Nieco na siłę postawił więc diagnozę: Halliday stał się ofiarą kompleksów, odchyleń, czy jak oni to zwą w tym swoim żargonie, ale w gruncie rzeczy wcale mu się takie rozwiązanie nie podobało. Ma duże doświadczenie w rozpoznawaniu tego typu przypadków i Halliday mu nie pasował. Jednakże, poznawszy go lepiej, nabrał głębokiego przekonania, że Halliday nie należał do mężczyzn, którzy mogliby udusić kobietę, bez względu na to, jak bardzo by ich prowokowała. Zaakceptował więc teorię obłądki, ale z zastrzeżeniami. A to w rzeczywistości znaczy tyle, że tylko jedna teoria pasuje do tego przypadku: taka oto, że ktoś wpoił Hallidayowi przekonanie, że zabił żonę. Innymi słowy, doszliśmy do tego, że był jakiś X. Analizując bardzo szczegółowo wszystkie fakty, doszedłem do wniosku, że ta hipoteza jest co najmniej możliwa. Według własnej relacji Halliday wszedł tego wieczora do domu, w jadalni nalał sobie drinka, jak zazwyczaj robił... przeszedł do następnego pokoju, zobaczył liścik i stracił przytomność...

Giles przerwał wyczekująco, a panna Marple z aprobatą kiwnęła głową.

- Załóżmy - podjął po chwili Giles - że to nie była utrata przytomności, tylko skutek działania narkotyku, jakiejś domieszki do whisky. Następny krok jest całkiem oczywisty, prawda? X udusił Helen w korytarzu, ale potem zaniósł ją na górę i ułożył na łóżku w pozycji crime possionel. Tam właśnie znalazł się Kelvin po odzyskaniu przytomności. I wtedy ten biedny człowiek, którego mogła dręczyć zazdrość o żonę, pomyślał, że ją zamordował. Co zatem zrobił? Poszedł, i to piechotą, do swojego szwagra, mieszkającego po drugiej stronie miasta. Dało to naszemu X czas na następną sztuczkę. Zapakował i wyniósł z domu walizkę z ubraniami, a także usunął ciało, choć - zakończył Giles z pewną irytacją - nie mam zielonego pojęcia, co z nim zrobił.

- Dziwi mnie, że pan to powiedział, panie Reed - wtrąciła panna Marple. - Powiedziałabym, że to jest akurat najmniejszy problem. Ale proszę, niech pan mówi dalej.

- „KIM BYLI MĘŻCZYŹNI W JEJ ŻYCIU?” - zacytował Giles. - Zobaczyłem taki tytuł w

gazecie, kiedy wracaliśmy pociągiem do domu. Skłoniło mnie to do namysłu, ponieważ to jest kluczowa kwestia, prawda? Jeśli istnieje jakiś X, a założyliśmy przecież jego istnienie, to wiemy o nim tylko tyle, że musiał szaleć na jej punkcie... i to dosłownie szaleć.

- Dlatego nienawidził mojego ojca - odezwała się Gwenda - i chciał, żeby ojciec cierpiał.

- To wszystko, do czego na razie doszliśmy - podsumował Giles. - Wiemy, jakiego typu dziewczyną była Helen... -zawahał się.

- Zwariowaną na punkcie mężczyzn - podsunęła mu Gwenda.

Panna Marple spojrzała na nich, jakby chciała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła.

- ... i że była piękna. Ale nie mamy żadnych wskazówek, jacy inni panowie, prócz męża, odgrywali rolę w jej życiu. A mogło ich być wielu.

Panna Marple pokręciła głową z powątpiewaniem.

- Chyba niezbyt wielu. Jak wiecie, Helen była bardzo młoda. A poza tym niezupełnie ma pan rację, panie Reed. Wiemy coś o, jak pan to nazwał, „mężczyznach w jej życiu”. Był taki jeden, którego zamierzała poślubić...

- Ach, tak, ten prawnik. Jak on się nazywał?

- Walter Fane - odpowiedziała panna Marple.

- No właśnie. Ale trudno go brać pod uwagę. Był w Malezji, Indiach czy gdzieś tam.

- Czy aby na pewno? Wiecie, że on bardzo niedługo zajmował się uprawą herbaty? Wrócił tu i podjął pracę w firmie, a obecnie jest starszym wspólnikiem.

- Zapewne przyjechał za nią! - wykrzyknęła Gwenda.

- Niewykluczone. Nie wiemy tego.

Giles przyglądał się z zaciekawieniem starszej pani.

- Jak się pani tego dowiedziała?

Panna Marple uśmiechnęła się z zażenowaniem.

- Poplotkowałam sobie trochę. W sklepach... i na przystankach autobusowych. Starsze panie mają prawo być wścibskie. A w ten sposób można zebrać sporo informacji.

- Walter Fane - powtórzył w zamyśleniu Giles. - Helen zerwała z nim zaręczyny. Mógł być bardzo rozgoryczony. Czy ożenił się potem?

- Nie - odparła panna Marple. - Mieszka z matką. Jestem zaproszona do nich na herbatę pod koniec tygodnia.

- Jest jeszcze jeden, o którym wiemy - powiedziała nagle Gwenda. - Pamiętacie? Ktoś, z kim się

zareczyła czy związała po opuszczeniu szkoły... ktoś niepożądany, jak mówił doktor Kennedy. Zastanawiam się, dlaczego był niepożądany...

- Mamy zatem już dwóch mężczyzn - stwierdził Giles. - I obaj mogli chować urazę, knuć coś...

Być może pierwszy, to znaczy ten młody mężczyzna, miał jakieś problemy psychiczne.

- Doktor Kennedy mógłby nam o tym opowiedzieć - westchnęła Gwenda. - Tyle, że dość trudno byłoby mi go zapytać. To znaczy, oczywiście mogę do niego pojechać i wypytywać o macochę, którą bardzo mało pamiętam. Ale musiałabym mu jakoś wyjaśnić, dlaczego interesują mnie jej

romanse z młodości. Inaczej mógłby to uznać za raczej przesadne zainteresowanie osobą, którą tak mało znałam.

- Zapewne są i inne metody, aby się tego dowiedzieć - zasugerowała panna Marple. - Jeśli nie będziemy działać pospiesznie i uzbroimy się w cierpliwość, myślę, że zbierzemy informacje, o jakie nam chodzi.

- W każdym razie mamy dwie możliwości - podsumował Giles.

- Przypuszczalnie istnieje jeszcze trzecia - dodała panna Marple. - Byłaby to oczywiście jedynie hipoteza, ale, jak sądzę, uzasadniona, jeśli się weźmie pod uwagę dalszy bieg wydarzeń.

Gwenda i Giles popatrzyli na nią z lekkim zaskoczeniem.

- To tylko przypuszczenie - wyjaśniła panna Marple, lekko się rumieniąc. - Otóż Helen Kennedy pojechała do Indii, żeby poślubić młodego Fane'a. Wyraźnie nie była w nim nieprzytomnie zakochana, ale musiała go lubić na tyle, żeby się zdecydować na spędzenie życia u jego boku. A jednak, kiedy tylko dotarła na miejsce, zerwała zaręczyny i zatelegrafowała do brata, żeby przysłał jej pieniądze na powrót do domu. Dlaczego?

- Zapewne się rozmyśliła - powiedział Giles.

Zarówno panna Marple, jak i Gwenda spojrzały na niego z wyraźnym lekceważeniem.

- Naturalnie że się rozmyśliła - powiedziała Gwenda. - Wiemy o tym. Pannie Marple chodzi o to, dlaczego się rozmyśliła.

- Myślę, że dziewczętom zdarza się zmieniać zdanie - odparł niepewnie Giles.

- W określonych okolicznościach - poprawiła go panna Marple.

W jej słowach kryła się wyraźna insynuacja, taka, jaką starsze panie potrafią włożyć w możliwie najkrótszą wypowiedź.

-Widocznie zrobił coś... - zaczął niepewnie dedukować Giles, ale Gwenda przerwała mu

gwałtownie.

- To oczywiste. Inny mężczyzna! - oświadczyła.

Obie z panną Marple popatrzyły na siebie porozumiewawczo, jak dwie wtajemniczone z jakiejś masońskiej loży, do której nie są dopuszczani mężczyźni.

- Na statku - dodała Gwenda z przekonaniem. - W drodze do Indii!

- Ciągłe przebywanie razem - podsunęła panna Marple.

- Księżycowa poświata na pokładzie - ciągnęła Gwenda. - I temu podobne okoliczności. Ale... to musiało być coś poważnego... coś więcej niż zwykły flirt.

- Och, tak - odparła panna Marple. - Myślę, że było poważne.

- Jeśli tak, to dlaczego nie wyszła za tego faceta? - spytał Giles.

- Być może jemu wcale na niej nie zależało - powiedziała z namysłem Gwenda, po czym pokręciła głową. - Nie, gdyby tak było, mimo wszystko poślubiłaby Waltera Fane. Och, naturalnie, jaka ja jestem głupia! Chodziło o żonatego.

Spojrzała triumfalnie na pannę Marple.

- Dokładnie tak - przytaknęła panna Marple. - Tak właśnie sobie to wyobrażałam. Zakochali się w sobie rozpaczliwie. Ale jeśli on miał żonę... a być może i dzieci... i był przy tym człowiekiem honoru... cóż, oznaczało to, że nie ma nadziei na dalszy ciąg.

- Ona jednak nie mogła już poślubić Waltera Fane - uzupełniła Gwenda. - Dlatego zatelegrafowała do brata i wróciła do domu. Tak, wszystko pasuje. A w drodze do Anglii spotkała mojego ojca...

Przerwała, żeby się zastanowić.

- Nie była to szalona miłość - podjęła po chwili. - Ale ojciec pociągał ją... no i pewną rolę odegrałam w tym ja. Oboje byli nieszczęśliwi... i pocieszali się wzajemnie. Ojciec opowiedział jej o matce, a ona zapewne przyznała mu się do uczucia, jakim darzyła tamtego mężczyznę... Tak, oczywiście - przerzuciła kilka stron w pamiętniku. - „Wiem, że był ktoś... powiedziała mi o tym na statku... ktoś, kogo kochała, ale nie mogła poślubić”. No właśnie. Helen i mój ojciec czuli się bardzo podobnie... a nawet może myślała, że w końcu i ona zagna trochę szczęścia.

Urwała, energicznie pokiwała głową w stronę panny Marple i powiedziała radośnie:

- Tak to musiało wyglądać.

Giles robił wrażenie poirytowanego.

- No wiesz, Gwenda! Wymyślasz jakieś historie i udajesz, że się naprawdę zdarzyły.

- Bo się zdarzyły. Musiały się zdarzyć. I to nam daje trzecią osobę, którą można podstawić pod X.

-To znaczy... ?

- Żonaty mężczyzna. Nie wiemy, jaki był. Wcale niekoniecznie miły. Na przykład trochę szalony. Mógł przyjechać tu za nią...

- Przecież przed chwilą umieściłaś go na statku do Indii.

-Ale zdarza się i tak, że ludzie wracają-z Indii, nie sądzisz? Zrobił to na przykład Walter Fane. A to się stało po upływie blisko roku. Nie twierdzę, że ten człowiek na pewno wrócił; mówię tylko, że istnieje taka możliwość. Rozważałeś kwestię, kim byli mężczyźni w jej życiu. No więc mamy już trzech. Waltera Fane'a, jakiegoś młodego, którego nazwiska nie znamy, i tego żonatego...

- O którym nie wiemy nawet, czy istniał - dokończył Giles.

- Ale się dowiemy. Prawda, panno Marple?

- Bez pośpiechu i nie tracąc cierpliwości - powiedziała panna Marple - możemy się dowiedzieć bardzo wielu rzeczy. A teraz posłuchajcie, co udało mi się osiągnąć. W wyniku bardzo owocnej luźnej konwersacji, jaką przeprowadziłam dzisiaj w sklepie tekstylnym. Otóż odkryłam, że Edith Pa-gett, kucharka, która pracowała w St Catherine's w interesującym nas okresie, nadal mieszka w Dillmouth. Jej siostra wyszła za mąż za tutejszego cukiernika. Myślę, że byłoby całkiem naturalne, Gwendo, gdybyś zapalała chęcią spotkania z nią. Być może potrafi nam udzielić bardzo cennych informacji.

- Cudownie! - ucieszyła się Gwenda. - Pomyślałam też o czymś jeszcze - dodała. - Zamierzam sporządzić nowy testament. Nie rób takiej poważnej miny, Gilesie, i tak cały mój majątek zostawię tobie. Ale postaram się, żeby to Walter Fane zajął się tym dokumentem.

- Bądź ostrożna, Gwendo - przestrzegł ją Giles.

- Sporządzanie testamentu - odparła Gwenda - jest czymś zupełnie naturalnym. Wymyśliłam zresztą całkiem dobre powody. Poza tym chcę go zobaczyć. Chcę zobaczyć, jaki jest, i czy uznam, że to możliwe... - nie dokończyła zdania.

- Dziwi mnie - powiedział Giles - że nikt inny nie odpowiedział na nasze ogłoszenie... na przykład ta Edith Pa-gett...

Panna Marple pokręciła głową.

- Na wsi ludzie długo się zastanawiają, zanim podejmą tego rodzaju decyzję - powiedziała. - Są

podejrzliwi. Lubią wszystko dokładnie przemyśleć.

XII

Lily Kimble

Lily Kimble rozłożyła na kuchennym stole kilka starych gazet, zamierzając osuszyć na nich frytki, które skwierczały już w rondlu. Nucąc bezgłośnie jeden z ostatnich przebojów, pochyliła się i zaczęła bezmyślnie oglądać rozłożone na stole strony. Nagle przestała nucić.

- Jim! - zawołała. - Jim, posłuchaj, dobrze?

Jim Kimble, starszy, małowówny mężczyzna, mył się nad zlewem. Jak zwykle odpowiedział żonie swoją ulubioną monosylabą.

-No?

- W gazecie znalazłam taki kawałek. Żeby każdy, kto wie coś o Helen Spenlove Halliday, z domu Kennedy, skomunikował się z panami Reedem i Hardym w Southampton Row! Chyba chodzi im o panią Halliday, u której pracowałam w St Catherine's. Wynajęli dom od pani Findeyson, ona i jej mąż. Miała na imię właśnie Helen... tak, i była siostrą doktora Kennedy'ego, tego, co to zawsze mówił, że powinnam sobie wyciąć trzeci migdał.

Na moment zapanowała cisza, kiedy pani Kimble wprawnym ruchem wyłożyła frytki. Jim Kimble, parszkając, wycierał twarz w papierowy ręcznik.

- Naturalnie to stara gazeta - wróciła do tematu pani Kimble. Przyjrzała się dacie. - Sprzed tygodnia albo i więcej.

Ciekawe, o co w tym chodzi? Jak myślisz, Jim? Może o jakieś pieniądze?

- No - odparł wymijająco pan Kimble.

- Może chodzi o jakiś testament albo coś takiego - zastanawiała się jego żona. - Strasznie dawne dzieje.

-No.

- Osiemnaście lat temu albo i więcej, jak myślę... Ciekawe, po co to teraz odgrzebali? Nie sądzisz chyba, że policja dała to do gazety, co, Jim?

- A po co? - spytał pan Kimble.

- Przecież wiesz, co ja zawsze myślałam - wyjaśniła tajemniczo pani Kimble. - Mówiłam ci wtedy, jak stamtąd odchodziłam. Udawał, że odeszła z innym. Tak mówią ci mężowie, co to sprzątnęli żony. Tak sobie myślę, że to było morderstwo. To ci właśnie mówiłam i to samo

powiedziałam Edie, ale Edie za żadne skarby świata nie chciała uwierzyć. Ta Edie to nie miała żadnej wyobraźni. A te ubrania, co to pani je rzekomo zabrała... one były zupełnie nie takie, no wiesz, o co mi chodzi. Zniknęła walizka i torba, i tyle ubrań, żeby je wypełnić, ale te ubrania nie były takie, jak trzeba. „Sądząc po tym - powiedziałam wtedy Edie - pan ją zamordował i ukrył w piwnicy”. Tylko że to nie było w piwnicy, bo ta Layonee, szwajcarska niańka, mówiła, że coś widziała. Z okna. Poszła ze mną do kina, choć miała nie opuszczać pokoju dziecinnego, ale co tam, powiedziałam jej, że dziecko nigdy się nie budzi, bo też dobra jak szczerze złoto była ta ich mała, nigdy w nocy nie wychodziła z łóżka. „A pani nigdy nie przychodzi wieczorem do pokoju dziecinnego - mówiłam. - Nikt się nie dowie, jak raz wyjdiesz ze mną”. No i tak zrobiła. A jak wróciliśmy, to był cały ten bałagan. Był doktor, pan, chory, spał w garderobie, a doktor zajmował się nim i to wtedy spytał mnie o te ubrania, a mnie się wydało, że wszystko jest w porządku. Myślałam sobie, że pani uciekła z tym facetem, co go tak lubiła... tym żonatym... a Edie mówiła, że modli się, żeby tylko nas nie mieszano do jakichś spraw rozwodowych. Zaraz, jak on się nazywał? Nie mogę sobie przypomnieć. Zaczynało się na M... a może to było R? No, niech mnie, ale mi się pamięć pogorszyła.

Pan Kimble odszedł od zlewu i, ignorując wszystkie sprawy o mniejszym znaczeniu, zapytał, czy kolacja już gotowa.

-Właśnie odsączam frytki... Poczekaj, niech no wezmę inną gazetę. Tę lepiej zatrzymać. Raczej nieprawdopodobne, żeby stała za tym policja... za dużo czasu minęło. Może to jacyś prawnicy i chodzi o pieniądze... Niby nie ma tu nic o żadnych korzyściach... ale i tak może o to chodzić... żebym miała kogo zapytać. Mówią, żeby napisać na jakiś adres w Londynie... ale nie jestem pewna, czy mam na to ochotę... żeby tak od razu pisać do Londynu... Jak uważasz, Jim?

- No - odparł pan Kimble, wpatrując się głodnym wzrokiem w rybę z frytkami.

Dyskusja została odłożona na później.

XIII

Walter Fane

Gwenda przyglądała się Walterowi Fane, siedzącemu po drugiej stronie szerokiego mahoniowego biurka.

Był mężczyzną około pięćdziesiątki o łagodnej, mało wyrazistej twarzy i wyglądał na zmęczonego. Człowiek z rodzaju tych, których się nie pamięta, jeśli spotyka się ich w zwyczajnych okolicznościach... Ktoś, komu - żeby użyć popularnego określenia - brakuje osobowości. Mówił powoli i starannie, przyjemnie brzmiącym głosem. Zapewne jest bardzo rzetelnym prawnikiem - oceniła Gwenda.

Dyskretnie rozejrzała się po pokoju, stanowiącym biuro starszego wspólnika firmy. Pasuje do Waltera Fane - zdecydowała. Staromodny, z podniszczonymi, ale solidnymi meblami z epoki wiktoriańskiej. Pod ścianami stały ułożone w stosy pudła z dokumentacją, opatrzone naklejkami z nazwiskami budzących respekt lokalnych osobistości. Sir Joh-na Vavasour-Trencha. Lady Jessup. Arthura Ffoulkesa, Esq. (zmarłego).

Wielkie podnoszone okna o dość brudnych szybach wychodziły na kwadratowe podwórko, otoczone solidnymi murami sąsiedniego budynku z siedemnastego wieku. Nie było tu nic eleganckiego ani nowoczesnego, ale też nic obscurnego. Pozornie biuro wyglądało na nieporządne z tymi stosami dokumentacji pod ścianami, obłożonym papierami biurkiem i rzędami ksiąg prawniczych krzywo poustawianych na półce. W rzeczywistości było jednak miejscem pracy kogoś, kto dokładnie wiedział, gdzie sięgnąć po to, czego potrzebował.

Skrzypienie pióra Waltera Fane ucichło. Na jego twarzy pojawił się spokojny, przyjemny uśmiech.

- Myślę, że wszystko jest zrozumiałe, pani Reed - powiedział. - To bardzo nieskomplikowany testament. Kiedy chciałaby pani przyjść go podpisać?

Gwenda odparła, że przyjdzie w dogodnym dla niego terminie. Nie ma powodu do pośpiechu.

- Kupiliśmy tu dom - powiedziała. - Hillside. Walter Fane zerknął do swoich notatek.

- Tak, podała mi pani adres...

W brzmieniu jego stonowanego głosu nie nastąpiła nawet najlżejsza zmiana.

- To wyjątkowo ładny dom - ciągnęła Gwenda. - Bardzo go lubimy.

- Naprawdę? - Walter Fane uśmiechnął się. - Jest położony blisko morza?

- Nie - zaprzeczyła Gwenda. - Wydaje mi się, że zmieniono mu nazwę. Kiedyś nazywał się St Catherine's.

Pan Fane zdjął binokle. Zaczął je czyścić jedwabną chusteczką, patrząc przy tym na biurko.

- Ach, tak - powiedział. - Przy drodze Leahampton?

Uniósł twarz i Gwenda pomyślała, że ludzie noszący okulary wyglądają całkiem inaczej, kiedy je zdejmą. Jego oczy, bardzo jasnoszare, wydawały się dziwnie bezradne i rozkoja-rzone.

Wskutek tego - pomyślała Gwenda - jego twarz wygląda tak, jakby był nieobecny.

Walter Fane z powrotem założył binokle.

- Mówiła pani, jak mi się zdaje - odezwał się urzędowym tonem prawnika - że sporządziła testament z okazji ślubu?

- Tak. Ale zapisałam w nim różne rzeczy krewnym w Nowej Zelandii, którzy od tego czasu zmarli. Pomyślałam więc, że zamiast poprawiać tamten, prościej będzie sporządzić nowy, tym bardziej jeśli zamierzamy tu osiąść na stałe. Walter Fane przytaknął.

- Tak, to całkiem słuszne podejście. Cóż, wydaje mi się, pani Reed, że wszystko jest całkiem jasne. Czy mogłaby pani przyjść pojutrze? Odpowiadałoby pani o jedenastej?

- Tak, naturalnie.

Gwenda wstała, Walter Fane także uniósł się z biurka.

-Ja... ja specjalnie przyszedłam do pana - powiedziała z celowym, wcześniej wyuczonym pośpiechem - ponieważ wydaje mi się... to znaczy sądzę... że znał pan kiedyś moją... moją mamę.

- Naprawdę? - Głos Waltera Fane zabrzmiał trochę serdeczniej. - A jak się nazywała?

- Halliday. Megan Halliday. Myślę... mówiono mi, że był pan z nią kiedyś zaręczony?

Zegar na ścianie tykał, odmierzając czas. Raz, dwa, raz dwa, raz dwa.

Gwenda nagle poczuła, że serce bije jej szybciej. Tak niezwykle spokojny był wyraz twarzy Waltera Fane! Zupełnie jak dom, w którym zaciągnięto żaluzje na wszystkich oknach. To znaczy, że w tym domu leży ktoś martwy. (Co za idiotyczne skojarzenia przychodzą ci do głowy, Gwendo! -skarciła się w myślach.)

- Nie, nie znałam pani matki - odparł Walter Fane nie zmienionym, zupełnie spokojnym głosem.

- Ale byłem niegdyś zaręczony, przez bardzo krótki czas, z Helen Kennedy, która później została drugą żoną majora Hallidaya.

- Ach, rozumiem. Jaka jestem głupia. Wszystko pomieszałam. To znaczy, że chodziło o Helen, moją macochę. Oczywiście to się działo tak dawno, że moja pamięć tego nie obejmuje. Byłam małym dzieckiem, kiedy rozpadło się drugie małżeństwo mojego ojca. Słyszałam, jak ktoś mówił, że

był pan zaręczony z panią Halliday w Indiach i właśnie z powodu Indii skojarzyłam tę informację z moją mamą, to znaczy... wiem, że tata poznał moją matkę w Indiach.

- Helen Kennedy przyjechała do Indii, żeby wyjść za mnie - wyjaśnił Walter Fane. - A potem się rozmyśliła. W drodze powrotnej spotkała pani ojca.

Było to zwykłe, pozbawione emocji stwierdzenie faktu. Gwenda nadal czuła się jak wobec domu z zaciągniętymi żaluzjami.

- Tak mi przykro - powiedziała. - Dotknęłam bolesnego miejsca?

Na twarzy Waltera Fane pojawił się spokojny, miły uśmiech. Żaluzje zostały podniesione.

- Od tego czasu upłynęło dziewiętnaście albo i dwadzieścia lat - powiedział. - Po tak długim czasie młodzieńcze problemy i szaleństwa nie mają już większego znaczenia. A więc pani jest tą małą córeczką Hallidaya. Wie pani o tym, że pani ojciec i Helen mieszkali w Dillmouth przez pewien czas, prawda?

- Och, tak - potwierdziła Gwenda. - Dlatego właśnie przyjechaliśmy tutaj. Naturalnie nie pamiętałam dokładnie, ale kiedy mieliśmy zdecydować, gdzie w Anglii osiadziemy, w pierwszej kolejności przyjechałam do Dillmouth, żeby zobaczyć, jakie ono naprawdę jest. A ponieważ pomyślałam, że to bardzo atrakcyjne miejsce, zdecydowałam, że zamieszkamy tu, a nie gdzie indziej. I czy to nie był szczęśliwy zbieg okoliczności? Kupiliśmy właśnie ten dom, w którym dawniej mieszkała moja rodzina.

- Pamiętam go - Walter Fane znów uśmiechnął się po swojemu, powoli i sympatycznie. -

Zapewne pani mnie sobie nie przypomina, ale mam wrażenie, że to właśnie panią nosiłem wtedy „na barana”.

Gwenda roześmiała się.

- Naprawdę? W takim razie jesteśmy starymi znajomymi, prawda? Nie będę udawać, że pana pamiętam, ale miałam przecież zaledwie dwa i pół roku, może trzy lata, jak sędzę... Czy przyjechał pan wtedy z Indii na urlop?

- Nie, wróciłem z Indii na dobre. Pojechałem tam spróbować sił w uprawie herbaty, ale nie odpowiadał mi ten styl życia. Byłem stworzony do tego, aby pójść w ślady mego ojca i zostać

prozaicznym, pozbawionym pociągu do przygód, prowincjonalnym prawnikiem. Jeszcze przed wyjazdem pozdawałem egzaminy z prawa, więc kiedy wróciłem, od razu podjąłem pracę w firmie. - Przerwał na chwilę, po czym dodał: - I od tamtego czasu nie ruszałem się stąd. - Znów urwał, a potem powtórzył cicho: - Tak, od tamtego czasu...

Ale osiemnaście lat - pomyślała Gwenda - to przecież wcale nie aż tak długo...

Niespodziewanie zmieniając nastrój, Walter Fane zaczął się żegnać z Gwenda.

- Ponieważ jesteśmy, jak widać, starymi znajomymi - powiedział, potrząsając jej dłonią - musi pani któregoś dnia przyjść z mężem na herbatę do mojej mamy. Powiem jej, żeby przysłała pani zaproszenie. A tymczasem zobaczymy się w czwartek o jedenastej?

Gwenda opuściła biuro i zeszła po schodach. W rogu korytarza zauważyła pajęczynę. W środku znajdował się błady, nie rzucający się w oczy pająk. Nie wygląda jak prawdziwy pająk - pomyślała Gwenda. - Taki typowy, żarłoczny pająk, który łapie i pożera muchy. Bardziej jest jak duch pająka. W gruncie rzeczy przypomina trochę Waltera Fane.

Giles spotkał się z żoną na promenadzie nad morzem.

- I co? - spytał.

- Był w Dillmouth w tym czasie - odparła Gwenda. - To znaczy wrócił z Indii. I nosił mnie „na barana”. Ale on nie mógł nikogo zamordować, to wykluczone. Jest na to za spokojny i za łagodny. Zdecydowanie zbyt cichy i łagodny. Naprawdę bardzo miły, tylko należy do tego gatunku ludzi, których nigdy właściwie nie zauważasz. Wiesz, takich, co to przychodzą na przyjęcie, ale nigdy nie spostrzegasz, kiedy z niego wyszli. Wydaje mi się, że jest przerażająco prostolinijszy, bardzo związany z matką i ma mnóstwo zalet. Czyli, z punktu widzenia kobiety, potwornie nudny. Rozumiem, dlaczego nie potrafił zdobyć Helen. Taki miły, bezpieczny mężczyzna, którego można by bez obawy poślubić, gdyby nie fakt, że nie ma się na to najmniejszej ochoty.

- Biedak - ocenił Giles. - I przypuszczam, że musiał za nią szaleć.

-Och, nie wiem... nie sądzę. Zresztą jestem pewna, że nie jest tym naszym pełnym złej woli mordercą.

- Ale musisz chyba przyznać, kochanie, że niewiele wiesz o mordercach, prawda?

- O co ci chodzi?

-No cóż... pomyślałem sobie o Lizzie Borden... jedynie ława przysięgłych uznała, że nie popełniła przestępstwa. A Wallace, spokojny mężczyzna, którego przysięgli uznali winnym

zabicia żony, choć sąd apelacyjny zmienił wyrok. A Armstrong, o którym mówiono, że przez długie lata był takim uprzejmym, skromnym facetem. Nie wierzę w to, że morderca jest zawsze szczególnym typem człowieka.

- Ale ja naprawdę nie wierzę, żeby Walter Fane... - zaczęła Gwenda i urwała w pół zdania.

- O co chodzi?

- Nie, o nic.

Przypomniał się jej widok Waltera Fane'a czyszczącego swoje okulary i jego dziwne, pozbawione wyrazu spojrzenie, kiedy wspomniała o St Catherine's.

- Prawdopodobnie - powiedziała z wahaniem - faktycznie za nią szalał...

XIV

Edith Pagett

Salon w domu pani Mountford był bardzo wygodnym pokojem. Stały w nim: okrągły stół nakryty obrusem, kilka staroświeckich foteli oraz, pod ścianą, wyglądająca na twardą, lecz nieoczekiwanie dobrze sprężynująca sofa. Na komodzie stały porcelanowe psy i inne ozdóbki, a także oprawione w ramki kolorowe portrety księżniczek Elżbiety i Małgorzaty. Na przeciwległej ścianie wisiał portret króla w mundurze marynarskim oraz fotografia pana Mountforda w grupie innych piekarzy i cukierników. Był też obrazek z muszelek i akwarela przedstawiająca bardzo zielone morze na Capri. Znajdowało się tam również wiele innych rzeczy, z których żadna nie pretendowała do miana dzieła sztuki czy symbolu lepszego życia, ale dzięki nim pokój wyglądał na radosny i taki, w którym ludzie chętnie spędzają każdą wolną chwilę.

Pani Mountford, z domu Pagett, była niska, okrągłutka, ciemnowłosa, z kilkoma siwymi pasemkami. Jej siostra, Edith Pagett, była wysoka, smągła i chuda. W jej włosach trudno się było dopatrzeć siwizny, choć na oko miała coś koło pięćdziesiątki.

- No, kto by w to uwierzył - dziwiła się Edith Pagett. -Mała panienska Gwennie. Proszę mi wybaczyć, pani Reed, że tak mówię, ale nie mogę się oprzeć wspomnieniom. Przychodziła panienska do mnie do kuchni, kiedy tylko mogła. „Łyn-

ki", przymawiała się pani. „Łynki". A chodziło pani o rodzyнки, chociaż zupełnie nie mogę zrozumieć, dlaczego tak je pani nazywała. Domagała się pani rodzynek i dawałam je pani, to znaczy sułtanki, bo nie mają pestek.

Gwenda wpatrywała się w wyprostowaną postać o rumianych policzkach i czarnych oczach, starając się przypomnieć ją sobie... przypomnieć... ale nic z tego nie wychodziło. Pamięć bywa taka zawodna!

- Tak bym chciała móc sobie przypomnieć... - zaczęła.

- To mało prawdopodobne. Była pani wtedy takim malutkim kociątkiem. Dzisiaj nikt nie chce pracować w domu, gdzie są dzieci. Nie mogę tego zrozumieć. W moim odczuciu dzieci wnoszą do domu tyle życia. Chociaż posiłki dla niemowląt zawsze mogą sprawiać nieco kłopotu. Ale jeśli rozumie pani, co mam na myśli, to winę za to ponoszą niańki, a nie dzieci. Niańki są niemal zawsze trudne we współżyciu: życzą sobie noszenia im na tacy, czekania i ciągle to tego, to owego. A czy pamięta pani Layonee, panno Gwennie? Och, przepraszam, powinnam powiedzieć: pani Reed.

- Leonie? Czy to była moja niania?

- Tak, dziewczyna ze Szwajcarii. Nie mówiła zbyt dobrze po angielsku i była okropnie drażliwa. Czasami płakała, kiedy Lily powiedziała coś, żeby jej dokuczyć. Lily była pokojówką. Lily Abbot. Młoda dziewczyna, na swój sposób wścib-ska i trochę postrzelona. Wymyślała dla pani mnóstwo zabaw, panno Gwennie. Bawiła się na przykład w „a kuku” na schodach. Gwendę przebiegł nagły, niekontrolowany dreszcz. Schody...

- Pamiętam Lily - powiedziała niespodziewanie. - To ona zawiązała kotu kokardę.

- No patrzcie! Kto by pomyślał, że pani to pamięta! To było na pani urodziny i Lily się uparła, że Thomas musi mieć kokardę. Zdjęła ją z pudełka po czekoladkach i Thomas zaczął szaleć. Wybiegł do ogrodu i tak długo ocierał się o krzaki, aż się jej pozbył. Koty nie lubią, jak się z nimi robi jakieś sztuczki.

- To był taki czarno-biały kot.

- Zgadza się. Biedny stary Tommy. Pięknie łowił myszy. Prawdziwy myszołap. - Edith Pagett przerwała i zakasłała speszona. - Proszę wybaczyć, że się tak rozgadałam. Ale wspomnianie przywraca dawne czasy. Chciała mnie pani o coś zapytać, prawda?

- Z przyjemnością słucham tego, co pani mówi - odparła Gwenda. - I właśnie o to mi chodziło. Wychowywałam się u krewnych w Nowej Zelandii, którzy naturalnie nie byli w stanie opowiedzieć mi o... o moim ojcu czy o mojej macosze. Ona... ona była miła, prawda?

- Och, ona bardzo panienkę lubiła. Zabierała panienkę na plażę, bawiła się w ogrodzie. Sama była jeszcze bardzo młoda, rozumie pani. Często myślałam sobie, że ją te zabawy cieszą nie mniej niż

panią. Wie pani, na swój sposób chowano ją jak jedynaczkę. Doktor Kennedy, jej brat, był od niej dużo starszy i zawsze zamykał się tylko ze swoimi książkami. A ona, jak nie była w szkole, musiała się bawić sama...

- Pani mieszkała przez całe życie w Dillmouth, nieprawdaż? - spytała łagodnie panna Marple, siedząca nieco z tyłu, przy ścianie.

- Och, tak, proszę pani. Ojciec miał gospodarstwo za wzgórzem, nazywało się Rylands. Nie miał synów, a po jego śmierci matka nie dawała sobie rady sama, więc je sprzedała i kupiła mały sklepik z galanterią przy końcu High Street. Tak, całe życie tu spędziłam.

- I, jak sądzę, zna pani wszystkich dawnych mieszkańców Dillmouth?

- Cóż, wtedy to była raczej mała miejscowość. Chociaż, odkąd sięgam pamięcią, w lecie zawsze przyjeżdżało wielu gości.

Ale to byli mili, spokojni ludzie, którzy przyjeżdżali co roku, a nie tacy wycieczkowicze i przypadkowi letnicy jak teraz. Tamci byli z dobrych domów i co roku wynajmowali te same pokoje.

- To pewnie znała pani Helen Kennedy - odezwał się Giles -jeszcze zanim została panią Halliday?

- Cóż, znałam ją z opowiadań, a może też i widywałam czasem. Ale właściwie nie wiedziałam, jaka jest naprawdę, póki nie zaczęłam pracować w St Catherine's.

- I lubiła ją pani - stwierdziła panna Marple. Edith Pagett zwróciła się w jej stronę.

- Tak, proszę pani, lubiłam - oświadczyła z cieniem przekory w głosie. - Niezależnie od tego, co mówili inni. Zawsze była dla mnie ogromnie miła. I nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że mogła zrobić coś takiego. Zupełnie mnie to ścięło z nóg. Chociaż, proszę zauważyć, że gadano...

Przerwała nagle i rzuciła szybkie, przepaszające spojrzenie na Gwendę.

- Ależ ja chcę wiedzieć wszystko - powiedziała impulsywnie Gwenda. - Proszę nie myśleć, że poczuję się dotknięta czymś, co pani powie. Ona nie była moją matką...

- To niby prawda, proszę pani.

- I, widzi pani, bardzo chcielibyśmy... ją odnaleźć. Odeszła stąd... i zdaje się, że zaginął po niej wszelki ślad. Nie wiemy, gdzie mieszka, ani czy w ogóle żyje. A mamy powody... - zawahała się.

- Prawne powody - szybko wtrącił Giles. - Nie wierny, czy powinniśmy uznać ją za zmarłą, czy... czy nie.

- Och, rozumiem pana. Mąż mojej kuzynki został uznany za zaginionego po Ypres i było

mnóstwo problemów z tym, czy żyje. Kuzynka miała z tym naprawdę strasznie dużo zachodu. Naturalnie, proszę pana, jeśli jest cokolwiek, co mogłabym państwu powiedzieć i co byłoby pomocne... przecież państwo nie jesteście obcy. Panna Gwenda i te jej „rynki”. Tak to pani zabawnie mówiła.

- To bardzo miłe z pani strony - powiedział Giles. - Jeśli więc nie będzie pani miała nic przeciwko temu, zapytam wprost. Pani Halliday opuściła dom, z tego co wiem, całkiem niespodziewanie?

- Tak, proszę pana. To był dla nas wszystkich ogromny szok, a zwłaszcza dla majora. Biedny pan zupełnie się załamał.

- I kolejne bardzo bezpośrednie pytanie: czy domyśla się pani, kim był mężczyzna, z którym uciekła?

Edith Pagett pokręciła przecząco głową.

- O to samo pytał mnie doktor Kennedy... a ja nie umiałam mu odpowiedzieć. Lily też nie wiedziała. Ani oczywiście, Layonee, ta cudzoziemka, też nie miała pojęcia.

- Nie wiedziała pani - skomentował Giles. - Ale może mogła się pani czegoś domyślać? Teraz, po tylu latach, nie miałyby większego znaczenia, nawet gdyby się pani myliła. Z pewnością miała pani jakieś podejrzenia.

-No cóż, miałyśmy pewne podejrzenia... ale proszę pamiętać, że to jedynie podejrzenia i nic więcej. I jeśli o mnie chodzi, nigdy niczego nie widziałam. Ale Lily, która jak państwu mówiłam, była dość bystrą dziewczyną, ta Lily to miała swoje pomysły, i to od dawna. „Zapamiętajcie moje słowa - mawiała. - Ten gość się w niej kocha. Wystarczy tylko na niego popatrzeć, jak się jej przygląda, kiedy nalewa mu herbaty. A ta jego żona to ma sztylety w oczach!”

- Rozumiem. A kim był ten... hm... gość?

- Obawiam się, proszę pana, że nie pamiętam jego nazwiska. Po tych wszystkich latach. To był kapitan... Esdale... nie, nie tak... Emery... ale też nie. Wydaje mi się, że miał nazwisko na E. Albo na H. Dość niezwykle. Ale przez szesnaście lat ani razu o nim nie pomyślałam. Mieszkał z żoną w hotelu Royal Clarence.

- Letnicy?

- Tak, ale myślę, że on... a może oboje... znali panią Halliday wcześniej. Często przychodzili z wizytą. W każdym razie Lily uważała, że on się kochał w pani Halliday.

- Co nie podobało się jego żonie.

- No nie... Ale proszę wziąć pod uwagę, że nigdy, ani przez chwilę, nie wierzyłam, że mogło w tym być coś złego. I nadal nie wiem, co o tym myśleć.

- A czy oni byli tu - spytała Gwenda - w Royal Clarence... kiedy... kiedy Helen... moja macocha odeszła?

- O ile pamiętam, wyjechali mniej więcej w tym samym czasie. Dzień wcześniej czy dzień później... w każdym razie różnica była tak nieznaczna, że ludzie zaczęli gadać. Ale nigdy nie słyszałam, żeby mówiono coś konkretnego. Trzymano to w wielkiej tajemnicy, jeśli w ogóle tak właśnie było. Zupełnie niewiarygodne, że pani Halliday odeszła tak całkiem nagle. Ale ludzie mówili, że ona zawsze była niestała... chociaż ja tam tego wcale nie zauważyłam. Nie zdecydowałabym się jechać z nimi do Norfolk, gdybym myślała, że ona jest taka.

Precz moment trójka gości wpatrywała się w nią z napięciem.

- Do Norfolk? - spytał Giles. - Wybierali się do Norfolk?

- Tak, proszę pana. Kupili tam dom. Pani Halliday powiedziała mi o tym jakieś trzy tygodnie wcześniej... zanim się to wszystko stało. Zapytała, czy pojechałabym z nimi, gdyby się przeprowadzili, a ja się zgodziłam. Nigdy nie wyjeżdżałam z Dillmouth i pomyślałam sobie, że może przydałaby mi się jakaś odmiana, a poza tym tak bardzo lubiłam tę rodzinę.

- Nigdy nie słyszałem o kupnie domu w Norfolk - powiedział Giles.

- Cóż, to zabawne, że pan tak powiedział, bo pani Halliday chciała, chyba, trzymać to w tajemnicy. Prosiła mnie, żebym nikomu nie mówiła... i oczywiście nie mówiłam. Ale ona już od jakiegoś czasu chciała wyjechać z Dillmouth. Namawiała majora Hallidaya, żeby się przeprowadzili, tylko że

jemu się tu podobało. Zdaje mi się, że nawet napisał do pani Findeyson, która była właścicielką St Catherine's, czy nie zechciałaby mu sprzedać tego domu. Ale pani Halliday uparcie się nie zgadzała, żeby tu zostali. Wyglądało, jakby zaczęła nienawidzić Dillmouth. Jakby się bała tu zostać.

W tych słowach nie było nic niezwykłego, ale usłyszawszy je trójka słuchaczy znowu się ożywiła.

- A nie sądzi pani - spytał Giles - że Helen chciała jechać do Norfolk, żeby być bliżej tego mężczyzny... tego, którego nazwiska nie może sobie pani przypomnieć?

Edith Pagett robiła wrażenie przygnębionej.

- Och, naprawdę nie chciałabym tak uważać, proszę pana. I ani przez chwilę w to nie wierzyłam. Zresztą nie sędzę, żeby... nie, właśnie mi się przypomniało... oni byli gdzieś z północy, ta pani i ten pan. Wydaje mi się, że z Northumberland. W każdym razie lubili przyjeżdżać w wakacje na południe, bo mówili, że tu jest taki łagodny klimat.

- Ona się tu czegoś bała, prawda? - zasugerowała Gwen-da. - Albo kogoś? Chodzi mi o moją macochę.

- Przypomniało mi się... teraz, kiedy pani to powiedziała... -Tak?

- Pewnego dnia Lily odkurzała schody, a potem weszła do kuchni i mówi: „Ale draka!” Czasami wyrażała się w taki właśnie prostacki sposób, taka już była ta Lily, musicie mi więc państwo wybaczyć. Zapytałam ją wtedy, o co chodzi. Powiedziała, że pani z panem weszli z ogrodu do salonu, a ponieważ drzwi na korytarz były otwarte, słyszała wszystko, o czym mówili.

„Boję się ciebie” - powiedziała wtedy pani Halliday.

„I to naprawdę brzmiało tak, jakby była przestraszona” -mówiła Lily. „Od dawna się ciebie boję - ciągnęła pani. - Jesteś szalony. Naprawdę nie jesteś normalny. Idź sobie i zostaw mnie w spokoju. Musisz dać mi spokój. Boję się, myślę, że podświadomie zawsze się ciebie bałam...” Oczywiście nie umiem dokładnie powtórzyć słów, których użyła, ale mówiła coś w tym sensie. Lily potraktowała to bardzo poważnie i dlatego, jak się to wszystko zdarzyło, to ona...

Edith Pagett gwałtownie urwała. Na jej twarzy odmalowało się przerażenie.

- Ja naprawdę wcale nie chciałam powiedzieć, jestem zupełnie pewna... - wyjąkała. - Proszę mi wybaczyć, czasami nie umiem powstrzymać języka.

- Edith, powiedz nam wszystko, bardzo proszę - odezwał się łagodnie Giles. - Dla nas to jest naprawdę ważne. Musimy wiedzieć. Zdaję sobie sprawę, że to dawne dzieje, ale musimy poznać prawdę.

-Tego z pewnością nie mogłabym powiedzieć - odparła bezradnie Edith.

- Co to było takiego, w co Lily nie wierzyła... czy też właśnie wierzyła? - spytała panna Marple.

- Lily zawsze roily się w głowie najróżniejsze pomysły -odparła przeproszającym tonem Edith Pagett. - Nigdy nie zwracałam na nie uwagi. Bardzo lubiła chodzić do kina, a potem wymyślała różne głupie, melodramatyczne historie. Tej nocy, kiedy to się zdarzyło, też była w kinie... a co więcej, zabrała ze sobą Layonee... zrobiła bardzo niedobrze i powiedziałam jej to. „Och, nic się nie stanie - odparła. -Przecież dziecko nie zostaje samo w domu. Ty jesteś na dole w kuchni, później przyjdą jeszcze pan i pani, a poza tym dziecko jak już zaśnie, to się nigdy nie budzi”. Ale

to było złe i mówiłam jej o tym, choć, oczywiście, nie miałam pojęcia, że Layonee mimo wszystko wyszła z nią. Gdybym wiedziała, to poszłabym sprawdzić czy u małej... to znaczy u panny Gwendy... wszystko w porządku. W kuchni nic nie słychać, jak drzwi są pozamykane. Edith Pagett przerwała na chwilę, po czym podjęła opowieść na nowo:

- Prasowałam. Wieczór upłynął mi bardzo szybko i zorientowałam się, że coś zaszło, dopiero jak doktor Kennedy wszedł do kuchni i zapytał, gdzie jest Lily. Powiedziałam mu, że ma akurat wolny wieczór, ale lada moment wróci, i faktycznie zaraz przyszła, a doktor zabrał ją na górę, do pokoju pani. Chciał wiedzieć, czy pani zabrała ze sobą rzeczy, i jakie. No więc Lily się rozejrzała, powiedziała mu, po czym przyszła na dół, do mnie. Była okropnie poruszona. „Rzuciła to wszystko - powiedziała - i odeszła z kimś. Pan jest całkiem nieprzytomny. Miał wylew czy coś. Najwyraźniej to dla niego okropny szok. Głupi. Powinien był przewidzieć, że tak się to skończy”. „Nie wolno ci mówić w ten sposób - skarciłam ją. - Zresztą skąd wiesz, że z kimś odeszła? Może dostała telegram od chorego krewnego?” „Akurat, chory krewny, na pewno w to uwierzę” - odparła Lily (uprzedzałam, że ona się tak prostacko wyrażała). - Zostawiła liścik”. „Z kim odeszła?” - zapytałam. „A jak myślisz?” - odpowiedziała Lily. - Nie sądzę, aby to był pan Chodzący Rozsądek Fane, mimo że gapił się na nią takim maślanym wzrokiem i laził za nią jak pies”. A ja na to: „Myślisz, że to kapitan... jak tam się on nazywał?” A ona odpowiedziała: „Mogłabym się założyć, że to on. Chyba żeby to był ten nasz tajemniczy pan w lśniącym samochodzie”. (To było takie nasze żartobliwe określenie). Powiedziałam jej wtedy: „Nie wierzę w to. Nie pani Halliday. Ona nie zrobiłaby czegoś takiego”. A Lily odpowiedziała: „A jednak chyba zrobiła”. Tak to wyglądało na samym początku - ciągnęła Edith Pagett. - Ale później, już w naszej sypialni, Lily nagle mnie obudziła. „Wiesz co? - powiedziała. - To wszystko mi nie gra”. „Co ci nie gra?” - spytałam. A ona na to: „Te ubrania”. „O czymże ty mówisz? - znowu spytałam. A Lily: „Posłuchaj, Edie. Przejrzałam jej ubrania, bo mnie doktor prosił. Nie ma walizki i tylu rzeczy, żeby ją zapełnić... ale to nie są takie rzeczy, jak potrzeba”. „O co ci chodzi?” - zapytałam. A Lily na to: „Wzięła wieczorową suknię, tę szarosrebrną, ale nie zabrała wieczorowego paska ani bransolety, ani halki, którą pod nią nosi. I do tego wzięła wieczorowe buty ze złotego brokatu, a nie te srebrne, z paseczków. Zabrała ten zielony tweed, którego nigdy nie wkłada aż do późnej jesieni, ale nie spakowała swojego ulubionego sweterka. A za to nie ma tych koronkowych bluzek, które wkładała tylko do wyjściowego kostiumu. I ta bielizna, którą wzięła, też dziwne rzeczy. Zapamiętaj moje słowa,

Edie - mówiła Lily - ona stąd wcale nie wyszła. Pan ją załatwił". To mnie całkiem rozbudziło. Usiadłam i zapytałam, o czym ona u licha gada. „Tak jak w ubiegłym tygodniu, w "Wiadomościach ze Świata« - powiedziała Lily. - Mąż odkrył, że jego żona miała innego, zabił ją, zniósł do piwnicy i tam zakopał. Ty byś niczego nie usłyszała, bo piwnica jest pod korytarzem. Mówię ci, że tak zrobił, a potem spakował jej walizkę, żeby wyglądało na to, że uciekła. Ale ona tam jest... w piwnicy, pod podłogą. Nie wyszła żywa z tego domu". Zbeształam ją wtedy solidnie za wygadywanie takich okropnych rzeczy. Przyznam, że rano zajrzałam jednak chyłkiem do piwnicy. Wszystko tam było jak zwykle, nic nie ruszane i żadnych śladów kopania. Poszłam wtedy do Lily i powiedziałam jej, że robi z siebie głupią, ale ona się uparła, że to pan załatwił panią Helen. „Pamiętasz - mówiła - ona się go śmiertelnie bała. Słyszałam, jak mu to powiedziała". A ja jej na to: „A tu to się bardzo mylisz, moja panno, bo to wcale nie był pan. Zaraz po tym, jak mi opowiedziałas, co słyszałaś, wyrzłam przez okno i zobaczyłam, jak pan schodził ze wzgórza z kijami golfowymi, czyli nie mógł być z panią w salonie. To był ktoś inny". Słowa te przez dłuższą chwilę wisiały w powietrzu w wygodnym, zwyczajnym saloniku.

- To był ktoś inny... - powtórzył cicho Giles.

XV

Adres

Royal Clarence był najstarszym hotelem w mieście. Fasadę zdobiły łagodne łuki, a wewnątrz panowała atmosfera dawnych lat. Nadal zabiegano tu o tego rodzaju rodziny, które co roku przyjeżdżały na miesiąc nad morze.

W recepcji urzędowała panna Narracott, czterdziestosied-mioletnia dama o obfitych kształtach i staroświeckiej fryzurze.

Odkłoniła się Gilesowi, wprawnym wzrokiem oceniwszy go jako „jednego z naszych miłych gości”. A Giles, który gdy tylko chciał, potrafił mówić jak z nut i niezwykle przekonująco, zaczął snuć swoją opowieść. Otóż założył się z żoną, że jej matka chrzestna, kiedy była tu osiemnaście lat temu, zatrzymała się właśnie w tym hotelu. Żona twierdzi, że nigdy tego sporu nie rozstrzygną, ponieważ z pewnością wyrzucono już tak stare księgi rejestracji gości, ale on jej powiedział, że mówi głupstwa. Firma taka, jak Royal Clarence z pewnością przechowuje wszystkie księgi, nawet te sięgające stu lat wstecz.

- Cóż, to niezupełnie tak, panie Reed. Ale trzymamy wszystkie nasze Księgi Gości, jak je nazywamy. Są w nich bardzo interesujące nazwiska. Nawet król zatrzymał się tu kiedyś, jeszcze jako księżę Walii, swego czasu przyjeżdżała tu również co roku w zimie księżna Adlemar Holstein-Rotz

ze swoją damą dworu. Bywali także niektórzy sławni pisarze oraz pan Dovey, portrecista.

Giles zareagował w odpowiedni sposób, okazując stosowne zainteresowanie i szacunek, wskutek czego po pewnym czasie przyniesiono mu niedostępną dla zwykłych śmiertelników księgę rejestracyjną z roku, o który mu chodziło.

Obejrzawszy najpierw pokazywane mu wpisy różnych znanych osobistości, w końcu przewrócił stronę na sierpień.

Tak, to był z pewnością ten wpis, którego szukał.

Major Setoun Erskine z małżonką, Anstell Manor, Daith, Northumberland, od dwudziestego siódmego lipca do siedemnastego sierpnia.

- Czy mógłbym sobie to zapisać?

- Ależ naturalnie, panie Reed. Tu jest papier i atrament. Och, ma pan własne pióro. Proszę mi

wybaczyć, muszę zająć się obsługą gości.

Zostawiła go nad otwartą księgą i Giles zabrał się do pisania.

Wróciwszy do Hillside zastał Gwendę w ogrodzie, pochyloną nad rabatą.

Wyprostowała się i spojrzała pytająco.

- Udało się?

- Tak; myślę, że to o nich chodziło.

- Anstell Manor, Daith, Northumberland - przeczytała cichym głosem Gwenda. - Tak, Edith Pagett mówiła o Northumberland. Ciekawe, czy jeszcze tam mieszkają...

- Będziemy musieli pojechać i sprawdzić.

- Tak... najlepiej będzie, jeśli pojedziemy... kiedy? -Jak najszybciej. Jutro? Możemy pojechać samochodem. Przy okazji zobaczysz kawałek Anglii.

- A jeżeli oni już nie żyją... albo wyprowadzili się i mieszka tam kto inny?

Giles wzruszył ramionami.

- To wrócimy i będziemy dalej badać pozostałe ślady. Na-

писаłem do doktora Kennedy'ego i poprosiłem go, żeby przysłał mi te listy, które dostał od Helen po jej odejściu (o ile je nadal ma), a także próbkę jej pisma.

- Chciałabym - westchnęła Gwenda - skontaktować się z tą drugą służącą, z Lily, tą, która zawiązała Thomasowi kokardę...

- Zabawne, że tak nagle ci się to przypomniało, Gwendo.

- Prawda? Pamiętam też Tommy'ego. Był czarny w białe łatki i miał trzy śliczne kociaki.

- Kto? Thomas?'

- Tak. Nazywał się Thomas, potem jednak okazało się, że to była Thomasina. Wiesz, jak to jest z kotami. Ale wracając do Lily... zastanawiam się, co się z nią stało? Wygląda na to, że Edith Pagett zupełnie straciła ją z oczu. Ona nie była z tych stron... po odejściu z St Catherine's najęła się do pracy w Torquay. Napisała raz czy dwa, i na tym koniec. Edith mówiła, że podobno wyszła za mąż, ale nie wie, za kogo. Gdyby nam się udało ją znaleźć, moglibyśmy się od niej dużo dowiedzieć.

- I od Leonie, tej Szwajcarki.

- Zapewne... z tym, że ona była cudzoziemką i nie rozumiała wielu rzeczy, które się tu działy.

Wiesz, wcale jej nie pamiętam. Nie, wydaje mi się, że to Lily byłaby przydatna. Lily była

bystra... Wiem, co zrobimy. Dajmy jeszcze jedno ogłoszenie, adresowane do niej, do Lily Abbot,

bo tak się nazywała.

- Dobrze - zgodził się Giles. - Możemy spróbować. I koniecznie musimy jutro pojechać na północ. Zobaczymy, czego uda nam się dowiedzieć o Erskine'ach.

XVI

Maminsynek

- Leżeć, Henry - poleciła pani Fane astmatycznemu spanielowi, którego wilgotne oczy zdradzały łakomstwo. - Może jeszcze bułeczkę, panno Marple, póki ciepłe?

- Dziękuję. Są naprawdę wyśmienite. Ma pani świetną kucharkę.

- Luisa faktycznie jest niezła. Wprawdzie straszna z niej zapominalska, ale one wszystkie są takie. No i puddingi są zawsze podobne. Proszę mi powiedzieć, jak tam Dorothy Yar-de z tym swoim ischiasem? Kiedyś okropnie cierpiała z jego powodu. Podejrzewam, że to było głównie na tle nerwowym.

Panna Marple pospiesznie zaczęła informować swoją gospodynię o szczegółach dolegliwości, z jakimi borykała się ich wspólna znajoma. Co za fortunny zbieg okoliczności, myślała przy tym, że wśród licznych przyjaciół i krewnych rozproszonych po całej Anglii udało się jej znaleźć kobietę, która znała panią Fane. I jak to miło, że zechciała napisać liścik z informacją, że panna Marple przebywa obecnie w Dillmouth, i prośbą, aby droga Eleanor była tak dobra i zaprosiła ją do siebie.

Eleanor Fane była wysoką, majestatyczną kobietą o sta-lowoszarych oczach, kędzierzawych siwych włosach i niemowlęcej, różowobiałej karnacji, która maskowała fakt, że w osobie tej nie było ani odrobiny dziecięcej miękkości.

Obie panie przedyskutowały problem chorób lub urojonych dolegliwości Dorothy, po czym przeszły do kwestii związanych ze zdrowiem panny Marple, powietrza w Dillmo-uth oraz generalnie złej kondycji większości przedstawicieli młodszego pokolenia.

- Nie zahartowano ich w dzieciństwie - oświadczyła pani Fane. - Moje dzieci były chowane zupełnie inaczej.

- Myślałam, że ma pani tylko jednego syna?

- Mam trzech. Najstarszy, Gerald, jest w Singapurze, w Far East Bank. Robert jest w wojsku

- pani Fane prychnęła przy tym gniewnie. - Ożenił się z katoliczką - powiedziała znacząco - a wie pani, co to znaczy! Wszystkie dzieci wychowują na katolików. Nie wiem, co by na to powiedział ojciec Roberta. Mój mąż był bardzo silnie związany z Kościołem anglikańskim. Obecnie bardzo rzadko dostaję jakieś wiadomości od Roberta. Czuje się dotknięty tym, co mu

kiedyś powiedziałam, zresztą wyłącznie dla jego dobra. Hołduję zasadzie szczerości i mówię zawsze to, co myślę. A jego małżeństwo, moim zdaniem, to wielkie nieszczęście. Może sobie udawać, że jest szczęśliwy, biedak, ale w moim odczuciu jest to absolutnie niewystarczające.

- A pani najmłodszy syn nie ożenił się, jak mi się zdaje? Pani Fane rozpromieniła się.

- Nie, Walter mieszka w domu. Jest dość delikatny, zresztą zawsze taki był, od najmłodszych lat. I zawsze musiał bardzo uważać na zdrowie. Wkrótce tu przyjdzie. Nie potrafię pani powiedzieć, cóż to za troskliwy i oddany syn. Naprawdę mam dużo szczęścia, że trafiło mi się takie dziecko.

- I nigdy nie myślał o ożenku? - dopytywała się panna Marple.

- Walter twierdzi, że nie potrafi się zainteresować współczesnymi młodymi kobietami. Nie pociągają go. Mamy tak wiele wspólnych upodobań, że nawet nie wychodzi z domu tak często, jak powinien. Wieczorami czytuje mi Thacke-

raya, zazwyczaj też gramy w pikietę. Jest prawdziwym domatorem.

- Jakie to miłe - skomentowała panna Marple. - A czy zawsze pracował w firmie? Ktoś mi mówił, że ma pani syna, który był plantatorem herbaty na Cejlonie. Ale to zapewne pomyłka.

Przez twarz pani Fane przebiegł lekki grymas. Podsunęła gościowi ciasteczko orzechowe i zaczęła wyjaśniać.

- Działo się to, kiedy był jeszcze bardzo młody. Uległ jednemu z tych młodzieńczych impulsów. Chłopak zawsze tęskni za szerokim światem. A właściwie kryła się za tym dziewczyna.

Dziewczeta potrafią wywołać takie ogromne wzburzenie.

- O, tak, w rzeczy samej. Pamiętam, że kiedyś mój bratanek...

Pani Fane ciągnęła swój wątek, ignorując bratanka panny Marple. Wiodła prym i ani myślała zrezygnować z przyjemności powspominania sobie w obecności tej sympatycznej znajomej drogiej Dorothy.

- To była w najwyższym stopniu nieodpowiednia dziewczyna, jak to zresztą przeważnie bywa w takich sytuacjach. Och, naturalnie nie chodzi o aktorkę czy kogoś takiego. Siostra tutejszego lekarza, a właściwie bardziej jak jego córka, o wiele lat od niego młodsza. Ten biedny człowiek zupełnie nie wiedział, jak ją wychować. Mężczyźni są tacy bezradni, nie uważa pani? Otóż dziewczyna wyrosła zupełnie bez zasad, związała się najpierw z młodzieńcem z biura, takim zwykłym urzędnikiem o bardzo nieciekawym charakterze. Musieli się go pozbyć z firmy. Powtarzam pani poufne informacje. W każdym razie ta dziewczyna, ta Helen Kennedy, była uważana za bardzo ładną. To znaczy, mnie się nie podobała. Zawsze wydawało mi się, że

musiała trochę farbować włosy. Ale Walter, biedny chłopak, bardzo się w niej zakochał. Jak mówiłam, dziewczyna była zupełnie dla niego nieodpowiednia, bez majątku i bez perspektyw, całkiem nie taka, jaką chciałoby się mieć za synową. Cóż jednak matka może? Walter oświadczył się jej, dostał odpowiedź odmowną i to właśnie wtedy przyszedł mu do głowy ten głupi pomysł, żeby wyjechać do Indii i zostać plantatorem herbaty. Mąż powiedział wówczas: „Pozwólmy mu pojechać”, choć, oczywiście, był bardzo rozczarowany. Liczył, że Walter przyjdzie pracować u niego w firmie, zwłaszcza że miał już zdane wszystkie egzaminy z prawa i inne. No cóż, ale tak wyszło. Naprawdę, te młode kobiety potrafią namieszać!

- Och, wiem. Mój bratanek...

Pani Fane ponownie zignorowała bratanek panny Mar-ple.

- Tak więc mój drogi chłopak pojechał do Assam, a może to było Bangalore, nie pamiętam już po tylu latach. Byłam ogromnie przygnębiona z tego powodu, wiedziałam bowiem, że jego zdrowie tego nie zniesie. Nie minął jednak rok (w czasie którego zupełnie dobrze sobie radził, bo też Walter wszystko robi bardzo dobrze) kiedy, uwierzyłaby pani" w coś takiego? Ta bezwstydną dziewczucha zmieniła zdanie i napisała do Waltera, że jednak chciałaby za niego wyjść.

- No proszę! - panna Marple pokręciła głową.

- Spakowała manatki, wykupiła bilet... i jak pani sądzi, co było dalej?

- Nie potrafię odgadnąć - panna Marple pochyliła się w stronę rozmówczynie, niezmiernie zaciekawiona.

- Proszę sobie wyobrazić, że wdała się w romans z żonatym mężczyzną. Na statku. Żonatym mężczyzną, z trójką dzieci, jak mi się zdaje. W każdym razie Walter czekał na nią na nabrzeżu, a ta, ledwo go zobaczyła, oświadczyła, że jednak nie weźmie z nim ślubu. Czy pani nie uznałaby tego za podłość?

- Och, z pewnością. To mogło całkiem zniszczyć wiarę pani syna w ludzi.

- Po czymś takim powinien był przejrzeć na oczy i zobaczyć, jaka ona naprawdę jest. Ale też tego typu kobietom zawsze wszystko uchodzi bezkarnie.

- Czyżby pani syn - panna Marple zawahała się - nie czuł do niej urazy po czymś takim?

Niektórzy mężczyźni byliby okropnie rozgniewani.

- Walter od najmłodszych lat doskonale umiał nad sobą panować. Żeby był nie wiem jak bardzo

przygnębiony czy zirytowany, nigdy nie pokazuje tego na zewnątrz.

Panna Marple przyjrzała się swojej rozmówczyni z namysłem. Ostrożnie zapuściła sondę.

- Zapewne dlatego, że tak głęboko przeżywa? Czasami dzieci naprawdę bywają zadziwiające.

Potrafia nagle wybuchnąć, wtedy właśnie, kiedy wszystkim się zdaje, że mają do czegoś stosunek zupełnie obojętny. Zdarza się to zwłaszcza u tych obdarzonych wrażliwą naturą, które nie potrafią ujawniać emocji, póki nie poczują się naprawdę wytracone z równowagi.

- Ach, jakie dziwne, że pani to powiedziała, panno Marple. Doskonale pamiętam taką sytuację. Gerald i Robert, wie pani, obaj byli bardzo pobudliwi i skorzy do bijatyki. To oczywiście całkiem naturalne u zdrowych chłopców...

- Och, zupełnie naturalne.

- A drogi Walter zawsze był niezwykle cichy i cierpliwy. Aż pewnego dnia Robert złapał jego model samolotu (bo Walter całymi dniami budował te swoje modele, taki był cierpliwy i miał takie zręczne palce)... No więc Robert, który zawsze był bardzo dzielnym chłopcem, ale nieco nieuważnym, połamał ten model. Kiedy weszłam do pokoju, w którym chłopcy się uczyli, Robert leżał na podłodze, a Walter atakował go pogrzebaczem i naprawdę byłby mu zrobił krzywdę. Musiałam użyć całej siły, żeby Waltera odciągnąć. Powtarzał przy tym nieustannie: „On to zrobił naumyślnie... on to zrobił naumyślnie. Zabiję go za to”. Wie pani, byłam wtedy naprawdę przestraszona. Chłopcy odczuwają rzeczy tak bardzo intensywnie, zauważyła to pani?

- Tak, w rzeczy samej - przytaknęła panna Marple. Spojrzenie miała zamyślane.

Wróciła do poprzedniego tematu.

- Tak więc zaręczyny zostały ostatecznie zerwane. A co się stało z tą dziewczyną?

- Wróciła do domu. W drodze nawiązała kolejny romans i tym razem już wyszła za męża. Za wdowca z dzieckiem. Mężczyzna, który dopiero co utracił żonę, jest zawsze łatwym łupem: biedny, bezradny. Poślubiła go i zamieszkali tutaj, w domu z drugiej strony miasteczka, St Catherine's, w sąsiedztwie szpitala. Oczywiście jej małżeństwo nie trwało długo; rzuciła męża po roku. Uciekła z kimś innym.

- No, no! - panna Marple pokręciła głową. - Jakie pani syn miał szczęście, że go to ominęło!

- To samo mu zawsze powtarzam.

- A z uprawy herbaty zrezygnował z powodów zdrowotnych?

Pani Fane lekko zmarszczyła brew.

- Życie go nie oszczędzało - odparła. - Wrócił do domu w jakieś pół roku po tej dziewczynie.

- Musiało to być dla niego dość kłopotliwe - drążyła panna Marple - skoro ta młoda kobieta tu mieszkała. W tym samym mieście...
- Walter był cudowny. Zachowywał się tak, jakby się nic nie stało. Myślałam (a nawet mu to wówczas powiedziałam), że byłoby pożądane, aby przestali się kontaktować... przecież oboje musieli się czuć niezręcznie podczas spotkań. Ale Walter uparł się i postępował po swojemu, to znaczy po przyjacielsku. Odwiedzał ich bez zapowiedzi, bawił się z dzieckiem... A tak na marginesie, to dość dziwne, ale to dziecko tu wróciło. Jest już dorosłą kobietą, mężatką. Przyszła wczoraj do biura Waltera, żeby zrobić testament. Reed, tak się teraz nazywa. Reed.
- Państwo Reedowie! Znam ich. To takie miłe, kulturalne młode małżeństwo. Nie do wiary... że też to właśnie ona jest córką...
- Córką z pierwszego małżeństwa. Jej matka umarła w Indiach. Biedny major... zapomniałam, jak się nazywał... Hallway, czy coś takiego... zupełnie się załamał, kiedy ta flirciara go opuściła. Nie mogę zrozumieć, dlaczego tak jest, że najgorsze kobiety zawsze łapią najlepszych mężczyzn!
- A młody człowiek, z którym związała się na początku? Ten, o którym mówiła pani, że był urzędnikiem w biurze pani syna. Co z nim się stało?
- Och, świetnie się urządził. Organizuje mnóstwo wycieczek autokarowych. Ma firmę Daffodil Coaches. Afflick's Daffodil Coaches. Jaskrawożółte autokary. Ten dzisiejszy świat jest taki wulgarny.
- Afflick? - spytała panna Marple.
- Jackie Afflick. Obrzydliwy, pełen tupetu człowiek. Odnoszę wrażenie, że gotów przeć do przodu za wszelką cenę. Jak przypuszczam, przede wszystkim dlatego kręcił się przy Helen Kennedy. Siostra lekarza i w ogóle... Zapewne myślał, że to poprawi jego pozycję społeczną.
- A ta Helen, nie wróciła już do Dillmouth?
- Nie. Na szczęście. Zapewne całkiem zeszała na złą drogę. Żał mi doktora Kennedy'ego. To nie jego wina. Druga żona jego ojca, dużo młodsza od swojego męża, była taką niemądrą, próżną kobietką. Sądzę, że Helen odziedziczyła po niej gorącą krew. Zawsze uważałam...
- Pani Fane przerwała w pół zdania.
- Walter przyszedł - wprawne ucho matki wychwyciło dobrze znane odgłosy w korytarzu. Otworzyły się drzwi i wszedł Walter Fane.
- To panna Marple, synu. Zadzwoń i powiedz, żeby przyniesiono świeżej herbaty.

- Nie kłopotz się, mamó. Już piłem.

-Ależ naturalnie, że napijemy się świeżej herbaty...

i przynieś jeszcze trochę bułeczek, Beatrice - dodała, zwracając się do pokojówki, która przysłała po imbryk.

- Tak, proszę pani.

- Obawiam się, że matka mnie rozpieszcza - powiedział Walter Fane z leniwym, sympatycznym uśmiechem.

Panna Marple przyglądała mu się uważnie w czasie uprzejmej konwersacji.

Łagodny, z wyglądu spokojny, nieco nieśmiały i zachowujący się tak, jakby nieustannie przepraszał... bezbarwny. Bardzo trudna do opisania osobowość. Typ pełnego poświęcenia młodego człowieka, którego kobiety ignorują, a poślubiają wyłącznie wtedy, gdy mężczyzna, którego kochają, nie odwzajemnia ich uczucia. Walter, który jest Zawsze na Miejscu. Biedny Walter, pupilek mamusi... Mały Walter Fane, który zaatakował swojego starszego brata pogrzebaczem i usiłował go zabić...

Tak sobie rozmyślała panna Marple.

XVII

Richard Erskine

W Anstell Manor było coś ponurego. Biały dom stał na tle ponurych wzgórz. Kręty podjazd prowadził w górę, przecinając gęszcz krzaków.

- Jaki jest powód naszej wizyty? - spytał Giles. - Co możemy im w razie czego powiedzieć?

- Przecież wszystko już omówiliśmy - odparła Gwenda.

- Tak, do pewnego momentu. Szczęśliwie się złożyło, że szwagier ciotki siostry kuzyna panny Marple, czy kim on tam dla niej jest, mieszka tu w pobliżu... Ale od konwencjonalnej wizyty sąsiedzkiej jest bardzo daleka droga do zażyłości, pozwalającej na wypytywanie gospodarza o jego dawne romanse.

- I to sprzed tylu lat. Być może... być może on jej nawet nie pamięta.

- Zapewne nie. Możliwe też, że nigdy nie byli w sobie zakochani.

- Giles, czy nie sądzisz, że postępujemy jak skończeni głupcy?

- Nie wiem... Czasami wydaje mi się, że tak. Nie rozumiem, dlaczego zawracamy sobie tym głowę. Jakie to ma teraz znaczenie?

- Po tak długim czasie... Tak, wiem... Panna Marple i doktor Kennedy, oboje radzili nam, żebyśmy zostawili tę sprawę

w spokoju. Czemu' tego nie zrobiliśmy, Gilesie? Co nas popycha? Czy to ona? -Ona?

- Helen. Czy dlatego przypomniałam sobie o tym? Czy moje wspomnienia z dzieciństwa są jedynym ogniwem, łączącym ją z życiem... z prawdą? Czy to możliwe, że Helen wykorzystuje mnie... i ciebie... po to, żeby prawda wyszła na jaw?

- Chodzi ci o to, że ponieważ umarła w sposób gwałtowny, to...

- Tak... Mówi się... tak jest w książkach... że oni czasem nie mogą spocząć...

- Myślę, że przesadzasz, Gwendo.

- Może i tak. Zresztą, mamy... wybór. To tylko wizyta towarzyska. Wcale nie musi znaczyć coś więcej, jeśli nie będziemy chcieli...

Giles pokręcił przecząco głową.

- Powinniśmy brnąć dalej. Nie ma rady.

- Masz rację. Ale czuję się trochę przestraszona...

- Szukacie dla siebie domu? - spytał major Erskine.

Podsunał Gwendzie talerz pełen kanapek. Gwenda wzięła jedną, patrząc przy tym na gospodarza. Richard Erskine był niski, mierzył około stu siedemdziesięciu centymetrów wzrostu. Miał siwe włosy i zmęczone, myślące oczy. Mówił przyjemnym, niskim głosem, lekko przeciągając słowa. Nie było w nim nic wyjątkowego, ale wydał się Gwendzie zdecydowanie atrakcyjny. Właściwie nie był nawet w połowie tak przystojny jak Walter Fane. Ale większość kobiet przeszłaby obojętnie koło Fane'a, natomiast obejrzałaby się za Erski-nem. Fane nie rzucał się w oczy. Erskine, mimo swojej łagodności, miał wyraźną osobowość. Mówił w zwyczajny sposób o zwykłych rzeczach, ale było w nim coś... to coś, co kobiety z łatwością rozpoznają i na co reagują swoją kobiecością. Niemal nieświadomie Gwenda poprawiła spódnicę, odgarnęła ze skroni niesforny lok i zwilżyła językiem usta. Dziewiętnaście lat temu młoda Helen Kennedy mogła się łatwo zakochać w tym mężczyźnie. Gwenda była tego zupełnie pewna.

Spojrzała w górę i, dostrzegłszy wbite w siebie oczy gospodyni, mimo woli zarumieniła się. Pani Erskine rozmawiała wprawdzie z Gilesem, ale jednocześnie obserwowała Gwendę spojrzeniem, które było zarówno pełne uznania, jak i podejrzeń. Janet Erskine była wysoka, o głębokim głosie -niemal równie głębokim jak męski. Miała atletyczną budowę. Ubrana była w dobrze skrojony tweedowy kostium z dużymi kieszeniami. Wyglądała na starszą od męża, ale - jak oceniła Gwenda - wcale tak nie musiało być naprawdę. Jej twarz miała szczególny wyraz udręki. Nieszczęśliwa, nie zaspokojona kobieta, oceniła Gwenda.

Założę się, że Erskine ma z nią piekło - pomyślała.

Równocześnie przez cały czas prowadziła konwersację.

- Poszukiwanie domu jest zajęciem ogromnie zniechęcającym - stwierdziła. - Opisy dostarczane przez agentów nieruchomości są zawsze cudowne, a potem, na miejscu, okazuje się, że posiadłość jest nie do użytku.

- Zamierzacie osiąść gdzieś tu w pobliżu?

- Cóż, jest to jedna z okolic, którą bierzemy pod uwagę. Głównie ze względu na bliskość Wału Hadriana. Gilesa zawsze fascynował Wał Hadriana. Domyślałam się, że zabrzmi to dla pana nieco dziwnie, ale nam jest właściwie wszystko jedno, w której części Anglii osiadziemy. Mój dom rodzinny jest w Nowej Zelandii i nie mam tu żadnych bliskich. A Gilesa zabierały na wakacje różne ciotki, więc także nie jest związany z żadnym konkretnym miejscem. Jedyne, czego nie

chcielibyśmy, to mieszkać zbyt blisko Londynu. Pragniemy być naprawdę na wsi.

Erskine uśmiechnął się.

- Tu w okolicy z pewnością możecie znaleźć prawdziwą wieś. To miejsce jest całkiem odizolowane. Mamy niewielu sąsiadów, którzy mieszkają daleko od siebie.

Gwenda pomyślała, że w tym przyjemnym głosie wyczuwa się jakiś posępny ton. Przed oczami przemknął jej obraz samotnego życia: krótkie zimowe dni, kiedy wiatr wyje w kominach, zaciągnięte zasłony, zamknięcie... zamknięcie z tą kobietą o spragnionych, nieszczęśliwych oczach, z dala od nielicznych sąsiadów.

Moment później ta wizja umknęła; znowu było lato, a przez otwarte na ogród francuskie okna wpadał zapach róż i typowe letnie odgłosy.

- To stary dom, prawda? - spytała. Erskine przytaknął.

- Z czasów królowej Anny. Moja rodzina mieszka tu od blisko trzystu lat.

- Jest bardzo piękny. Musi pan być z niego ogromnie dumny.

- Teraz jest już zaniedbany. Podatki są tak wysokie, że trudno utrzymać cokolwiek we właściwym stanie. Na^zczę-ście dzieci się już usamodzielnili i najgorszy okres mamy za sobą.

- Ile macie państwo dzieci?

- Dwóch synów. Jeden jest wojskowym. A ten drugi ostatnio wrócił do domu po ukończeniu Oxfordu. Zamierza podjąć pracę w wydawnictwie.

Jego wzrok powędrował w stronę komody, a Gwenda popatrzyła w ślad za nim. Stała tam fotografia dwóch chłopców - prawdopodobnie osiemnaste- i dziewiętnastolatka, zrobiona kilka lat temu, jak oceniła Gwenda. Na twarzy Erskine'a pojawił się wyraz dumy i miłości.

- To dobre chłopaki - powiedział - choć nie wypada, żebym ich chwalił.

- Wyglądają na ogromnie sympatycznych - przyznała Gwenda.

- Tak - stwierdził Erskine - myślę, że naprawdę warto. Chodziło mi o poświęcanie się dla dzieci - dodał, odpowiadając na pytające spojrzenie Gwendy.

- Przypuszczam, że... często... trzeba rezygnować z wielu rzeczy.

- Czasami z bardzo wielu... - przytaknął.

Znów Gwenda wychwyciła w jego głosie ten ponury ton, ale w tym momencie pani Erskine przerwała rozmowę.

- Naprawdę szukacie domu w tej części świata? Nie sądzę, abyście mogli znaleźć coś odpowiedniego w tej okolicy - oświadczyła swoim głębokim, autorytatywnym głosem.

A nawet gdyby było, i tak nie powiedziałabyś nam o tym - pomyślała Gwenda, odczuwając przy tym coś w rodzaju złośliwej satysfakcji. Ta niemądra, stara kobieta jest zazdrosna. Zazdrosna o to, że rozmawiam z jej mężem i że jestem młoda i atrakcyjna!

- Zależy, jak bardzo się wam spieszy - odezwał się Erskine.

- Wcale się nie spieszymy - odparł beztrąsko Giles. - Chcemy mieć pewność, że znajdziemy coś, co się nam naprawdę spodoba. Na razie mamy dom w Dillmouth, na południowym wybrzeżu.

Major Erskine odwrócił się. Wstał, podszedł do okna i wziął leżącą tam na stoliku paczkę papierosów.

- Dillmouth - powtórzyła pani Erskine bezbarwnym głosem. Wpatrywała się przy tym w odwróconego do niej tyłem męża.

- To całkiem ładna, mała miejscowość - wyjaśnił Giles. - Może słyszeliście państwo o niej? Na moment zapadła cisza, po czym pani Erskine odpowiedziała tym samym, pozbawionym wyrazu głosem.

- Spędziliśmy tam kilka tygodni pewnego lata... wiele lat temu. Ale nie zrobiła na nas szczególnego wrażenia. Wydała się nam zbyt rozleniwiająca.

- To prawda - poparła ją Gwenda. - Mamy podobne odczucie. Oboje z Gilesem wolimy ostrzejsze powietrze.

Erskine wrócił do stolika. Zaproponował Gwendzie papierosa.

- Tu w okolicy z pewnością wydałoby się wam odpowiednio ostre.

Gwenda popatrzyła na niego, kiedy podawał jej ogień.

- Pamiętacie państwo Dillmouth? - spytała otwarcie. Jego usta zacisnęły się, jakby przeszył go nagły ból.

- Och, myślę, że całkiem dobrze pamiętamy - odparł obojętnym tonem. - Mieszkaliśmy wtedy... zaraz, niech sobie przypomnę... w hotelu Royal George... nie, to był Royal Clarence.

- Ach tak, to taki miły, nieco staromodny hotel. Nasz dom znajduje się w pobliżu. Nazwano go Hillside, ale kiedyś nosił imię St... St Mary's, tak Gilesie?

- St Catherine's - sprostował Giles.

Tym razem reakcja była zupełnie wyraźna. Erskine gwałtownie się odwrócił, a filiżanka jego żony zadzwoniła o spodek.

- Może chcielibyście państwo zobaczyć ogród? - zaproponowała szorstko.

- Och, tak, bardzo chętnie.

Wyszli przez francuskie okna. Ogród był dobrze zagospodarowany i zadbany, z długą rabatą i wytyczonymi ścieżkami. Gwenda domyśliła się, że to z pewnością dzieło majora Erskine'a.

Kiedy rozmawiał z nią o różach, ziołach i innych roślinach, jego smutna, chmurna twarz rozpoznała się. Najwyraźniej praca w ogrodzie była jego pasją.

Kiedy w końcu się pożegnali i ruszyli w drogę powrotną, Giles zapytał z wahaniem w głosie:

- Czy... czy upuściłaś?

Gwenda przytaknęła.

- Obok drugiej kępki ostróżek - spojrziała na dłoń i z roztargnieniem obróciła obrączkę ślubną.

- A jeśli już go nie znajdziesz?

- To nie był mój prawdziwy pierścionek zaręczynowy. Nie zaryzykowałabym...

- Cieszę się.

- Jestem bardzo przywiązana do tamtego pierścionka. Pamiętasz, co powiedziałeś, wkładając mi go na palec? Zielony szmaragd, ponieważ jestem takim intrygującym zielonookim kociątkiem.

- Śmiem twierdzić - powiedział Giles beznamiętnie - że nasza szczególna forma wyrażania czułości mogłaby się wydać dziwna komuś z, powiedzmy, pokolenia panny Marple.

- Ciekawa jestem, co teraz robi ta kochana staruszka. Wygrzewa się na słońcu na ganku?

- Raczej coś tropi, o ile ją znam! Węszy to tu, to tam, wypytuje. Mam nadzieję, że nie okaże się, iż któregoś dnia zadała zbyt wiele pytań.

- To zupełnie naturalne zachowanie, oczywiście u starszej pani. O wiele bardziej rzucaloby się w oczy, gdybyśmy to robili my.

Twarz Gilesa znów spoważniała.

- Właśnie dlatego nie podoba mi się... - przerwał. - Fakt, że ty masz to zrobić, budzi mój sprzeciw. Nie mogę znieść myśli, że siedzę z założonymi rękami, a ciebie wysyłam do brudnej roboty.

Gwenda pieszczotliwie przesunęła palcem po jego strapionej twarzy.

- Wiem, kochanie. Wiem. Ale musisz przyznać, że to jest nieco podstępne. Spowiadanie człowieka z jego romansów to impertynencja, ale taka, która może ująć na sucho, kobiecie; jeśli jest wystarczająco sprytna. A ja zamierzam być sprytna.

- Wiem, że jesteś. Ale jeśli Erskine jest tym mężczyzną, którego szukamy...

- Nie sądzę, aby to był on - oceniła Gwenda w zamyśleniu.

- Chcesz powiedzieć, że szukamy pod niewłaściwym drzewem?

- Niezupełnie. Myślę, że kochał się w Helen, to się zgadza. Ale on jest miły, Gilesie, bardzo miły. Z pewnością nie jest to typ dusiciela.

- A ty masz niezwykle dużo doświadczenia w rozpoznawaniu dusicieli, prawda?

- Nie, ale mam kobiecą intuicję.

- Tak właśnie mówią często ofiary dusicieli. Nie, Gwendo, żarty na bok. Bądź bardzo ostrożna, dobrze?

- Naturalnie. Tak mi żal tego biednego człowieka... mieć za żonę taką jędzę. Założę się, że ma z nią ciężkie życie.

- To dziwna kobieta... Nieco przerażająca.

- No właśnie, jakaś taka złowieszcza. Widziałeś, jak mnie obserwowała przez cały czas?

- Mam nadzieję, że nasz plan się powiedzie.

Plan został wprowadzony w życie następnego ranka.

Giles, czując się, według własnego określenia, jak podejrzany detektyw w sprawie rozwodowej, zajął pozycję w dogodnym miejscu, obserwując bramę wjazdową Anstell Manor. Około wpół do dwunastej powiadomił Gwendę, że wszystko dobrze się składa. Pani Erskine wyjechała małym austinem, kierując się wyraźnie w stronę miasteczka targowego, odległego o trzy mile. Droga była wolna.

Gwenda zajeżdżała przed dom, wysiadła i zadzwoniła do drzwi. Zapytała o panią Erskine i została poinformowana, że pani domu jest nieobecna. Wtedy spytała o majora Erski-ne'a. Major był w ogrodzie.

Zobaczywszy zbliżającą się Gwendę wyprostował się znad grządki kwiatowej, przy której pracował.

- Przepraszam, że zakłócam panu spokój - powiedziała -ale wydaje mi się, że musiałam wczoraj gdzieś tu zgubić pierścionek. Wiem, że miałam go na palcu, kiedy wychodziliśmy do ogrodu. Jest trochę za luźny, ale to byłaby dla mnie wielka strata, ponieważ to mój pierścionek zaręczynowy.

Rozpoczęło się poszukiwanie. Gwenda poszła swoimi śladami z poprzedniego dnia, starając się przypomnieć sobie, gdzie się zatrzymywała i których kwiatów dotykała. Wreszcie pierścionek odnalazł się w pobliżu wielkiej kępy ostróżek. Gwenda odczuła ogromną ulgę.

- Czy mogę teraz zaproponować pani coś do picia? Rwo? Kieliszek sherry? A może wolałaby pani kawę czy coś takiego?

- Nie, dziękuję, naprawdę nie. Zapaliłabym tylko papierosa... dziękuję.

Usiadła na ławce, a Erskine obok.

Przez chwilę palili w milczeniu. Gwenda czuła przyspieszone bicie serca. Nie ma co się zastanawiać. Musi zaryzykować.

- Chciałam pana o coś zapytać - powiedziała. - Zapewne uzna pan to za impertynencję. Ale tak bardzo chciałabym wiedzieć... a pan jest chyba jedyną osobą, która może zaspokoić moją ciekawość. Otóż mam wrażenie, że kiedyś był pan zakochany w mojej macosze.

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

- W pani macosze?

- Tak. Helen Kennedy. Później nosiła nazwisko Halliday.

- Ach, tak - siedzący obok niej mężczyzna był bardzo spokojny. Wpatrywał się zamyślonym wzrokiem w opromieniony słońcem trawnik. Papieros tlił mu się w ręku. Choć zewnętrznie był spokojny, mięśnie jego ciała naprężyły się i dzięki temu, że dotykali się ramionami, Gwenda wyczuwała, jak bardzo jest wzburzony.

- Sądzę, że to listy - powiedział Erskine, jak gdyby odpowiadając na zadane sobie w myślach pytanie.

Gwenda nie odezwała się.

- Nie napisałem ich wiele - dwa, może trzy. Powiedziała, że je zniszczyła... ale kobiety nigdy nie niszczą listów, prawda? A więc dostały się w pani ręce. I chce pani wiedzieć.

- Chcę się o niej czegoś więcej dowiedzieć. Ja... ją ogromnie lubiłam. Chociaż byłam bardzo mała, kiedy odeszła.

- Odeszła?

- Nie wiedział pan o tym?

Spojrzał jej prosto w oczy. Wyglądał na szczerze zdumionego.

- Nie miałem od niej żadnych wiadomości - powiedział - od... od tego lata w Dillmouth.

- A zatem nie wie pan, gdzie ona może być?

- Skąd miałbym wiedzieć? To było wiele lat temu, bardzo wiele. Wszystko dawno skończone. Zapomniane.

- Zapomniane?

- No, może nie zapomniane... jest pani bardzo spostrzegawcza, pani Reed. Ale proszę mi o niej opowiedzieć. Ona nie... nie umarła, prawda?

Zimny wietrzyk zerwał się nagle, przeleciał po ich karkach i ustał.

- Nie wiem, czy zmarła, czy nie - odparła Gwenda. - Nic o niej nie wiem. Myślałam, że może pan mi coś powie.

Pokręcił przecząco głową, więc ciągnęła dalej.

- Helen odeszła z Dillmouth tamtego lata. Zupełnie niespodziewanie. Nikogo nie uprzedzając. I nigdy nie powróciła.

- A pani sądziła, że może miałem od niej jakieś wiadomości?

-Tak.

Pokręcił przecząco głową.

- Nie, ani słowa. Ale z pewnością jej brat, ten doktor, mieszka w Dillmouth. On musi coś wiedzieć. Czy też nie żyje?

- Żyje. Ale on też nic nie wie. Widzi pan, wszyscy uważali, że ona odeszła... z kimś.

Zwrócił twarz w jej stronę. Miał pełne żalu, smutne spojrzenie.

- Sądzieli, że odeszła ze mną?

- Uważali to za możliwe.

- Czy to naprawdę było możliwe? Nie sądzę. Nigdy nie było. A może byliśmy tylko głupcami... świadomymi głupcami, którzy pozwolili umknąć szansie na szczęśliwe życie?

Gwenda nie odezwała się. Erskine znów odwrócił głowę i popatrzył na nią.

- Zapewne będzie lepiej, jeśli pani o tym opowie. Właściwie nie mam wiele do powiedzenia. Ale nie chciałbym, aby pani mylnie oceniała Helen. Poznaliśmy się na statku w drodze do Indii. Jedno z dzieci zachorowało i żona miała popłynąć następnym rejsem. Helen jechała, żeby poślubić jakiegoś mężczyznę, pracującego w Woods and Forests czy czymś w tym rodzaju. Nie kochała go. Był po prostu starym przyjacielem, miłym i uprzejmym, a ona chciała uciec z domu, w którym nie czuła się szczęśliwa. Zakochaliśmy się w sobie.

Zrobił krótką przerwę.

- Takie banalne stwierdzenie. Ale to nie była, chciałbym to wyraźnie podkreślić, taka zwykła, przelotna miłośćka, jaka często się rodzi na statku. To było prawdziwe uczucie. Oboje nas... cóż... ścięło z nóg. I nic się z tym nie dało zrobić. Nie mogłem porzucić Janet i dzieci. Helen była tego samego zdania. Gdyby chodziło tylko o Janet... ale byli chłopcy. Sytuacja wyglądała beznadziejnie. Uzgodniliśmy, że powiemy sobie do widzenia i spróbujemy zapomnieć. -Zaśmiał się urywanym, gorzkim śmiechem. - Zapomnieć?

Nigdy nie zapomniałem, nawet na moment. Życie stało się po prostu piekłem. Nie mogłem przestać myśleć o Helen... Cóż, nie wyszła za tego człowieka, którego jechała poślubić. W ostatniej chwili się rozmyśliła; po prostu nie była w stanie tego zrobić. Wróciła do Anglii, a w drodze do domu spotkała innego mężczyznę... jak sądzę, pani ojca. Napisała do mnie po kilku miesiącach, informując, co zrobiła. Ten mężczyzna był bardzo nieszczęśliwy po utracie żony, jak pisała, a poza tym miał dziecko. Myślała, że uczyni go szczęśliwym, i że to było najlepsze, co mogła zrobić. Napisała ten list z Dillmouth. Jakies osiem miesięcy później zmarł mój ojciec i odziedziczyłem ten dom. Złożyłem rezygnację i wróciłem do Anglii. Chcieliśmy sobie zrobić kilkutygodniowe wakacje do czasu, aż będziemy mogli się tu wprowadzić. Żona zaproponowała Dillmouth. Jacyś znajomi mówili jej, że to ładna i cicha miejscowość. Oczywiście nie wiedziała o Helen. Czy może sobie pani wyobrazić tę pokusę? Znowu ją zobaczyć? Zobaczyć, jaki jest ten mężczyzna, którego poślubiła?

Erskine przez chwilę milczał, po czym podjął wątek.

- Pojechaliśmy tam i zatrzymaliśmy się w Royal Clarence. Ale popełniłem błąd. Ponowne spotkanie z Helen było dla mnie piekłem... Wydawała się dość szczęśliwa... nie wiedziałem, czy jeszcze ją obchodzę, czy już nie... Zapewne jej minęło. Moja żona chyba coś podejrzewała... Ona jest... jest bardzo zazdrosna... zawsze była taka. I to by było wszystko - dodał szorstko. -

Wyjechaliśmy z Dillmouth...

- Siedemnastego sierpnia - odpowiedziała Gwenda.

- Tego dnia? Możliwe. Nie pamiętam dokładnie.

- W sobotę - powiedziała Gwenda.

- Tak, ma pani rację. Pamiętam, Janet mówiła, że droga na północ może być zatłoczona w tym dniu... ale nie sądzę, by tak było...

- Proszę, niech pan spróbuje sobie przypomnieć, majorze

Erskine. Kiedy pan widział się ostatni raz z moją macochą... z Helen?

Uśmiechnął się łagodnie, ze zmęczeniem.

- Wcale nie muszę się bardzo starać, żeby pani na to odpowiedzieć. Widziałem ją wieczorem, w przeddzień wyjazdu. Na plaży. Poszedłem na przechadzkę po obiedzie... a ona tam była. W pobliżu nie było nikogo. Odprowadziłem ją do domu. Przeszliśmy przez ogród...

- O której to mogło być?

- Nie wiem... myślę, że około dziewiątej.

- I pożegnał się pan z nią?

- I pożegnaliśmy się. - Znowu się zaśmiał. - Och, to nie było takie pożegnanie, o jakim pani myśli. Było bardzo szorstkie i krótkie. Helen powiedziała: „Proszę, idź już. Odejdź szybko. Nie chciałabym...” Urwała i ja... ja po prostu odszedłem.

- Wrócił pan do hotelu?

- Tak, w końcu tam dotarłem. Najpierw długo chodziłem... siedłem przed siebie.

- Trudno ustalić dokładnie daty... po tylu latach. Ale chyba właśnie tej nocy Helen odeszła... i nigdy już nie wróciła - powiedziała Gwenda.

- Rozumiem. A ponieważ następnego dnia wyjechaliśmy z żoną z Dillmouth, zaczęto plotkować, że odeszła ze mną. Ludzie mają czarujące pomysły.

- W każdym razie nie odeszła z panem? - spytała otwarcie Gwenda.

- Dobry Boże, nie, nigdy nie było mowy o czymś takim.

- A jak pan sądzi, dlaczego uciekła?

Erskine zmarszczył brwi. Jego zachowanie zmieniło się, wyraźnie zainteresowało go to pytanie.

- No tak. To jest problem. Czy ona... hm... nie zostawiła żadnego wyjaśnienia?

Gwenda zastanowiła się, po czym wyraziła własne przekonanie.

- Nie sądzę, aby zostawiła jakąkolwiek informację. Czy przypuszcza pan, że mogła uciec z kimś innym?

- Nie, naturalnie, że nie.

- Wydaje się pan tego pewien.

- Tak, jestem pewien.

- To dlaczego odeszła?

- Jeśli odeszła... nagle... w taki sposób... to mogę się domyślić tylko jednej przyczyny. Uciekała przede mną.

- Przed panem?

- Tak. Być może obawiała się, że będę próbował znowu się z nią spotkać... że będę ją napastował. Musiała się zorientować, że nadal... szaleję za nią... tak, musiało być właśnie tak.

- Ale to nie wyjaśnia - stwierdziła Gwenda - dlaczego już nigdy nie wróciła. Proszę mi powiedzieć, czy Helen mówiła panu coś o moim ojcu? Że martwiła się o niego? Albo... że się go bała? Czy coś w tym rodzaju?

- Bała się go? Dlaczego? Ach, rozumiem, myśli pani, że mógł być zazdrosny. Czy był typem

człowieka zazdrosnego?

- Nie wiem. Umarł, kiedy byłam małą.

- Ach, tak. Nie... wracając myślami w przeszłość mam wrażenie... że zawsze wydawał się normalny i przyjemny. Bardzo lubił Helen, był z niej dumny, ale nie sądzę, żeby łączyło go z nią coś więcej. Nie, to ja byłem zazdrosny o niego.

- Czy uważał pan, że byli ze sobą dość szczęśliwi?

- Tak, byli. Cieszyłem się z tego, ale jednocześnie sprawiało mi przykrość... Nie, Helen nigdy nie rozmawiała ze mną na jego temat. Jak już pani mówiłem, rzadko się zdarzało, żebyśmy byli sam na sam, a nigdy na tyle, żeby rozmawiać swobodnie. Ale teraz, kiedy pani o tym wspomniała, przypomniało mi się, że Helen wydała mi się wówczas zmartwiona...

- Zmartwiona?

- Tak. Myślałem, że może z powodu mojej żony... - urwał, nie dokończywszy myśli. - Ale to musiało być coś więcej. - Znow spozjrzał badawczo na Gwendę.

- Czy Helen bała się swojego męża? Czy on był zazdrosny o innych mężczyzn wokół niej?

- Chyba mówił pan, że nie.

- Zazdrość jest czymś bardzo dziwnym. Czasami potrafi się ukrywać tak głęboko, że trudno o nią podejrzewać. - Wzdrygnął się. - Ale bywa też przerażająca... przerażająca.

- Kolejna rzecz, której chciałabym się dowiedzieć... - Gwenda urwała.

Na podjeździe pojawił się samochód.

- Och, moja żona wróciła z zakupów - powiedział major Erskine.

W jednej chwili stał się zupełnie innym człowiekiem. Jego ton był swobodny, lecz formalny, twarz bez wyrazu. Lekkie drżenie zdradzało, jak bardzo czuje się zaniepokojony.

Zza rogu domu wyłoniła się zmierzająca wielkimi krokami w ich stronę pani Erskine.

Major podniósł się i ruszył jej na spotkanie.

- Pani Reed zgubiła wczoraj w naszym ogrodzie pierścionek - wyjaśnił.

- Naprawdę? - spytała ostro pani Erskine.

- Dzień dobry - przywitała ją Gwenda. - Tak, ale na szczęście go znalazłam.

- To bardzo dobrze.

- Och, tak. Byłabym zrozpaczona, gdybym go utraciła. No cóż, muszę już iść.

Pani Erskine nie odezwała się.

- Odprowadzę panią do samochodu - zaproponował major.

Ruszył za Gwenda, kiedy nagle dobiegł ich ostry głos jego żony.

- Richard! Przepraszam panią Reed i pozwól tu! Bardzo ważny telefon do ciebie...

- Och, oczywiście - pośpiesznie odezwała się Gwenda. - Proszę się mną nie kłopotać.

Szybko przebiegła przez taras i za róg domu, w stronę podjazdu.

Po czym zatrzymała się. Pani Erskine zaparkowała swój samochód w taki sposób, że Gwenda wątpiła, czy będzie w stanie wyjechać. Zawahała się, a następnie powoli wróciła w stronę tarasu. Tuż przy oknach francuskich stanęła jak wryta. Do jej uszu wyraźnie dobiegał głęboki, donośny głos pani Erskine.

- Nie obchodzi mnie, co masz do powiedzenia. Zorganizowałeś to... zorganizowałeś to wczoraj. Uzgodniłeś z tą dziewczyną, żeby przyszła tu, kiedy pojedę do Daith. Zawsze jesteś taki sam... byle tylko jakaś ładna dziewczyna. Nie wytrzymam tego, mówię ci. Mam już dość.

Jej tyradę przerwał głos Erskine'a - cichy, niemal zdesperowany.

- Czasami naprawdę myślę, że ty nie jesteś normalna, Janet.

- To nie ja jestem nienormalna. To ty! Ty nie przepuścisz żadnej kobiecie.

- Wiesz, że to nieprawda, Janet.

- To prawda! Nawet dawno temu, tam, skąd pochodzi ta dziewczyna, w Dillmouth. Śmiesz mi wmawiać, że nie kochałeś się w tej żółtowłosej Hallidayowej?

- Czy ty nigdy nie zapominasz? Czemu musisz ciągle rozdrapywać tamtą sprawę? Denerwujesz się i...

- To ty! Ty łamiesz mi serce... Nie wytrzymam już tego, mówię ci! Nie wytrzymam! Planujesz randki! Śmiejesz się ze mnie za moimi plecami! Nic cię nie obchodzi... nigdy cię nie obchodziłam. Zabiję się! Rzucę się ze skały... Chciałabym umrzeć...

- Janet... Janet... Na miłość boską...

Głęboki głos załamał się. W letnim powietrzu rozległo się teraz gwałtowne szlochanie.

Gwenda na palcach wycofała się ponownie na podjazd. Przez chwilę rozmyślała, co zrobić, po czym zadzwoniła do drzwi wejściowych.

- Zastanawiam się - powiedziała, kiedy jej otworzono - czy... hm... ktoś mógłby przestawić ten samochód. Obawiam się, że nie dam rady wyjechać.

Służący wszedł do domu. Zaraz potem z podwórza koło stajni wyszedł jakiś mężczyzna. Ukłonił się Gwendzie uchylając czapki, wsiadł do austina i odprowadził go na podwórze. Gwenda wsiadła do swojego samochodu i szybko pojechała do hotelu, w którym czekał na nią Giles.

- Strasznie długo tam byłaś - przywitał ją. - Dowiedziałaś się czegoś?

- Tak. Myślę, że wiem już wszystko. To naprawdę dość patetyczne. On był po uszy zakochany w Helen.

Opowiedziała Gilesowi wszystko, co się wydarzyło tego ranka.

- I faktycznie uważam - zakończyła - że pani Erskine jest trochę nienormalna. Brzmiało to tak, jakby była szalona. Teraz rozumiem, co on miał na myśli, mówiąc o zazdrości. To musi być okropne, tak się czuć. W każdym razie teraz już wiemy, że to nie Erskine był mężczyzną, który uciekł z Helen, i że on nic nie wie o jej śmierci. Kiedy się z nią pożegnał, jeszcze żyła.

- Tak - stwierdził Giles. - A przynajmniej tak mówi. Gwenda spojrzała na niego z oburzeniem.

- To on tak twierdzi - powtórzył Giles.

XVIII

Powój

Panna Marple stała pochylona na tarasie koło francuskich okien i rozprawiała się z podstępny powojem. Odnosiła wprawdzie tylko częściowe zwycięstwo, pod powierzchnią powój był bowiem nadal głęboko zakorzeniony, ale przynajmniej ostróżki odczuły na jakiś czas ulgę. W oknie salonu pojawiła się pani Cocker.

- Proszę pani, przyjechał doktor Kennedy. Bardzo chciałby wiedzieć, na jak długo państwo Reedowie wyjechali. Powiedziałam mu, że nie umiem go poinformować dokładnie, ale być może pani wie. Czy mam go poprosić, żeby tu przyszedł?

- Och. Tak, bardzo proszę, pani Cocker.

Po chwili pani Cocker wróciła w towarzystwie doktora Kennedy'ego.

Z lekko przyspieszonym biciem serca panna Marple przedstawiła się.

- ... i umówiliśmy się z drogą Gwendą, że będę przychodzić pleć ogród pod jej nieobecność. Wie pan, myślę, że moi młodzi przyjaciele dają się trochę naciągać swemu dochodzącemu ogrodnikowi, Fosterowi. Zjawia się dwa razy w tygodniu, wypija kilka filiżanek herbaty, gada, ale, o ile potrafię ocenić po efektach, nie przemęcza się pracą.

- Tak - odparł doktor Kennedy z roztargnieniem. - Oni wszyscy są tacy sami, tacy sami.

Panna Marple przyjrzała mu się uważnie. Był starszy niż sądziła z opisu Reedów. Przedwcześnie się postarzał, oceniła. Wygląda na zmęczonego i nieszczęśliwego. Stał, głaszcząc palcami długą, wyrazistą linię szczęki.

- Wyjechali - powiedział. - Nie wie pani, na jak długo?

- Och, na krótko. Pojechali odwiedzić jakichś znajomych na północy Anglii. Młodzi ludzie wydają mi się strasznymi wiercipiętami, ciągle pędzą to tu, to tam.

- Tak - przyznał jej rację doktor Kennedy. - To prawda... Przerwał na chwilę, po czym powiedział dość niepewnym

tonem:

- Młody Giles Reed napisał do mnie z prośbą o pewne dokumenty. ... hm... listy, gdybym je odnalazł...

Zawahał się, a panna Marple zapytała cicho:

- Listy pana siostry?

Obrzucił ją szybkim, uważnym spojrzeniem.

- A więc... jest pani z nimi w zażyłych stosunkach, prawda? Krewna?

- Tylko znajoma - odparła panna Marple. - Doradzałam im najlepiej jak potrafię. Ale ludzie rzadko korzystają z rad... Zapewne szkoda, ale tak to już jest...

- A jakiej rady im pani udzieliła? - zapytał z zaciekawieniem.

- Żeby zostawili w spokoju to uśpione morderstwo - odparła zdecydowanym tonem panna Marple.

Doktor Kennedy opadł ciężko na niewygodną drewnianą ławeczkę.

- Nieźle powiedziane - stwierdził. - Bardzo lubię Gwen-nie. Była miłym dzieckiem. Uważam, że wyrosła na miłą, młodą kobietę. Obawiam się, że chce narobić sobie kłopotów.

- Kłopoty mogą być bardzo różnego typu - oświadczyła panna Marple.

- Co? Ach tak, ma pani rację - przytaknął. - Giles Reed -

ciągnął z westchnieniem - napisał do mnie pytając, czy mógłbym mu dać listy mojej siostry, te, które otrzymałem po jej odejściu... a także próbkę jej pisma. - Rzucił szybkie spojrzenie na pannę Marple. - Wie pani, co to oznacza?

- Myślę, że wiem - przytaknęła panna Marple.

- Uczepili się pomysłu, że to Kelvin Halliday mówił prawdę, twierdząc, że udusił swoją żonę. Sądzą, że listy, które moja siostra Helen przysłała po ucieczce stąd, nie zostały przez nią napisane... że to oszustwo. Mają wrażenie, że nie wyszła żywa z tego domu.

- A pan też nie jest już tego taki pewny? - spytała łagodnie panna Marple.

- Wtedy byłem - Kennedy nadal patrzył przed siebie. - Sprawa wydawała się zupełnie jasna. Po prostu halucynacje Kelvina. Nie było przecież ciała, zniknęła walizka z ubraniami... co innego mogłem przypuszczać?

- A czy pańska siostra była wówczas... dość... hm... -panna Marple zakasłała delikatnie - zainteresowana... jakimś dżentelmenem?

Doktor Kennedy spojrział na nią. W jego oczach malował się wyraz głębokiego bólu.

- Kochałem moją siostrę - powiedział - ale muszę przyznać, że Helen zawsze miała jakiegoś mężczyznę w zanadrzu. Niektóre kobiety po prostu są takie, nic na to nie mogą poradzić.

- Sprawa wydawała się panu jasna w owym czasie - drążyła panna Marple. - Ale teraz nie jest pan już taki pewny. Dlaczego?

- Ponieważ - odparł Kennedy szczerze - wydaje mi się nieprawdopodobne, żeby Helen, jeśli nadal żyje, nie skontaktowała się ze mną przez te lata. Natomiast jeśli umarła, równie dziwne jest to, że mnie nie powiadomiono. Cóż...

Wstał i wyjął z kieszeni jakiś pakiet.

- To wszystko, co mogę zrobić. Pierwszy list, który dostałem od Helen, musiałem chyba zniszczyć. Nie udało mi się go odnaleźć. Ale zachowałem ten drugi, z adresem na poste restante. A tu, dla porównania, jest jedyna próbka pisma Helen, jaką byłem w stanie znaleźć. Jest to lista cebulek i innych roślin do posadzenia. Kopia jakiegoś zamówienia. Wydaje mi się, że i kopia, i list są pisane tą samą ręką, ale nie jestem ekspertem w tej dziedzinie. Zostawię to dla Gilesa i Gwendy. Nie warto chyba przesyłać pocztą.

- Och, nie. Myślę, że wrócą jutro albo pojutrze.

Doktor pokiwał potakująco głową. Stał, patrząc wzdłuż tarasu, a jego oczy nadal miały nieobecny wyraz.

- Wie pani, co mnie martwi? - spytał nagle. - Jeśli Kelvin zabił swoją żonę, musiał gdzieś ukryć jej ciało czy jakoś się go pozbyć. A to oznacza (bo i co innego by mogło), że cała ta historia, którą mi opowiedział, była sprytnie wymyślona... że przedtem ukrył gdzieś walizkę z ubraniami, aby ubarwić koncepcję, że Helen odeszła... że zorganizował wysłanie listów z zagranicy... Świadczyłoby to, innymi słowy, że zaplanował to morderstwo z zimną krwią. Mała Gwennie była miłym dzieckiem. Musi jej być wystarczająco źle ze świadomością, że miała ojca paranoika, ale dziesięciokrotnie gorzej jest mieć ojca, który świadomie popełnił morderstwo.

Ruszył w stronę otwartego okna balkonowego. Panna Marple zatrzymała go, zadając niespodziewane pytanie.

- Doktorze Kennedy, kogo się bała pańska siostra? Odwrócił się w jej stronę i popatrzył na nią.

- Bała się? Nikogo, o ile mi wiadomo.

- Tak się tylko zastanawiałam... Proszę mi wybaczyć, jeśli zadaję niedyskretne pytania... ale był jakiś młody człowiek, prawda?... Mam na myśli jej związek z kimś... kiedy była bardzo młoda. Z kimś o nazwisku Afflick, o ile się nie mylę.

- Ach, o to chodzi. Historia, przez jaką przechodzi większość dziewcząt. To był nieodpowiedni młody człowiek, nie-

stały... i, naturalnie, nie z jej klasy, zupełnie nie z jej klasy. Potem popadł tu w tarapaty.

- Zastanawiałam się po prostu, czy on mógł chcieć się... zemścić.

Doktor Kennedy uśmiechnął się sceptycznie.

- Och, nie sądzę, aby to było głębokie uczucie. W każdym razie, jak już mówiłem, popadł w tarapaty i wyniósł się stąd na dobre.

- Jakiego rodzaju tarapaty?

- Och, nic kryminalnego. Po prostu niedyskrecja. Rozповідаł o sprawach swojego pracodawcy.

- A jego pracodawcą był pan Walter Fane? Doktor Kennedy wyglądał na trochę zaskoczonego.

- Tak... tak, teraz, kiedy pani to powiedziała, przypomniało mi się, że pracował dla Fane'a i Watchmana. Nie sporządzał umów. Był zwykłym kancelistą.

Zwykłym kancelistą? Kiedy dr Kennedy odszedł, panna Marple znów pochyliła się nad powojem, rozmyślając intensywnie...

XIX

Pan Kimble przemawia

- No, naprawdę nie wiem - oświadczyła pani Kimble.

Jej mąż, zmuszony do odezwania się pod wpływem najzwyczajszej na świecie wściekłości, przestał być niemową.

Gwałtownym ruchem odsunął od siebie kubek.

- O czym ty myślisz, Lily? - warknął. - Nie posłodziłaś! Pani Kimble pośpiesznie ukoła jego gniew, po czym ponownie zajęła się rozwijaniem swojego tematu.

- Ciągle myślę o tym ogłoszeniu - powiedziała. - Napisane jest tu Lily Abbot, czarno na białym. I jeszcze: „dawna pokojówka w St Catherine's w Dillmouth". To przecież ja, nie?

- Hm - potwierdził pan Kimble.

- Po tych wszystkich latach... musisz się ze mną zgodzić, że to dziwne, Jim, co nie?

- No - odparł pan Kimble.

- No to co mam zrobić, Jim?

- Daj sobie z tym spokój.

- A jeśli chodzi o pieniądze?

Pan Kimble z głośnym siorbaniem opróżnił kubek, szykując się do wysiłku umysłowego, jakim miała być dłuższa wypowiedź. Odsunął kubek, poprzedził swoją wypowiedź lakonicznym życzeniem: - Jeszcze! A potem przystąpił do rzeczy.

- Kiedyś nieustannie gadałaś o tym, co to się miało zdarzyć w St Catherine's. Nie zwracałem na to uwagi, myślałem

sobie, że to głupoty, takie babskie gadanie. Ale może i nie. Może coś tam się stało. Tylko że wtedy jest to sprawa dla policji, a ty się w to nie mieszaj. Wszystko jasne i skończyliśmy z tym, co nie? Mówię ci, dziewczyno, zostaw to w spokoju.

- Dobrze ci tak mówić. A może chodzi o pieniądze, które mi zapisano w testamencie. Może pani Halliday żyła przez cały ten czas, a teraz umarła i zostawiła mi coś w spadku?

- Zostawiła ci coś w spadku? Po co? No? - odparł pan Kimble, uciekając się do swojej ulubionej monosylaby dla wyrażenia nagany.

- A nawet jeśli to policja... Wiesz, Jim, czasami dają dużą nagrodę, jak ktoś poda taką informację,

która pomaga złapać mordercę.

- A co ty im możesz powiedzieć? Wiesz tyle, co sobie wymyśliłaś!

- To ty tak twierdzisz. Ale ja rozmyślałam...

- No - skomentował pan Kimble, zde gustowany.

- A właśnie że tak. Odkąd tylko zobaczyłam tę pierwszą informację w gazecie. Może się i myliłam. Ta Layonee była trochę głupia, jak wszyscy cudzoziemcy, i nie całkiem rozumiała, co się do niej mówi... i jej angielski był okropny. Jeśli jej nie chodziło o to, o co, jak myślałam, jej chodziło... starałam się sobie przypomnieć, jak się nazywał ten człowiek... bo jeśli to jego zobaczyła... Pamiętasz ten film, o którym ci mówiłam? „Tajemniczy kochanek”. Bardzo ciekawy. Wyśledzili go w końcu, rozpoznali po samochodzie. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów zapłacił człowiekowi na stacji, żeby zapomniał, że tamtej nocy tankował benzynę. Ile by to było w funtach? I był tam też ten drugi, i mąż, szalejący z zazdrości. Wszyscy stracili dla niej głowę, tak to było. I w końcu...

Pan Kimble hałaśliwie odsunął krzesło. Podniósł się powoli, rozmyślnie podkreślając swoją władzę. Szykując się do wyjścia z kuchni, postawił ultimatum, ultimatum człowieka, któremu - choć zazwyczaj jest małomówny - nie brakuje sprytu.

- Zostawisz całą tę sprawę, dziewczyno - zażądał - albo jak nic pożałujesz!

Skierował się do sieni, włożył buty (Lily bardzo dbała o podłogę w kuchni) i wyszedł.

Lily usiadła przy stole; jej bystry mózdek intensywnie pracował. Nie mogła, oczywiście, otwarcie złamać zakazu, męża, ale jednak... Jim jest takim strachajłą, tak się sprzeciwia wszystkiemu, co nowe. Gdyby tak był jeszcze ktoś, kogo by mogła zapytać o radę. Ktoś, kto wiedziałby wszystko o nagrodach i policji, i o tym, co to może znaczyć. Szkoda byłoby stracić szansę zdobycia dużych pieniędzy.

Taki odbiornik radiowy... płyn do robienia w domu trwałej ondulacji... ten wiśniowy płaszcz u Russella (tam są takie eleganckie ubiory)... a może nawet cały zestaw mebli z epoki Jakuba do saloniku...

Podniecona, chciwa i krótkowzroczna, zaczęła snuć marzenia... Co właściwie powiedziała wtedy ta Layonee?

I nagle wpadł jej do głowy pomysł. Wstała, złapała kałamarz, pióro i blok papieru listowego.

Wiem, co zrobię - postanowiła. - Napiszę do doktora, brata pani Halliday. On mi powie, co mam zrobić, to znaczy, jeśli jeszcze żyje. W każdym razie zdaje mi się, że nie mówiłam mu o Layonee

ani o tym samochodzie.

Przez pewien czas panowała cisza, którą zakłócał jedynie chrobot pióra Lily. Bardzo rzadko zdarzało się, aby pisała list i ułożenie go sprawiało jej trudności.

W końcu jednak udało się, złożyła zapisaną kartkę, wsunęła do koperty i zakleiła.

Ale nie czuła się tak usatysfakcjonowana, jak oczekiwała. Była gotowa postawić dziesięć do jednego, że doktor już nie żyje albo wyjechał z Dillmouth.

Czy był jeszcze ktoś?

Jak on się nazywał, ten facet?

Gdyby tylko mogła sobie to przypomnieć...

XX

Helen jako dziewczyna

Rankiem następnego dnia po powrocie z Northumberland Giles i Gwenda właśnie zdążyli skończyć śniadanie, kiedy zaanonsowano wizytę panny Marple. Weszła, przepaszając od drzwi.

- Obawiam się, że jest bardzo wcześnie jak na wizytę. Nie jest to coś, co mam w zwyczaju robić. Ale muszę wam coś wyjaśnić.

- Jesteśmy zachwyceni pani odwiedzinami - odparł Giles, podsuwając jej krzesło. - Proszę się napić z nami kawy.

- Och, nie, dziękuję, absolutnie nie. Zjadłam śniadanie naprawdę większe niż powinnam. A teraz pozwólcie, proszę, że coś wam wyjaśnię. Przyszłam podczas waszej nieobecności, jako że byliście tak mili i zgodziliście się, abym trochę popełła w ogrodzie...

- Jest pani aniołem - wtrąciła Gwenda.

- I naprawdę doszłam do wniosku, że dwa razy w tygodniu nie wystarczy na taki ogród jak wasz. Poza tym, mam wrażenie, że Foster was wykorzystuje. Za dużo herbaty i po-gaduszek. Dowiedziałam się, że nie mógłby przychodzić do was o jeden raz więcej, pozwoliłam więc sobie zatrudnić jeszcze jednego ogrodnika, który będzie przychodził tylko raz w tygodniu, w środy, to znaczy właśnie dziś.

Giles spojrział na nią z zaciekawieniem. Był nieco zdziwiony. Zapewne intencje były dobre, ale posunięcie panny Marple miało lekki posmak ingerencji w ich sprawy. A to do niej niepodobne.

- Wiem, że Foster jest trochę za stary do naprawdę ciężkiej pracy - odezwał się, wolno wymawiając słowa.

- Obawiam się, panie Reed, że Manning jest jeszcze starszy. Mówi, że ma siedemdziesiąt pięć lat. Ale widzi pan, pomyślałam sobie, że zatrudnienie go na kilka dodatkowych dni mogłoby być korzystne, ponieważ wiele lat temu pracował u doktora Kennedy'ego. A tak przy okazji, młody człowiek, z którym Helen się związała, nazywał się Afflick.

- Panno Marple, skrzywdziłem panią w myślach - oświadczył Giles. - Jest pani geniuszem. Wie pani, że dostałem od doktora Kennedy'ego te próbki pisma Helen?

- Wiem, byłam tu, kiedy je przyniósł.

- Nadam je dzisiaj na pocztę. W ubiegłym tygodniu zdobyłem adres naprawdę dobrego

grafologa.

- Chodźmy do ogrodu przywitać się z Manningsiem - zaproponowała Gwenda.

Manning był przygarbionym, z wyglądu opryskliwym staruszką o zażawionych, nieco chytrych oczkach. Tempo, z jakim grabił ścieżkę, wyraźnie wzrastało w miarę zbliżania się jego pracodawców.

- Dzień dobry panu. Dzień dobry pani. Ta pani powiedziała, że przydałaby się państwu dodatkowa pomoc w środy. Będę przychodził z przyjemnością. Aż wstyd, jaki ten ogród zaniedbany.

- Obawiam się, że pozwolono mu dziczeć przez ostatnie lata.

- Tak pewnie było. Pamiętam, jak wyglądał w czasach pani Findeyson. Jak na obrazku. Ona bardzo lubiła swój ogród, ta pani Findeyson.

Giles oparł się o walec. Gwenda oskubywała zeschnięte płatki z róż. Panna Marple, zbliżywszy się nieco do rozmawiających, pochyliła się nad powojem. Stary Manning wsparł się o grabie.

Wszystko było przygotowane do luźnej porannej pogawędki o dawnych czasach i pracy w ogrodzie w tamtym dobrym okresie.

- Przypuszczam, że zna pan większość ogrodów w tej okolicy - powiedział Giles zachęcająco.

- Hm, to prawda, że dość dobrze znam te strony. I kaprysy, jakie mają różni ludzie. Pani Yule z Niagry miała żywopłot z cisów, który strzyżono tak, żeby wyglądał jak wiewiórka. Uważam to za głupie. Pawie to jedno, ale wiewiórki to co innego. A z kolei pułkownik Lampard, ten to miał szczęście do begonii: u niego zawsze były wspaniałe klombry z begoniami. Robienie klombów już się skończyło, wychodzi z mody. Nie chciałbym mówić państwu, jak często w ciągu ostatnich sześciu lat musiałem likwidować klombry na trawnikach i pokrywać je darnią. Wygląda na to, że ludzie nie chcą już patrzeć na geranium czy lobelie.

- Pan pracował kiedyś u doktora Kennedy'ego, prawda?

- No. To było dawno temu. Chyba gdzieś tak od 1920 roku. Ale się wyprowadził, zrezygnował. W Crosby Lodge jest teraz młody doktor Brent. Ten to ma śmieszne pomysły, każe brać takie małe, białe tabletki. „Witapiny” je nazywa.

- Sądzę, że pamięta pan pannę Helen Kennedy, siostrę doktora?

- Och, jasne, że pamiętam panienkę Helen. Ładna dziewczucha z niej była, z tymi długimi jasnymi włosami. Doktor strasznie na nią uważał. Wróciła i mieszkała w tym właśnie domu, jak wyszła za męża. Za wojskowego z Indii.

- Tak - powiedziała Gwenda. - Wiemy.

- No tak. Słyszałem... chyba to było w sobotę wieczorem... że podobno pani z mężem jesteście jakimiś jej krewnymi. Panna Helen to była śliczna jak na obrazku, kiedy wróciła tu ze szkoły. I okropnie chętna do zabawy. Chciała wszędzie chodzić: na tańce, grać w tenisa i w ogóle. Musiałem wytyczyć kort tenisowy, co to ze dwadzieścia lat nie był używany. I strasznie go porosły krzaki. To musiałem je powycinać. A potem wziąłem mnóstwo wapna, żeby linie wytyczyć. Strasznie dużo było z tym pracy, a w końcu mało co grano na tym korcie. Zawsze sobie myślałem, że to było dziwne.

- Co było dziwne? - spytał Giles.

- Sprawa z tym kortem. Ktoś przyszedł w nocy i pociął siatkę na paski. Na najzwyczajniejsze paski. Na złość, można powiedzieć. Tak właśnie było, jakby to ktoś na złość zrobił.

- Ale kto mógł zrobić coś takiego?

- To samo i doktor chciał wiedzieć. Strasznie się wściekał z tego powodu i ja mu się nie dziwię. Bo to on płacił za ten kort. Ale nikt z nas nie potrafił powiedzieć, kto go zepsuł. A doktor powiedział, że nie zamierza robić go po raz drugi i całkiem słusznie, bo jak go zniszczyli raz, to i drugi też mogli. Ale panna Helen okropnie się o to gniewała. Ona to nie miała szczęścia, ta panna Helen. Najpierw ta siatka na korcie, a potem z tą nogą.

- Z nogą? - zdziwiła się Gwenda.

- Tak, upadła na kawałek szkła czy coś takiego i skaleczyła. Wydawało się, że tylko przecięła skórę, ale nie chciało się goić. Doktor to się bardzo martwił. Opatrywał jej tę nogę i leczył, ale nie było dobrze. Pamiętam, jak wydziwiał. „Nie rozumiem, musiało być coś »speptycznego« - czy jakoś tak mówił - na tym szkle. A zresztą - mówił - skąd się wzięło szkło na środku drogi?" Bo to na drodze panna Helen upadła, jak wracała po ciemku do domu. Biedna wtedy była, nie mogła chodzić na tańce, tylko siedziała z nogą do góry. Wyglądało, jakby ciągle miała pecha. To właściwa chwila - pomyślał Giles.

- A pamięta pan Afflicka? - spytał obojętnym tonem.

- Że... Chodzi panu o Jackie Afflicka? Tego, co to był w biurze Fane'a i Watchmana?

- Tak. Był chyba znajomym panny Helen, prawda?

- Eee, to tylko taka głupota. Doktor to przerwał i słusznie. To nie był człowiek z klasą, ten Jackie Afflick. Za to o połowę za ostry. Tacy w końcu parzą sobie palce. Ale nie był tu długo. Wpadł w tarapaty. Dobrze, że się go pozbyliśmy. Nie chcemy tu, w Dillmouth, takich jak on. Idź sobie i

wymądrzaj się gdzie indziej, tak mu poradzono.

- A czy on tu był, kiedy pocięto tę siatkę od tenisa? - spytała Gwenda.

- Eee. Wiem, co ma pani na myśli. Ale on by nie zrobił czegoś tak głupiego. Jackie Afflick nie był głupi. A ten, co to zrobił, był po prostu złośliwy.

- A czy był ktoś taki, kto miał coś przeciwko panie Helen? Kto mógł czuć do niej złość? Stary Manning zachichotał cicho.

- Niektóre młode panny miały powód, żeby czuć do niej złość, to na pewno. Żadna nie mogła się równać z panną Helen co do wyglądu. Nie, ja bym powiedział, że to zrobiono po prostu z głupoty. Jakiś włóczęga, który miał za złe.

- A czy Helen była bardzo przygnębiona z powodu Jackie Afflicka? - spytała Gwenda.

- Nie myślę, aby panie Helen zależało na którymkolwiek z młodych chłopaków. Po prostu lubiła się bawić i tyle. A niektórzy z nich byli jej bardzo oddani, na przykład młody pan Walter Fane. Chodził za nią jak piesek.

- A jej na nim nie zależało?

- Panience Helen? Skądże. Śmiała się tylko i tyle. Wyjechał potem gdzieś do kolonii. Ale później wrócił. A teraz to jest najważniejszy w firmie. Nigdy się nie ożenił. I nie dziwię mu się. Kobiety okropnie utrudniają mężczyznom życie.

- Jest pan żonaty? - spytała Gwenda.

- Pochowałem dwie żony - odparł stary Manning. - I, hm, nie narzekam. Mogę sobie wreszcie spokojnie palić fajkę, gdzie mi się podoba.

Nastała cisza i Manning znów wziął się do grabienia. Giles i Gwenda ruszyli ścieżką w stronę domu, a panna Mar-ple, rezygnując z walki z powojem, przyłączyła się do nich.

- Panno Marple - zaniepokoiła się Gwenda. - Nie wygląda pani dobrze. Czy coś...

- To nic takiego, moja droga - starsza pani urwała na moment, po czym stwierdziła z dziwnym naciskiem: - Wiecie, nie podoba mi się ta historia z siatką do tenisa. Żeby pociąć na paski. Nawet wtedy... - urwała.

Giles spojrział na nią z zaciekawieniem.

- Niezupełnie rozumiem... - zaczął.

- Naprawdę? A mnie się to wydaje takie oczywiste. Ale zapewne lepiej, że nie rozumiecie. A poza tym, prawdopodobnie nie mam racji. Powiedzcie mi, proszę, jak wam poszło w Northumberland.

Zdali jej sprawę ze swych poczynań, a panna Marple wysłuchała ich uważnie.

- To naprawdę bardzo smutne - podsumowała Gwenda. - W gruncie rzeczy wręcz tragiczne.

- Tak, faktycznie. Bardzo mi żal tego biedactwa.

- Mnie też. On musi okropnie cierpieć...

- On? Ach, tak. Tak, oczywiście.

- A pani miała na myśli...

- No cóż, tak... myślałam o niej, o żonie. Zapewne bardzo go kocha, a on ożenił się z nią, ponieważ była odpowiednią partią lub było mu jej żal, albo też z jakiegoś z tych całkiem miłych i rozsądnych powodów, którymi często kierują się mężczyźni, a które w rzeczywistości są tak okropnie nieuczciwe.

- „Znam sto sposobów kochania, a każdy kochanego rani” - zacytował cicho Giles.

Panna Marple zwróciła się w jego stronę.

- No właśnie, to takie prawdziwe. Wiecie, zazdrość zazwyczaj nie rodzi się z jakiegoś konkretnego powodu. Jej przyczyny są o wiele bardziej... jak by to określić... bardziej fundamentalne. Opiera się na przeświadczeniu, że czyjeś uczucie nie jest odwzajemniane. I wtedy zaczyna się czekać, obserwować, spodziewać... że ukochany zainteresuje się kimś innym. Co zresztą niezmiennie się zdarza. Tak więc pani Erskine zamieniła w piekło życie swojego męża, a on, nie mogąc nic na to poradzić, sprawił, że jej życie też stało się piekłem. Myślę jednak, że ona cierpi bardziej. A co więcej, śmiem twierdzić, że on ją naprawdę darzy uczuciem.

- Och, to niemożliwe - zawołała Gwenda.

- Jesteś jeszcze tak młoda, moja droga. Nie opuścił żony, a to, jak wiesz, coś znaczy.

- To z powodu dzieci. Ponieważ to był jego obowiązek. - Tak, zapewne zaważyły na tym dzieci - przytaknęła

panna Marple. - Ale muszę wam wyznać, że moim zdaniem dżentelmeni nie bardzo przejmują się swoimi obowiązkami wobec żon... co innego, jeśli chodzi o służbę państwową. Giles roześmiał się.

- Jest pani cudownie cyniczna, panno Marple.

- Ojej, panie Reed, mam nadzieję, że nie tak strasznie. Człowiek zawsze jednak ma choć trochę nadziei, że natura ludzka nie jest aż taka zła.

- Nadal wydaje mi się, że to nie mógł być Walter Fane - powiedziała Gwenda w zamyśleniu. - I

jestem pewna, że to nie major Erskine. W głębi duszy wiem, że to nie był on.

- Nie zawsze można polegać na odczuciach - stwierdziła panna Marple. - Czasem najmniej podejrzani ludzie robią coś... na przykład w mojej małej wiosce była sensacja, kiedy okazało się, że skarbnik Christmas Club wszystkie pieniądze klubu stracił na konie. Zdecydowanie niechętnie odnosił się do wyścigów, a dokładniej do wszelkich form hazardu czy zakładów. Ojciec tego człowieka był agentem przyjmującym zakłady, a poza tym bardzo źle traktował jego matkę, wskutek czego, w kategoriach intelektualnych, skarbnik był w swoich negatywnych ocenach całkiem szczery. Ale któregoś dnia przypadkowo przejeżdżał koło Newmarket i zobaczył kilka koni, ćwiczących przed gonitwą. I wtedy rozpalila się w nim namiętność, poczuł zew krwi.

- Przodkowie obu, Waltera Fane'a i Richarda Erskine'a, wydają się poza wszelkimi podejrzeniami

- powiedział Giles poważnym tonem, ale w kącikach ust igrał mu pełen rozbawienia uśmiech. -

Ale też morderstwo jest, z samej swej istoty, przestępstwem dla amatora.

- Ważne jest to - podkreśliła panna Marple - że oni tam byli. Na miejscu. Walter Fane mieszkał w Dillmouth. Major Erskine, zgodnie z tym, co sam mówił, musiał się widzieć z Helen Halliday na krótko przed jej śmiercią... i przez jakiś czas tamtej nocy nie wracał do hotelu.

- Ale mówił o tym z całą otwartością. Przecież... Gwenda przerwała. Panna Marple patrzyła na nią twardym wzrokiem.

- Chcę tylko podkreślić - powiedziała, spoglądając przy tym to na jedno, to na drugie - wagę faktu, że byli na miejscu. - A potem dodała:

- Myślę, że nie będziecie mieć kłopotów z odnalezieniem adresu J.J. Afflicka. Jako właściciel firmy Daffodil Coaches powinien być łatwy do zlokalizowania.

Giles przytaknął.

- Zajmę się tym. Zapewne znajdę go w książce telefonicznej. - Zrobił krótką pauzę. - Czy sądzi pani, że powinniśmy złożyć mu wizytę?

Panna Marple odpowiedziała nie od razu.

- Jeśli mielibyście to zrobić - rzekła w końcu - to musicie być bardzo ostrożni. Pamiętajcie, co powiedział ten stary ogrodnik: Jackie Afflick nie jest głupcem. Proszę, bardzo proszę, bądźcie ostrożni.

XXI

J. J. Afflick

W książce telefonicznej znajdowały się dwa numery przy haśle J. J. Afflick, Daffodil Coaches, Devon & Dorset Tours. Podany był także adres biura w Exeter oraz adres domowy na obrzeżach tego miasta.

Spotkanie zostało umówione na następny dzień.

W chwili gdy Giles i Gwenda ruszali samochodem spod domu, wybiegła za nimi pani Cocker, gestami przywołując ich z powrotem. Giles wcisnął pedał hamulca.

- Proszę pana, dzwoni doktor Kennedy. Giles wysiadł z auta i pobiegł do telefonu.

- Halo, mówi Giles Reed - powiedział, biorąc słuchawkę.

- Dzień dobry. Właśnie otrzymałem dość dziwny list. Od jakiejś Lily Kimble, Usilnie starałem się przypomnieć sobie, kto to może być. Najpierw myślałem, że moja pacjentka, i to mnie trochę zmyliło. Ale raczej przypuszczam, że to musi być dziewczyna, która kiedyś była na służbie w waszym domu. Jako pokojówka, w interesującym was okresie. Jestem prawie pewny, że miała na imię Lily, chociaż nie przypominam sobie jej nazwiska.

- Była tam Lily. Gwenda ją pamięta. Zawiązała kotu kokardę.

- Gwennie musi mieć niezwykle dobrą pamięć.

- O, tak, doskonałą.

- Cóż, chętnie porozmawiałbym z wami o tym liście... ale nie przez telefon. Będziecie może w domu?

- Właśnie wybieraliśmy się do Exeter. Moglibyśmy wstąpić do pana, jeśli pan chce. To po drodze.

- Doskonale.

- Nie bardzo lubię rozmawiać o tej sprawie przez telefon - wyjaśnił doktor, kiedy do niego przyjechali. - Zawsze mam wrażenie, że w centrali telefonicznej podsłuchują. A oto list od tej kobiety.

Rozłożył na stole zapisaną niewprawną ręką kartkę taniego liniowanego papieru.

Drogi panie

Byłabym wdzieczna, gdyby poradził mi pan, co zrobić z tym, co wycielam z gazety. Myślałam

nad tym sama i rozmawiałam z panem Kimble, ale nie wiem, co z tym najlepiej zrobić. Czy pan myśli, że to znaczy jakieś pieniądze czy nagrodę, bo pieniądze to by mi się przydały, ale nie chcę mieć nic wspólnego z policją ani niczym takim, ja często myślałam o tej nocy kiedy pani Halliday odeszła i nie myślałam, że ona to zrobiła bo ubrania były nie te. Wpierw myślałam że mój pan to zrobił ale teraz nie jestem tego pewna przez ten samochód, co to go widziałam przez okno. To było takie eleganckie auto i ja je widziałam przedtem ale nie chcę nic robić nie pytawszy pana wpierw czy to dobrze i nie ma za tym policji bo ja nigdy przedtem nie miałam nic z policją i pan Kimble sobie nie życzy. Mogę przyjechać i zobaczyć się z panem, jeśli to będzie w następnym czwartek bo to dzień targowy i pana Kimble nie będzie. Będę wdzięczna, jakby pan wtedy mógł

z szacunkiem Lily Kimble

- List został wysłany na mój dawny adres w Dillmouth - powiedział Kennedy - i przesłano mi go tutaj. A ten wycinek to ogłoszenie, które daliście do gazety.

- Cudownie - stwierdziła Gwenda, wyraźnie ucieszona. - Ta Lily, widzicie, ona nie sądzi, aby to zrobił mój ojciec!

Doktor Kennedy popatrzył na nią zmęczonymi i życzliwymi oczyma.

- To dobrze, Gwennie - powiedział łagodnie. - Mam nadzieję, że masz rację. A teraz powiem wam, co sobie wymyśliłem, że zrobimy. Odpiszę na ten list i powiem jej, żeby tu przyjechała w czwartek. Połączenie kolejowe ma całkiem dobre. Jeśli przesiądzie się na stacji Dillmouth Junction, może tu być tuż po czwartej trzydzieści. Jeśli i wy przyjedziecie tego popołudnia, wszyscy troje będziemy mogli z nią porozmawiać.

- Doskonale - przytaknął Giles. Spojrzał na zegarek. - Chodź, Gwendo, musimy się pośpieszyć. Mamy spotkanie - wyjaśnił - z panem Afflickiem z firmy Daffodil Coaches, a on, jak nas uprzedził, jest bardzo zajęty człowiekiem.

- Afflick? - doktor Kennedy zmarszczył brwi. - Oczywiście! Wycieczki Devon Tours firmy Daffodil Coaches i te obrzydliwe potwory w kolorze masła. Ale wydaje mi się, że jeszcze skądś znam to nazwisko.

- Helen - odpowiedziała Gwenda.

- Mój Boże... chyba to nie ten chłopak?

- Owszem.

- Ale to był nędzny, mały szczur. I on tak wypłynął na szerokie wody?

- Czy zechciałby mi pan coś wyjaśnić? - spytał Giles. -Doprowadził pan do zerwania drobnego flirtu między nim a Helen. Czy powodem była jego... niska pozycja społeczna?

Doktor Kennedy rzucił mu oschłe spojrzenie.

- Jestem starej daty, młody człowieku. Obecnie uważa się, że każdy jest równie dobry. Z moralnego punktu widzę-
nią jest to słuszne. Ale ja wierzę, że człowiek rodzi się do życia w określonym stanie... i wierzę, że jest najszcześniejszy pozostając właśnie w nim. Poza tym - dodał - uważałem, że ten chłopak jest nieodpowiedni. Czego zresztą sam dowiodł.

- A co on takiego zrobił?

- Już nie pamiętam. Chodziło, o ile jestem w stanie sobie przypomnieć, o próbę sprzedania jakiejś informacji, którą uzyskał pracując u Fane'a. Jakieś poufne sprawy, dotyczące jednego z klientów.

- Czy był... rozżalony, kiedy został odprawiony? Kennedy spojrzał na Gilesa bacznie.

- Tak - odparł lakonicznie.

- I nie było żadnego innego powodu, dla którego nie podobała się panu jego przyjaźń z pańską siostrą? Nie uważał pan, że jest... hm... jakiś dziwny?

- Skoro poruszył pan ten temat, odpowiem szczerze. Miałem wrażenie, zwłaszcza po tym, jak stracił pracę, że Jackie Afflick przejawia określone symptomy nie zrównoważenia psychicznego. W rzeczywistości było to coś w rodzaju początków manii prześladowczej. Ale jak widać, jego dalsza kariera tego nie potwierdziła.

- Kto go zwolnił z pracy? Walter Fane?

- Nie mam pojęcia, czy Walter Fane miał z tym coś wspólnego. Został zwolniony przez firmę.

- I twierdził, że stał się ofiarą? Kennedy przytaknął.

-Rozumiem... No cóż, musimy pędzić. Do zobaczenia w czwartek.

Dom był nowy, przysadzisty i z dużą ilością okien. Gwenda i Giles zostali poprowadzeni przez bogato urządzone korytarze do gabinetu, którego połowę zajmowało wielkie biurko z chromowymi zdobieniami.

- Naprawdę nie wiem - mruzczała nerwowo Gwenda do Gilesa - co byśmy zrobili bez panny Marple. Korzystamy z jej pomocy na każdym kroku. Najpierw jej znajomi w Northumberland, a teraz ta doroczna wycieczka chłopców z klubu żony jej wikarego.

Giles uniósł ostrzegawczo dłoń, otworzyły się bowiem drzwi i do pokoju wpadł J. J. Afflick.

Był to zażywny mężczyzna w średnim wieku ubrany w kraciasty garnitur w dość jaskrawych kolorach. Miał ciemne, chytne oczka i rumianą, dobroduszną twarz. Wyglądał jak popularne wyobrażenie dobrze prosperującego buk-machera.

- Pan Reed? Dzień dobry. Miło mi pana poznać.

Giles przedstawił Gwendę. Poczwała, że uścisk wyciągniętej do niej dłoni był nieco zbyt żarliwy.

- Czym mogę panu służyć, panie Reed?

Afflick zasiadł za swoim wielkim biurkiem. zaproponował, aby zapalili, podsuwając papierosy w onyksowym pudełku.

Giles zaczął przedstawiać kwestie, związane z wyprawą chłopców. Organizują to jego starzy przyjaciele. Bardzo mu zależy, aby im pomóc przygotować kilkudniową wyprawę do Devon. Afflick odpowiadał w sposób urzędowy - podając ceny i podsuwając sugestie. Ale jego twarz wyrażała lekkie zdziwienie.

- Cóż - powiedział w końcu - wszystko jest jasne, panie Reed. Wyślę panu potwierdzenie na piśmie. Ale to sprawa czysto urzędowa. A z tego, co mówił mój pracownik, wynikało, że życzył pan sobie spotkać się ze mną prywatnie, w moim domu.

- Tak, proszę pana. Otóż są dwie sprawy, dla których chciałem się z panem zobaczyć. Jedną właśnie przedstawiłem. Druga ma charakter czysto prywatny. Mojej żonie bardzo zależy na nawiązaniu kontaktu ze swoją macochą, kto-

rej nie widziała od wielu lat, i zastanawialiśmy się, czy pan mógłby nam w tym dopomóc.

- Hm, jeśli mi pan powie nazwisko tej damy... bo rozumiem, że to jakaś moja znajoma?

- Była niegdyś pana znajomą. Nazywa się Helen Halliday, a przed ślubem nazywała się Kennedy.

Afflick siedział zupełnie spokojnie. Zmrużył oczy i lekko odchylił do tyłu krzesło.

-Helen Halliday... nie przypominam sobie... Helen Kennedy. ..

- Kiedyś mieszkała w Dillmouth - odpowiedziała szybko Gwenda.

Krzesło Afflicka gwałtownie opadło do pionu.

- Już mam - powiedział. - Oczywiście. - Jego okrągła, rumiana twarz rozjaśniła się. - Mała Helen Kenndey! Tak, pamiętam ją. Ale to dawne dzieje. Chyba ze dwadzieścia lat.

- Osiemnaście.

- Naprawdę? Ale ten czas leci, jak to mówią. Obawiam się jednak, że panią rozczaruję, pani Reed. Nie miałem z Helen żadnych kontaktów od tamtej pory. Nawet o niej nie słyszałem.

- Och - westchnęła Gwenda - to faktycznie wielkie rozczarowanie. Tak bardzo liczyliśmy, że pan

nam pomoże.

- A w czym tkwi problem? - Jego oczy przebiegały szybko od jednego gościa do drugiego. - Jakaś kłótnia? Opuściła dom? Kwestia pieniędzy?

- Odeszła - powiedziała Gwenda - nagle... z Dillmouth... osiemnaście lat temu... z kimś.

- I myśleliście, że ze mną? - spytał z rozbawieniem Jackie Afflick. - Ale dlaczego?

- Ponieważ słyszeliśmy - odparła dzielnie Gwenda - że pan i ona... niegdyś... bardzo się lubiliście.

- Ja z Helen? Och, ale to nie było nic takiego. Zwykły flirt, jak to między chłopakiem i dziewczyną. Żadne z nas

nie traktowało tego poważnie. Zresztą - dodał oschle - nie zachęcano nas do tego.

- Zapewne uważa pan, że jesteśmy okropnymi imperty-nentami - zaczęła Gwenda, ale Afflick jej przerwał.

- W czym problem? Nie jestem taki wrażliwy. Pani chce znaleźć określoną osobę i pomyślała, że mogę w tym dopomóc. Proszę mnie pytać, o co pani zechce, nie mam nic do ukrycia. - Popatrzył na Gwendę w zamyśleniu. - A więc to pani jest córką Hallidaya?

- Tak. Znał pan mojego ojca? Pokręcił przecząco głową.

- Wpadłem któregoś dnia zobaczyć się z Helen, kiedy byłem w Dillmouth w sprawach służbowych. Słyszałem, że wyszła za mąż i mieszka w tym mieście. Rozmawiała ze mną dość sympatycznie - zrobił krótką przerwę - ... ale nie zaprosiła na obiad. Nie, nie spotkałem pani ojca. Czy w tym stwierdzeniu „nie zaprosiła mnie na obiad” kryje się uraza? - zastanowiła się Gwenda.

- Czy ona... o ile pan pamięta... wydawała się panu szczęśliwa?

Afflick wzruszył ramionami.

- Dość szczęśliwa. Chociaż to dawne dzieje. Zapamiętałbym jednak, gdyby wyglądała na nieszczęśliwą. - Zamilkł, a po chwili dodał z zaciekawieniem, wyglądającym na zupełnie naturalne:

- Czy chce pani powiedzieć, że nie miała pani od niej żadnych wiadomości od czasu, kiedy osiemnaście lat temu odeszła z Dillmouth?

-Nie.

- Żadnych listów?

- Przyszły dwa listy - powiedział Giles. - Mamy jednak powody przypuszczać, że to nie ona je napisała.

- Myślicie, że nie ona? - Afflick wyglądał na lekko rozbawionego. - Brzmi to jak zagadka w filmie sensacyjnym.

- My też odnosimy takie wrażenie.

- A co z jej bratem, tym doktorkiem? On też nie wie, gdzie jest Helen?

-Nie.

- Rozumiem. Tajemnicza sprawa, co? Czemu nie dacie ogłoszenia do gazety?

- Daliśmy.

- Wygląda na to, że nie żyje - stwierdził obojętnym tonem ARlick. - Mogliście się o tym nie dowiedzieć.

Gwenda zadrżała.

- Zimno pani?

- Nie. To ta myśl, że Helen nie żyje. Nie lubię myśleć o niej jako o zmarłej.

- Ma pani rację. Mnie się to też nie podoba. Taka śliczna dziewczyna.

- Znał ją pan - powiedziała Gwenda impulsywnie. - Znał ją pan dobrze. Ja mam o niej tylko dziecięce wspomnienia. Jaka ona była naprawdę? Jakie robiła wrażenie? Co pan do niej czuł? Przez moment przyglądał się Gwendzie.

- Będę z panią szczery, pani Reed. Może mi pani wierzyć albo i nie, ale było mi żal tego dzieciaka.

- Żal? - spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Dokładnie tak. Wróciła do domu prosto ze szkoły. I, jak każda młoda dziewczyna, marzyła o odrobinie zabawy, a tu ten jej sztywny brat w średnim wieku, z własnymi przekonaniami na temat tego, co dziewczyna może, a czego nie powinna robić. Nie miała żadnych radości. No to zabierałem ją gdzieś od czasu do czasu, pokazałem jej trochę życia. Tak naprawdę, to ani ja się w niej nie kochałem, ani ona we mnie. Po prostu lubiła robić psikusy i zachowywać się jak małe diablę. A potem, oczywiście, wyszło na jaw, że się spotykamy, i braciszek położył temu tamę. Naprawdę nie mam do niego żalu. Za wysokie progi jak dla mnie. Nie byliśmy zaręczeni ani nic z tych rzeczy. Zamierzałem się kiedyś ożenić, ale dopiero znacznie później. Planowałem, że się wybiję i chciałem mieć żonę, która by mi w tym pomogła. Helen nie miała majątku i pod żadnym względem nie była to odpowiednia partia. Łączyła nas po prostu przyjaźń, urozmaicona odrobiną flirtu.

- Ale zapewne był pan zły na doktora... - Gwenda nie dokończyła zdania.

- Przyznaję, że byłem rozeźlony. Żadna przyjemność usłyszeć, że się nie jest dość dobrym. Ale też nie jest dobrze mieć zbyt cienką skórę.

- A potem - odezwał się Giles - stracił pan pracę. Wyraz twarzy Afflicka przestał być sympatyczny.

- Wywalili mnie. Z firmy Fane'a i Watchmana. I dobrze wiem, komu to zawdzięczam.

- Och? - Giles powiedział to tonem wyraźnie pytającym, ale Afflick pokręcił przecząco głową.

- Niczego nie sugeruję. Mam własny pogląd na tę sprawę. Wrobiono mnie... i tyle... ale domyślam się, kto to mógł zrobić. I dlaczego! - policzki zarumieniły mu się jeszcze silniej. -

Brudna robota - kontynuował. - Szpiegowanie człowieka, zastawianie na niego pułapek, oczernianie. No i dobra, mam swoich wrogów. Ale nigdy się nie dam pokonać, zawsze odpłacam pięknym za nadobne. I nie zapominam.

Urwał. Nagle jego sposób bycia znowu się zmienił. Z powrotem stał się sympatyczny.

- Tak więc, obawiam się, że nie potrafię państwu pomóc. Między mną a Helen w sumie nic nie było, trochę zabawy i to wszystko. Żadnego głębszego uczucia.

Gwenda wpatrywała się w Afflicka. To dość przekonująca historia, tylko czy prawdziwa? - zastanawiała się. Coś tu zgrzytało i uświadomiła sobie, co.

- A jednak odszukał ją pan, kiedy przyjechał pan do Dill-mouth - powiedziała.

Roześmiał się.

- Złapała mnie pani, faktycznie to zrobiłem. Myślę, że chciałem jej pokazać, że nie poszedłem na dno, dlatego że jakiś ponury prawnik wyrzucił mnie ze swojego biura. Miałem niezłe prosperującą firmę, jeździłem eleganckim samochodem i radziłem sobie całkiem dobrze.

- Odwiedził ją pan kilkakrotnie, prawda? Zawahał się.

- Dwa, może trzy razy. Po prostu wpadałem na chwilę. -Kiwnął głową z nagłym zdecydowaniem.

- Przykro mi, ale nie potrafię państwu pomóc.

Giles wstał.

- Proszę nam wybaczyć, że zabraliśmy panu tyle czasu.

- Nie ma sprawy. To miła odmiana tak sobie porozmawiać o dawnych dziejach.

W tej chwili otworzyły się drzwi, do gabinetu zajrzała kobieta i natychmiast zaczęła przeproszać.

- Och, bardzo przepraszam... nie wiedziałam, że masz gości...

- Wejdz, moja droga, wejdz. Poznajcie moją żonę. A to państwo Reedowie.

Pani Afflick uścisnęła im dłonie. Była wysoką, szczupłą, robiącą wrażenie zatroskanej kobietą,

ubraną nieoczekiwanie dobrze.

- Wspominaliśmy sobie dawne czasy - powiedział pan Afflick. - Czasy, zanim cię jeszcze spotkałem, Dorothy.

Odwrócił się w stronę swoich gości.

- Poznałem żonę w czasie rejsu - wyjaśnił. - Nie pochodzi z tych stron. Jest kuzynką lorda Polterhama.

Powiedział to z dumą, a szczupła kobieta zarumieniła się.

- Takie rejsy to miła rzecz - skomentował Giles.

- Można się dzięki nim dużo nauczyć - odparł Afflick. -A ja przecież nie uzyskałem właściwie żadnego wykształcenia, o którym by warto wspomnieć.

- Ciągle namawiam męża - powiedziała pani Afflick - żebyśmy popłynęli na jeden z tych rejsów greckich.

- Nie mam na to czasu. Jestem okropnie zajęty.

- A my nie powinniśmy pana tak długo zatrzymywać -stwierdził Giles. - Do widzenia i dziękujemy. Powiadomi mnie pan o kosztach tej wycieczki, prawda?

Afflick odprowadził ich do wyjścia. Gwenda obejrzała się przez ramię. Pani Afflick stała w drzwiach gabinetu. Jej wzrok, wbity w plecy męża, wyrażał zaciekawienie i raczej nieprzyjemny strach.

Jeszcze raz się pożegnali, po czym Giles i Gwenda poszli w stronę samochodu.

- Ojej - jęknęła Gwenda - zostawiłam szal.

- Zawsze musisz coś zostawić.

- Oj, nie udawaj takiego męczennika. Zaraz go przyniosę. Pobiegnęła w stronę domu. Przez otwarte drzwi salonu dobiegł do jej uszu donośny głos Afflicka.

- No i po co wścibiasz nos we wszystko? Za grosz rozumu.

- Przepraszam, Jackie. Nie wiedziałam. Kim są ci ludzie i czemu jesteś taki przygnębiony?

-Wcale nie jestem przygnębiony. Po prostu... - urwał, zobaczywszy Gwendę stojącą w drzwiach.

- Och, panie Afflick, czy nie zostawiłam tu szala?

- Szala? Nie, pani Reed. Nie ma go tu.

- Och, jakie to głupie z mojej strony. Musiałam go zostawić w samochodzie - wymamrotała Gwenda i wyszła.

Giles w tym czasie zawrócił samochód. Przy krawężniku stała zaparkowana wielka żółta

limuzyna, błyszcząca od chromowanych ozdób.

- Ale auto - odezwał się Giles.

- „Elegancki samochód” - odparła Gwenda. - Pamiętasz, Giles? Kiedy Edith Pagett mówiła nam, co powiedziała wtedy Lily? Lily stawiała na kapitana Erskine'a, a nie na „naszego tajemniczego pana w błyszczącym samochodzie”. Nie uważasz, że tym tajemniczym panem w lśniącym samochodzie mógł być Jackie Afflick?

- Tak - potwierdził Giles. - Lily w liście do doktora też wspomniała o „eleganckim samochodzie”.

Popatrzyli na siebie.

- On tam był, „na miejscu zbrodni”, jakby powiedziała panna Marple, tamtej nocy. Och, Gilesie, nie mogę się doczekać czwartku! Tak bardzo chcę usłyszeć, co nam powie Lily Kimble.

- A jeśli wystraszy się i nie przyjedzie?

- Przyjedzie, zobaczysz. Giles, jeśli ten lśniący samochód był tam tej nocy...

- Myślisz, że to był taki żółty potwór jak ten tutaj?

- Podziwiacie mój wóz? - jowialny głos wywarł na nich tak silne wrażenie, że podskoczyli.

Jackie Afflick stał tuż za nimi, oparty o starannie przycięty żywopłot. - Nazywam go „Jaskier”. Zawsze lubiłem ładne rzeczy. Rzuca się w oczy, prawda?

- O, z pewnością - zgodził się Giles.

- Lubię kwiaty - stwierdził pan Afflick. - A najbardziej żonkile', jaskry, pantofelniki. Znalazł się szal, pani Reed. Zsunął się pod stół. Do widzenia. Miło mi było państwa poznać.

- Myślisz, że słyszał, jak nazwaliśmy jego samochód żółtym potworem? - spytała Gwenda, kiedy odjechali kawałek.

- Och, nie sądzę. Wydawał się całkiem sympatyczny, prawda? - Giles robił wrażenie lekko zaniepokojonego.

- Ta-ak, ale nie wydaje mi się, żeby to miało jakieś znaczenie... wiesz, ta jego żona... ona się go boi, widziałam wyraz jej twarzy.

' Żonkile - po angielsku daffodils. Stąd nazwa firmy pana Afflicka: Daffodil Coaches - Żonkilowe Autokary (przyp.tłum.).

- Co? Boi się tego miłego, jowialnego gościa?

- Być może w rzeczywistości nie jest wcale taki miły i jowialny... wiesz, Gilesie, myślę, że nie lubię pana Afflicka... Zastanawiam się, jak długo stał za naszymi plecami, słuchając rozmowy...

A właściwie, co wtedy mówiliśmy?

- Nic takiego - odparł Giles.

Ale nadal wyglądał na niespokojnego.

XXII

Lily jedzie na spotkanie

- A niech mnie! - wykrzyknął Giles.

Otworzył właśnie list, który znajdował się w popołudniowej poczcie, i ze zdumieniem wpatrywał się w jego treść.

- Co się stało?

- To ekspertyza grafologa.

- I stwierdzili, że to nie ona napisała te listy z zagranicy, prawda? - spytała z przejęciem Gwenda.

- Otóż właśnie ona, Gwendo. Spojrzeli na siebie ze zdziwieniem.

- Czyli te listy nie są fałszerstwem. - W głosie Gwendy zabrzmiało lekkie niedowierzenie. - Są autentyczne. Helen odeszła z domu tej nocy. I napisała listy. I nie została uduszona?

- Na to wygląda - powiedział powoli Giles. - Ale to naprawdę okropnie przygnębiające. Nic nie rozumiem. Wszystko zdaje się przecież wskazywać na zupełnie co innego.

- Może eksperci się pomylili?

- Mogło się tak zdarzyć. Ale wydają się tego pewni. Gwendo, naprawdę nic już nie rozumiem. Czyżbyśmy robili z siebie kolosalnych idiotów?

- Wszystko z powodu mojego głupiego zachowania w teatrze? Coś ci powiem, Giles. Wstąpmy do panny Marple. Zdamy. U doktora Kennedy'ego mamy być dopiero o czwartej trzydzieści. Panna Marple zareagowała jednak zupełnie inaczej niż oczekiwali. Stwierdziła, że to naprawdę bardzo miłe.

-Ależ droga panno Marple - zdziwiła się Gwenda - co chce pani przez to powiedzieć?

- Chodzi mi o to, moja droga, że ktoś nie był aż tak sprytny, jak mu się zdawało.

- Ale jak... w jaki sposób?

- Popełnił błąd - oświadczyła panna Marple z satysfakcją potakując głową.

-Jaki?

- Drogi panie Reed, z pewnością dostrzega pan, jak bardzo zawęża to pole.

- Założywszy, że to naprawdę Helen napisała te listy, nadal uważa pani, że mogła zostać zamordowana?

- Chodzi mi o to, że komuś wydawało się bardzo ważne, aby te listy były faktycznie napisane

charakterem pisma Helen.

- Rozumiem... a w każdym razie tak mi się zdaje. Musiały istnieć określone okoliczności, w jakich nakłoniono Helen, aby napisała te listy... To zawęża pole. Ale jakie to mogły być okoliczności?

- Och, naprawdę, panie Reed. Pan wcale nie myśli. Przecież to takie proste.

Giles wyglądał na zirytowanego i zbuntowanego.

- Zapewniam panią, że wcale nie jest to dla mnie oczywiste.

- Gdyby się pan tylko chwileczkę zastanowił...

- Chodźmy, Gilesie - ponagliła Gwenda. - Spóźnimy się. Pozostawili pannę Marple uśmiechającą się do siebie.

- Czasami ta staruszka mnie irytuje - stwierdził Giles. - Nie mam zielonego pojęcia, o co jej, u diabła, chodziło.

Dotarli do Woodleigh Bolton na czas. Drzwi otworzył im sam doktor.

- Dałem mojej gospodyni wolne popołudnie - wyjaśnił. - Wydawało mi się, że tak będzie lepiej. Poprowadził ich do saloniku, gdzie stała już taca z filiżankami do herbaty, chleb z masłem oraz ciastka.

- Filiżanka herbaty to chyba dobry pomysł, prawda? - zapytał niepewnie, zwracając się do Gwendy. - Ta pani Kim-ble na pewno poczuje się swobodniej.

- Ma pan absolutną rację - odparła Gwenda.

- A co z wami? Mam was od razu przedstawić? A może ją to spieszy?

- Ludzie ze wsi są bardzo podejrzliwi - powiedziała Gwenda z namysłem. - Myślę, że byłoby lepiej, gdyby pan rozmawiał z nią sam na sam.

- Ja też tak myślę - poparł ją Giles.

- W takim razie może zechcecie poczekać w sąsiednim pokoju, a drzwi łączące oba pomieszczenia zostawimy uchylone. Wtedy będziecie wszystko słyszeć. Biorąc pod uwagę okoliczności, myślę, że możecie się czuć usprawiedliwieni.

- Wygląda na to, że będziemy podsłuchiwać, ale wcale mi to nie przeszkadza - oświadczyła Gwenda.

- Nie sądzę, aby odgrywały tu jakąś rolę względy etyczne - powiedział doktor Kennedy z lekkim uśmiechem. - Nie zamierzam obiecywać, że dochowam tajemnicy, choć udzielę porady, jeśli zostaną o to poproszeni.

Spojrzał na zegarek.

- Pociąg powinien przyjechać na stację Woodleigh Road o czwartej trzydzieści pięć. A zatem za parę minut. No i jakieś pięć minut zajmie jej wejście na wzgórze.

Niespokojnym krokiem przemierzał pokój. Na jego poranej zmarszczkami twarzy malował się wyraz strapienia.

- Nie rozumiem - powiedział w pewnej chwili. - Zupełnie nie rozumiem, co to może znaczyć.

Jeśli Helen nie uciekła z domu, jeśli jej listy do mnie były podrobione... - Gwenda poruszyła się gwałtownie, ale Giles pokręcił głową, sygnalizując, żeby nic nie mówiła. Doktor kontynuował: - ...Jeśli biedny Kelvin jej nie zabił, to co u licha mogło się stać?

- Zabił ją ktoś inny - stwierdziła Gwenda.

- Ależ moje drogie dziecko, jeśli ktoś inny ją zabił, to dlaczego, do licha, Kelvin upierał się, że on to zrobił?

- Ponieważ tak mu się wydawało. Znalazł ją na łóżku i pomyślał, że to on jest winien. Mogło tak być, prawda?

Dr Kennedy ze zniecierpliwieniem potarł nos.

- Skąd mam wiedzieć? Nie jestem psychiatrą. Szok? Załamanie nerwowe? Tak, myślę, że to możliwe. Ale kto mógłby chcieć zabić Helen?

- Bierzemy pod uwagę trzy osoby - odparła Gwenda. - Trzy osoby? Jakie trzy osoby? Nikt nie miał powodu,

aby zabijać Helen, chyba że ten ktoś był nienormalny. Nie miała wrogów. Wszyscy ją lubili.

Podszedł do biurka i zaczął grzebać w szufladzie.

Po chwili wyciągnął starą, wyblakłą fotografię wysokiej uczennicy w stroju gimnastycznym, ze związanymi z tyłu włosami i rozpromienioną twarzą. Kennedy, młodszy, wyglądający na szczęśliwego, stał obok niej, trzymając szczeniaka terriera.

- Dużo o niej myślę ostatnio - powiedział niewyraźnie. - Przez wiele lat wcale o niej nie myślałem... prawie udało mi się zapomnieć. A teraz myślę o niej bez przerwy. To przez was. Zabrzmiało to niemal jak oskarżenie.

- Sądzę, że to przez nią - stwierdziła Gwenda. Doktor Kennedy raptownie odwrócił się w jej stronę.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nic takiego. Nie potrafię wyjaśnić. Ale to naprawdę nie nasza wina. To jej samej, Helen.

Do ich uszu dotarł słaby, melancholijny gwizd syreny lokomotywy. Doktor Kennedy odsunął się od okna, a Giles i Gwenda poszli za jego przykładem. Wzdłuż doliny przesuwała się powoli smuga pary.

- To pociąg - powiedział Kennedy.

- Wjeżdża na stację?

- Nie, już ją opuszcza. - Zrobił krótką przerwę. - Za kilka minut powinna tu być - dodał.

Ale minuty mijały, a Lily Kimble nie nadchodziła.

Lily Kimble wysiadła z pociągu na stacji Dillmouth Junction i przeszła wiaduktem na boczny peron, przy którym stał pociąg lokalny. Siedziało w nim niewielu pasażerów, najwyżej pół tuzina. Była to martwa pora dnia, a poza tym - dzień targowy w Helchester.

Pociąg po chwili ruszył, znacząc z dumą kłębami pary swoją drogę przez krętą dolinę. Przed stacją końcową w Lonsbury Bay były trzy przystanki: w Newton Langford, Matchings Halt (do Wooleigh Camp) i Wooleigh Bolton.

Lily Kimble wyglądała przez okno, ale przed jej oczami nie rozciągał się widok żyznej okolicy; zamiast tego widziała zestaw mebli w stylu Jakuba I, z zieloną tapicerką o nefrytowym odcieniu. Była jedyną osobą, która wysiadła na stacji Matchings Halt. Oddała bilet i wyszła, przechodząc obok kasy. Ruszyła drogą i po chwili zobaczyła drogowskaz „Wooleigh Camp”, wskazujący na ścieżkę, wiodącą stromo pod górę.

Lily Kimble skręciła i zaczęła się szybko wspinać. Ścieżka wiła się na skraju lasu; po drugiej stronie wznosiły się stromo wzgórza, porośnięte wrzosem i kolczastymi krzakami.

Nagle ktoś wyszedł zza drzew i Lily Kimble zadrżała.

- O rany, ale mnie pan nastraszył! - wykrzyknęła. - Nie spodziewałam się pana tu spotkać.

- Niespodzianka, co? Mam dla ciebie jeszcze jedną. Pusto było wśród drzew. Nie miał kto usłyszeć krzyku ani

odgłosów walki. Zresztą nikt nie krzyknął, a walka trwała bardzo krótko.

Jedynie zaniepokojona synogarlica sfrunęła z drzewa...

- No i co z tą kobietą? - spytał poirytowanym głosem doktor Kennedy.

Wskazówki zegara wskazywały za dziesięć piątą.

- Czy mogła pobłądzić w drodze ze stacji?

- Dałem jej wyraźne wskazówki. Zresztą to prosta droga. Po wyjściu ze stacji trzeba skręcić w

lewo, a następnie w pierwszą dróżkę na prawo. Jak mówiłem, to tylko kilka minut piechotą.

- Zapewne się rozmyśliła - stwierdził Giles.

- Na to wygląda.

- Albo spóźniła się na pociąg - zasugerowała Gwenda.

- Nie - powiedział powoli Kennedy. - Myślę, że bardziej prawdopodobne, iż mimo wszystko postanowiła nie przyjeżdżać. Zapewne wmieszał się w to jej mąż. Ci wieśniacy są zupełnie nieobliczalni.

Nerwowo krążył po pokoju.

W pewnym momencie podszedł do telefonu i poprosił o połączenie z jakimś numerem.

- Halo, czy to stacja? Mówi doktor Kennedy. Oczekuję kogoś, kto miał przyjechać o czwartej trzydzieści pięć. Wieśniaczka w średnim wieku. Czy ktoś może pytał o drogę do mnie? A może... słucham?

Giles i Gwenda stali wystarczająco blisko, aby usłyszeć spokojny, leniwy głos bagażowego z Wooleigh Bolton.

- Nie sądzę, aby przyjechał ktoś do pana, doktorze. O czwartej trzydzieści pięć nie było nikogo obcego. Tylko pan Narracotts z Meadows, Johnnie Lawes i córka starego Bensaona. Nikt więcej.

- A więc rozmyśliła się - stwierdził dr Kennedy. - No cóż, w takim razie wy napijcie się ze mną herbaty. Czajnik jest nastawiony. Pójdę zaparzyć.

Kiedy wrócił z imbrykiem, usiedli do stołu.

- To tylko chwilowa komplikacja - powiedział nieco wesejszym tonem. - Mamy jej adres. Może wybierzemy się do niej któregoś dnia.

W tej chwili zadzwonił telefon i doktor z pośpiechem podniósł słuchawkę.

- Doktor Kennedy?

- Przy aparacie.

- Mówi inspektor Last z posterunku w Longford. Czy oczekiwał pan dziś po południu odwiedzin kobiety o nazwisku Kimble, pani Lily Kimble?

- Tak. A czemu pan pyta? Czy miała jakiś wypadek?

- Właściwie trudno to nazwać wypadkiem. Nie żyje. Znaleźliśmy przy niej list od pana. Dzwonię właśnie w tej sprawie. Czy zechciałby pan pofatygować się możliwie jak najszybciej na posterunek w Longford?

- Zaraz tam będę.

- Zatem wyjaśnijmy to do końca - powiedział inspektor Last. - Spoglądał to na Kennedy'ego, to na Gilesa i Gwendę, którzy towarzyszyli doktorowi. Gwenda była bardzo blada i z całej siły zaciskała splecione palce. - Oczekiwał pan przyjazdu tej kobiety pociągiem, który wyrusza z Dillmouth Junction o czwartej pięć? I jest w Wooleigh Bolton o czwartej trzydzieści pięć? Dr Kennedy przytaknął.

Inspektor Last spojrział na list, znaleziony przy zmarłej. Był całkiem jednoznaczny.

Droga pani Kimble

Z chęcią udzielię pani rady i zrobię to najlepiej, jak potrafię. Jak może pani zauważyć w nagłówku listu, nie mieszkam już w Dillmouth. Jeśli pojedzie pani pociągiem z Coombeleigh o trzeciej trzydzieści, przesiądzie się na stacji Dillmouth Junction na pociąg do Lonsbury Boy i wysiądzie w Wooleigh Boi-

ton, to będzie pani miała tytko kilka minut pieszo do mojego domu. Po wyjściu ze stacji proszę skręcić w lewo i pójść pierwszą drogą po prawej stronie. Mój dom jest na końcu tej ulicy, po prawej stronie. Na bramie jest nazwisko.

Szczerze oddany James Kennedy

- I nie było mowy o tym, żeby przyjechała wcześniejszym pociągiem?

- Wcześniejszym? - doktor Kennedy wyglądał na zdziwionego.

- Ponieważ właśnie to zrobiła. Wyjechała z Coombeleigh nie o trzeciej trzydzieści, ale o pierwszej trzydzieści, złapała na Dillmouth Junction pociąg o drugiej pięć i wysiadła nie na Wooleigh Bolton, lecz na Matchings Halt, czyli o stację wcześniej.

- Ależ to niesłychane!

- Czy jechała do pana na konsultację medyczną, doktorze?

- Nie. Kilka lat temu przeszedłem na emeryturę i nie prowadzę już praktyki lekarskiej.

- Tak mi się właśnie zdawało, doktorze. Czy dobrze ją pan znał?

Kennedy pokręcił przecząco głową.

- Nie widziałem jej od blisko dwudziestu lat.

- Ale... hm... rozpoznał ją pan?

Gwenda zadrzała, ale zmarli nie robili wrażenia na doktorze, Kennedy odparł więc z namysłem:

- W tych okolicznościach trudno powiedzieć, czy ją rozpoznałem, czy też nie. Przypuszczam, że została uduszona?

- Tak. Ciało znaleziono w lasku, niedaleko ścieżki prowadzącej z Matchings Halt do Wooleigh Camp. Zobaczył je turysta, schodzący z Camp, mniej więcej za dziesięć czwarta.

Nasz lekarz policyjny uważa, że zgon nastąpił pomiędzy drugą piętnaście a trzecią. Zapewne zabito ją w chwilę po tym, jak wyszła ze stacji. Nikt więcej nie wysiadał na Mat-chings Halt. Była jedyną pasażerką, która tam wyszła z pociągu. - Ale dlaczego wysiadła na Matchings Halt? Czyżby pomyliła stacje? Poza tym o dwie godziny wcześniej, niż była umówiona z panem, i nie przyjechała tym pociągiem, który pan sugerował, choć miała przy sobie pański list. - Jaką miała do pana sprawę, doktorze?

Doktor Kennedy sięgnął do kieszeni i wyciągnął list od Lily.

- Przywiozłem to ze sobą. Załączony do niego wycinek i ogłoszenie dali do lokalnej gazety obecni tu państwo Re-edowie.

Inspektor Last przeczytał list od Lily Kimble i załączniki. Następnie przyjrzał się uważnie doktorowi Kennedy'emu, Gilesowi i Gwendzie.

- Czy mógłbym usłyszeć całą historię, jaka się za tym kryje? Rozumiem, że sięga ona korzeniami daleko w przeszłość?

- Osiemnaście lat - odparła Gwenda.

Kawałek po kawałku, ze wstawkami i uzupełnieniami, opowiedziano całą historię. Inspektor Last był dobrym słuchaczem. Pozwalał każdej z siedzących przed nim osób opowiadać po swojemu.

Doktor Kennedy mówił zwięźle, podawał suche fakty, wypowiedzi Gwendy były nieco chaotyczne, ale bardzo obrazowe. Udział Gilesa był zapewne najbardziej wartościowy.

Opowiadał jasno i na temat, z mniejszą rezerwą niż doktor Kennedy, ale bardziej spójnie niż Gwenda. Trwało to wszystko bardzo długo.

Wreszcie inspektor Last westchnął i podsumował fakty.

- Pani Halliday była siostrą doktora Kennedy'ego i pani macochą, pani Reed. Osiemnaście lat temu znikła z domu, w którym obecnie państwo mieszkacie. Lily Kimble (z domu Abbot) była wówczas pokojówką w tym domu. Z jakiegoś powodu Lily Kimble skłania się (po tylu latach) ku teorii, że coś w tej sprawie jest nie w porządku. Poprzednio zakładano, że pani Halliday odeszła z mężczyzną o nieustalonej tożsamości. Major Halliday zmarł piętnaście lat temu w szpitalu dla psychicznie chorych, nadal przekonany o prawdziwości swojego urojenia, że udusił żonę, jeśli to było urojenie... - Zrobił pauzę. - To są wszystko bardzo interesujące fakty -kontynuował po chwili - choć niezbyt związane ze sprawą. Najważniejszą kwestią wydaje się

rozstrzygnięcie, czy pani Halliday żyje, czy zmarła. A jeśli zmarła, to kiedy. I co wiedziała Lily Kimble. W świetle tego, co się zdarzyło, wydaje się - że musiała wiedzieć coś ważnego. Tak ważnego, że zamordowano ją, aby nie ujawniła tych informacji.

- Ale skąd miałyby ktokolwiek oprócz nas wiedzieć -krzyknęła Gwenda - że zamierzała o tym mówić?

Inspektor Last spojrział na nią zamyślonym wzrokiem.

- Istotne wydaje się to, proszę pani, że pojechała pociągiem, odjeżdżającym z Dillmouth Junction o drugiej pięć zamiast o czwartej pięć. Musiała mieć po temu jakiś powód. Poza tym wysiadła przed stacją Wooleigh Bolton. Dlaczego? Wydaje mi się prawdopodobne, że po napisaniu do doktora napisała jeszcze do kogoś innego, proponując spotkanie w Wooleigh Camp, i być może planowała, że jeśli to spotkanie okaże się niesatysfakcjonujące, wtedy uda się do doktora po radę. Możliwe, że podejrzewała jakąś określoną osobę i mogła napisać do tej osoby, wspominając, że coś wie, i sugerując spotkanie.

- Szantaż - stwierdził Giles, nazywając rzecz po imieniu.

- Nie sądzę, aby pojmowała to w ten sposób - odparł inspektor Last. - Była po prostu chciwa, miała rozbudzone nadzieje i trochę oszołomiło ją rozważanie, co mogłaby zyskać dzięki tej sprawie. Zobaczymy. Być może jej małżonek powie nam coś więcej.

- A ostrzegałem ją - powiedział ponuro pan Kimble. - Mówiłem: „Nie waż się robić czegokolwiek w tej sprawie”. No to pojechała w tajemnicy przede mną. Myślała, że wie lepiej. To cała Lily. O wiele za sprytna.

Dalsze przesłuchanie ujawniło, że pan Kimble miał niewiele do dodania.

Lily była na służbie w St Catherine's, zanim ją poznał i zaczął się z nią spotykać. Bardzo lubiła chodzić do kina i

- jak mu opowiadała - była przekonana, że w domu, w którym pracowała, popełniono morderstwo.

- Nie zwróciłem większej uwagi na to, co mówiła. Myślałem sobie, że to tylko jej wyobraźnia. Bo też Lily nigdy nie zadowalała się samymi faktami. Opowiadała mi jakieś niestworzone rzeczy, jak to podobno pan załatwił panią i być może ukrył ciało w piwnicy i jeszcze o Francuzce, która wyjrzała przez okno i zobaczyła coś czy kogoś. „Nie zwracaj uwagi na to, co mówią cudzoziemcy, moja panno - powiedziałem jej wtedy. - Oni wszyscy, co do jednego, to kłamcy. Nie to, co my”. A kiedy dalej o tym mówiła, przestałem słuchać, bo zauważcie, że ona

sobie to wszystko wymyślała. Lubiła kryminały, taka już była. Kupowała „Sunday News”, bo tam były kawałki o słynnych mordercach. Miała tego pełną głowę i jeśli chciała sobie myśleć, że pracowała w domu, gdzie popełniono morderstwo, to cóż, od takiego myślenia nikomu się krzywda nie dzieje. Ale kiedy zaczęła mnie męczyć o to ogłoszenie, powiedziałem: „Zostawisz to w spokoju! Nie ma sensu szukać guza”. I gdyby zrobiła tak, jak jej powiedziałem, toby dziś żyła.

- Na chwilę pochłonęły go własne myśli.

- Hm - powiedział w końcu. - Żyłaby dziś. O wiele za sprytna, taka była ta Lily.

XXIII

Który z nich?

Giles i Gwenda nie pojechali z inspektorem Lastem i doktorem Kennedym na przesłuchanie pana Kimble'a. Wrócili do domu około siódmej. Gwenda była blada i wyglądała na chorą.

- Daj jej trochę brandy - poradził Gilesowi doktor Kennedy. - Zmusz, żeby coś zjadła i poszła do łóżka. Dla niej to było silnym wstrząsem.

- To takie okropne, Gilesie - powtarzała Gwenda. - Takie okropne. Co za głupia kobieta, żeby umawiać się na spotkanie z mordercą i jechać na nie sama z taką ufnością, na pewną śmierć. Jak owca na rzeź.

- Staraj się nie myśleć o tym, kochanie. Przecież wiedzieliśmy, że musiał być jeszcze ktoś... morderca.

- Nie, nie wiedzieliśmy. Nie wiedzieliśmy, że ten ktoś zabije teraz. Chodzi mi o to, że on był mordercą wtedy, osiemnaście lat temu. To jakoś nie było... realne. Mogło się wszystko okazać pomyłką.

- A to zdarzenie dowodzi, że się nie myliłaś. Miałaś wtedy rację, Gwendo.

Giles był zadowolony, że zastali w Hillside pannę Marple. Obie z panią Cocker zajęły się troskliwie Gwenda, która nie chciała brandy, twierdząc, że przypomina jej to podróż parowcem przez kanał, zgodziła się jednak wypić trochę góraczej whisky z cytryną, a potem, ulegając namowom pani Cocker, usiadła do stołu i zjadła omlet.

Giles zdecydowanie chciał rozmawiać na inne tematy, ale panna Marple - co, jak Giles musiał w końcu przyznać, było lepszą taktyką - mówiła o tym morderstwie w łagodny i wstrzemięźliwy sposób.

- To okropne, moja droga - stwierdziła. - I oczywiście wstrząsające, choć trzeba przyznać, że jednocześnie bardzo ciekawe. Ja naturalnie jestem już tak stara, że śmierć nie robi na mnie aż tak silnego wrażenia jak na tobie; właściwie przygnębia mnie jedynie przewlekłe cierpienie, na przykład przy raku. W całej tej sprawie naprawdę istotne jest to, że dowodzi ona ostatecznie i ponad wszelką wątpliwość, iż biedna młoda Helen Halliday została zamordowana. Podejrzewaliśmy to przez cały czas, ale teraz już wiemy na pewno.

- I według pani powinniśmy wiedzieć, gdzie znajduje się ciało - powiedział Giles. -

Przypuszczam, że chodzi o piwnicę.

- Nie, panie Reed, nie o piwnicę. Pamięta pan, Edith Pa-gett powiedziała, że zeszła tam następnego ranka, ponieważ niepokoiło ją to, co powiedziała Lily, i nie znalazła żadnych śladów; a przecież musiałyby się jakieś znaleźć, gdyby ktoś ich naprawdę szukał.

- To co się z nim stało? Wywieziono je samochodem i zrzucono ze skały do morza?

- Nie. Zastanówcie się, moi drodzy, co was uderzyło od razu, jak tu przyjechaliście, to znaczy powinnam powiedzieć: ciebie, Gwendo? Fakt, że z okna z salonu nie było widoku na morze. Miałaś wrażenie, zresztą bardzo słuszne, że gęste krzaki rosną tam, gdzie powinny być schodki na trawnik. Później odkryłaś, że pierwotnie były tam schodki, ale zostały przeniesione na koniec tarasu. Dlaczego je przeniesiono?

Gwenda patrzyła na nią z uczuciem, że zaczyna rozumieć.

- Chce pani powiedzieć, że to tam...

- Musiał być jakiś powód, zwłaszcza że nie jest to zmiana na lepsze. Szczerze mówiąc, to głupio mieć tak z boku schodki na trawnik. Ale ten koniec tarasu jest bardzo spokojnym miejscem - niewidocznym z domu, z wyjątkiem jednego okna z pokoju dzieciennego na pierwszym piętrze. Czy nie rozumiecie, że jeśli chce się zakopać ciało, trzeba w tym celu poruszyć ziemię, a to z kolei wymaga jakiegoś powodu? No więc powód był taki, że postanowiono przenieść schodki z frontu salonu na koniec tarasu. Dowiedziałam się od doktora Kennedy'ego, że Helen Halliday i jej mąż bardzo lubili ogród i dużo w nim pracowali. Ogrodnik na przychodne, którego zatrudniali, miał zwyczaj po prostu wypełniać ich polecenia i jeśli po przyjściu zauważył, że zaczęli zmieniać położenie schodów, a nawet przenieśli część płyt chodnikowych, mógł jedynie pomyśleć, że Halliday zaczął to robić pod jego nieobecność. Ciało mogło być naturalnie pochowane w każdym innym miejscu, ale chyba możemy przyjąć z dużą dozą prawdopodobieństwa, że znajduje się w końcu tarasu, a nie tuż przed oknem salonu.

- Dlaczego mamy mieć taką pewność? - spytała Gwenda.

- Ze względu na to, co biedna Lily Kimble napisała w liście: że zmieniła zdanie na temat ukrycia ciała w piwnicy po tym, jak się dowiedziała, co Leonie zobaczyła przez okno. To wszystko wyjaśnia, prawda? Szwajcarka wyjrzała w nocy przez okno pokoju dzieciennego i zobaczyła, że ktoś szykuje grób. Zapewne widziała nawet, kto ten grób kopie.

- I nie zgłosiła na policję?

- Moja droga, wtedy nie było problemu zbrodni. Pani Halliday uciekła z kochankiem, tylko tyle

mogła zrozumieć ta Leonie. Zresztą ona pewnie nawet nie mówiła dobrze po angielsku.

Wspomniała Lily, zapewne nie od razu, lecz dopiero po pewnym czasie, o dziwnej rzeczy, jaką zobaczyła przez okno tamtej nocy, i to utwierdziło Lily w przekonaniu, że została popełniona zbrodnia. Ale nie mam najmniejszej wątpliwości, że Edith Pagett złażała Lily za mówienie głupstw, a ta Szwajcarka przyjęła jej punkt widzenia. Na pewno też nie chciała mieć do czynienia z policją. Cudzoziemcy chyba zawsze nerwowo reagują na policję, kiedy są w obcym kraju. Tak więc wróciła do Szwajcarii i najprawdopodobniej więcej nie pomyślała nawet o tej sprawie.

- Jeśli jeszcze żyje - powiedział Giles - zapewne można ją odszukać.

- Zapewne - przytaknęła panna Marple.

- Jak się do tego zabrać? - spytał Giles.

- Policja będzie w stanie zrobić to o wiele lepiej niż wy - odparła panna Marple.

- Jutro rano przyjedzie tu inspektor Last.

- To myślę, że powinnam mu powiedzieć o tych schodkach.

- A o tym, co widziałam, lub co zdawało mi się, że widziałam w korytarzu? - spytała Gwenda z niepokojem w głosie.

- Tak, moja droga. Bardzo mądrze zrobiłaś, że dotychczas o tym nie wspomniałaś. Bardzo mądrze. Ale myślę, że nadeszła właściwa pora, aby powiedzieć.

- Została uduszona w korytarzu - analizował na głos Giles - a potem morderca zaniósł ją na górę i położył do łóżka. KeMn Halliday przyszedł, stracił przytomność po zaprawionej narkotykiem whisky i z kolei on został zanieiony na górę, do sypialni. Kiedy doszedł do siebie, pomyślał, że to on zabił Helen. Morderca musiał obserwować to wszystko. Kiedy Kelvin wyszedł do doktora Kennedy'ego, morderca zabrał ciało, zapewne ukrył je gdzieś w krzakach przy końcu tarasu, i czekał, aż wszyscy pójną spać, i dopiero wtedy wykopał grób i pochował zmarłą. To znaczy, że musiał tu być, kręcić się przy domu przez niemal całą noc, prawda?

Panna Marple przytaknęła.

- Musiał być na miejscu - kontynuował Giles. - Pamię-

tam, mówiła pani, że to bardzo ważne. Musimy się teraz zastanowić, który z naszych trzech podejrzanych najlepiej pasuje do tej sytuacji. Zaczniemy od Erskine'a. Otóż z całą pewnością był na miejscu. Według tego, co sam mówił, przyszedł tu z Helen Kennedy z plaży około dziewiątej wieczorem. Powiedział jej do widzenia. Ale czy na pewno? Przypuśćmy, że zamiast tego ją

udusił.

- Ale między nimi wszystko było już skończone! - wykrzyknęła Gwenda. - Dawno temu. Sam mówił, że rzadko zdarzało się, aby był z Helen sam na sam.

- Nie rozumiesz, Gwendo, że teraz nie wolno nam polegać na tym, co ktokolwiek mówi?

- Tak się cieszę, że pan to powiedział - stwierdziła panna Marple. - Bo wiecie, byłam trochę zmartwiona, że oboje, jak sądziłam, macie skłonność do przyjmowania za pewnik tego, co ludzie wam mówią. Obawiam się, że mam okropnie nieufną naturę, a szczególnie w sprawach związanych z morderstwem kieruję się zasadą powątpiewania we wszystko, co mi się mówi, póki to nie zostanie sprawdzone. Na przykład wydaje się zupełnie pewne to, co Lily Kimble wspomniała na temat zapakowanych i wyniesionych z domu ubrań, że nie były takie, jakie zabrałyby ze sobą Helen. Nie tylko bowiem Edith Pagett twierdziła, że coś takiego powiedziała jej Lily, ale też sama Lily napisała o tym w liście do doktora Kennedy'ego. To jest więc fakt. Doktor Kennedy powiedział nam, że Kelvin Halliday był przeświadczony, iż żona podawała mu narkotyki, i sam Kelvin potwierdza to w swoim pamiętniku. Mamy więc kolejny fakt, i to bardzo dziwny, nie uważacie? Nie zajmujmy się nim jednak w tej chwili. - Chciałabym zwrócić wam uwagę, że w bardzo wielu wypadkach opieraliście się na tym, co wam ktoś mówił, zapewne zresztą w sposób budzący zaufanie.

Giles wpatrywał się w pannę Marple twardym wzrokiem. Gwenda, która odzyskała już kolory, popijała kawę, pochylona nad stołem w stronę starszej pani.

- Sprawdźmy więc - zaproponował Giles - co tych troje ludzi nam mówiło. Zaczniemy od Erskine'a. Twierdzi...

- Zawzięłeś się na niego - przerwała mu Gwenda. - Upieranie się przy nim jest stratą czasu, ponieważ należy go definitywnie wyłączyć ze sprawy. Nie mógł zabić Lily Kimble.

- Twierdzi - kontynuował z uporem Giles - że spotkał Helen na statku płynącym do Indii. Zakochali się w sobie, ale on nie mógł opuścić żony i dzieci, wobec czego postanowili z Helen, że się rozstaną. Załóżmy jednak, że to niezupełnie tak wyglądało. Załóżmy, że rozpaczliwie pokochał Helen, a ona nie chciała z nim uciec. Przypuszczalnie zagroził jej, że ją zabije, jeśli wyjdzie za mąż za kogoś innego.

- Zupełnie nieprawdopodobne - skrytykowała Gwenda.

- Takie rzeczy się jednak zdarzają. Pamiętasz słowa jego żony, które podsłuchałaś? Położyłaś wszystko na karb zazdrości, ale to mogło być prawdą. Może ona faktycznie ma z nim potworne

kłopoty, jeśli chodzi o kobiety? Może on jest trochę maniakiem seksualnym?

- Nie wierzę w to.

- Nie wierzysz, ponieważ jest atrakcyjny dla kobiet. A ja uważam, że Erskine jest nieco dziwny. Ale rozpatrzmy dalej moje zarzuty wobec niego. Helen zrywa zaręczyny z Fane'em, wraca do domu, poślubia twojego ojca i osiada tu. I nagle zjawia się Erskine. Przyjeżdża rzekomo na wakacje z żoną. To naprawdę dziwny pomysł. Sam przyznaje, że chciał znowu zobaczyć Helen. Przyjmijmy teraz, że to Erskine był z Helen w salonie tego dnia, kiedy Lily podsłuchiwała, jak Helen mówiła, że się go boi. „Boję się ciebie... zawsze się ciebie bałam... myślę, że jesteś szalony”. Helen boi się go i dlatego zamierza przeprowadzić się do Norfolk, trzyma to jednak w głębokiej tajemnicy. Nie mówi o tym nikomu. To znaczy, dopóki Erskine'owie nie wyjadą z Dillmouth. Jak dotąd, wszystko pasuje. A teraz dochodzimy do tej fatalnej nocy. Nie wiemy, co Hallidayowie robili wcześniej tego wieczora...

Panna Marple zakasłała.

- Jeśli chodzi o ścisłość - wtrąciła - widziałam się jeszcze raz z Edith Pagett. Otóż, przypomniało się jej, że tamtej nocy zjedli wcześniej kolację, o siódmej, ponieważ major Halliday wybierał się na jakieś spotkanie. Zdaje się, że w klubie golfowym czy w parafii. Po kolacji pani Halliday wyszła.

- Doskonale. Helen spotyka Erskine'a, zapewne zgodnie z wcześniejszą umową, na plaży. On ma następnego dnia wyjechać. Być może odmawia wyjazdu. Przekonuje Helen, aby z nim uciekła. Ona wraca do domu, a on przychodzi razem z nią. W końcu dusi ją w napadzie szału. Reszta odbywa się tak, jak już mówiliśmy. Jest nieco szalony, chce, żeby Kelvin Halliday uważał, że to on zamordował Helen. Później Erskine zakopuje ciało. Pamiętacie? Powiedział Gwendzie, że wrócił do hotelu bardzo późno, ponieważ spacerował po Dillmouth.

- Ciekawe - wtrąciła panna Marple - co robiła w tym czasie jego żona?

- Zapewne wściekała się z zazdrości - odparła Gwenda. - I zrobiła mu awanturę, kiedy wrócił do domu.

- Tak wygląda moja rekonstrukcja tamtego wieczoru - podsumował Giles. - I to wszystko jest prawdopodobne.

- Ale on nie mógł zabić Lily Kimble - stwierdziła Gwenda - ponieważ mieszka w Northumberland. Myślenie o nim jest więc po prostu stratą czasu. Zajmijmy się Walterem Fane.

- Bardzo proszę. Walter Fane jest typem człowieka potrafiącego tłumić uczucia. Wydaje się

łagodny i opanowany. Pozornie można nim bezkarnie pomiatać. Ale panna Marple przyniosła nam na jego temat pewną bardzo ważną informację. Walter Fane pewnego dnia rozszalał się tak bardzo, że o mały włos zabiłby brata. To prawda, że zdarzyło mu się to w dzieciństwie, ale było o tyle zdumiewające, że zawsze robił wrażenie dziecka o niezwykle łagodnym charakterze i umiejącego wybaczać. W każdym razie Walter Fane zakochuje się w Helen Halliday. To nie jest taka sobie zwykła miłość, dosłownie oszalał na jej punkcie. Ona go nie chce, wobec czego Walter wyjeżdża do Indii. Później Helen pisze do niego, że przyjedzie i zostanie jego żoną. Wyrusza. Po czym następuje kolejny cios: dziewczyna się zjawia i natychmiast po przyjeździe zrywa zaręczyny. Jak mówi, „spotkała kogoś na statku”. Wraca do domu i poślubia Kelvina Hallidaya. Możliwe, że Walter Fane uważa, iż to Kelvin Halliday jest powodem odrzucenia go przez Helen. Rozmyśla nad tym, pielęgnuje szaloną, zazdrosną nienawiść i wraca do domu. Zachowuje się w najbardziej przyjacielski, pełen wyrozumiałości sposób, często bywa w domu Helen, staje się wyraźnie udomowionym kotem, wiernym Piętaszkiem. Ale zapewne Helen zdaje sobie sprawę, że to nie jest szczerze. Dostrzega, co się dzieje pod powierzchnią. Być może już dawniej wyczuła coś niepokojącego w spokojnym młodym Walterze Fane'ie. Mówi: „Myślę, że zawsze się ciebie bałam”. I robi potajemnie plany, żeby wyjechać z Dillmouth i zamieszkać w Norfolk. Dlaczego? Ponieważ boi się Waltera Fane'a. I znowu dochodzimy do tego fatalnego wieczoru. Nie stoimy jednak na pewnym gruncie. Nie wiemy, co Walter Fane robił tej nocy i nie sądzę, abyśmy mieli jakkolwiek szansę się dowiedzieć. Ale i ten podejrzany spełnia warunek panny Marple: jest na miejscu zbrodni o tyle, że mieszka w domu oddalonym stąd o dwie czy trzy minuty pieszo. Mógł powiedzieć, że boli go głowa i idzie się wcześniej położyć, albo zamknąć się w gabinecie, żeby popracować. Cokolwiek. Mógł zrobić to wszystko, co, jak ustaliliśmy, zrobił morderca. Uważam też, że z całej naszej trójki to właśnie on mógł najłatwiej popełnić błędy przy pakowaniu walizki. Po prostu nie orientuje się wystarczająco dobrze w tym, co noszą kobiety, aby odpowiednio dobrać ubrania.

- To dziwne - powiedziała Gwenda. - Kiedy byłam u niego w biurze, odniosłam dziwne wrażenie, że on jest jak dom z zaciągniętymi żaluzjami... a nawet przeszła mi przez głowę myśl, że w tym domu jest ktoś martwy. - Spojrzała na pannę Marple. - Czy wydaje się to pani bardzo głupie? - spytała.

- Nie, moja droga. Myślę, że zapewne masz rację.

- I w końcu - podjęła Gwenda - doszliśmy do Afflicka. Biuro podróży Afflicka. Jackie Afflick,

który zawsze chciał być za sprytny. Pierwsze, co przemawia przeciw niemu, to przypuszczenie doktora Kennedy'ego, że miał on początki manii prześladowczej. A zatem nigdy nie był w pełni normalny. Opowiedział nam o swoim związku z Helen, ale zgodzimy się chyba, że cała ta opowieść to stek kłamstw. Wcale nie uważał, że Helen była pociesznym dzieciakiem; był w niej szaleńczo, namiętnie zakochany. Ale ona go nie kochała. Bawiła się. Była stuknięta na punkcie mężczyzn, jak twierdzi panna Marple.

- O nie, moja droga. Ja tego nie mówiłam. Nic z tych rzeczy...

- No dobrze, była nimfomanką, jeśli wolicie to określenie. W każdym razie miała romans z Jackie'em Afflickiem, po czym chciała go rzucić. On jednak nie chciał być porzucony. Brat wyciągnął ją z tarapatów, ale Jackie nigdy jej nie wybaczył ani nie zapomniał. Stracił pracę, według tego, co mówił, wyrzucony przez Waltera Fane'a. To świadczy o jego manii prześladowczej.

- Tak - zgodził się Giles. - Ale z drugiej strony, jeśli to prawda, byłby to kolejny zarzut wobec Waltera Fane'a. I to dość znaczący.

- Helen udaje się za granicę - kontynuowała Gwenda - a on opuszcza Dillmouth. Ale nie zapomina o niej i kiedy Helen wraca tu jako mężatka, przyjeżdża i składa jej wizytę. Najpierw twierdził, że był u niej raz, ale później przyznał, że więcej razy. I, och, Gilesie, pamiętasz? Edith Pagett mówiła coś o „naszym tajemniczym panu w błyszczącym samochodzie”. Widzicie, musiał przyjeżdżać wystarczająco często, aby służba zaczęła plotkować. Ale Helen była zdecydowana nie zapraszać go na posiłki, nie dopuścić, aby poznał Kelvi-na. Być może bała się go. Być może...

-Tego argumentu można użyć dwojako -[^] przerwał jej Giles. - Załóżmy, że Helen go kochała. Był pierwszym mężczyzną, którego pokochała, i prawdopodobnie nadal darzyła go uczuciem. Być może mieli romans i nie chciała, aby ktokolwiek się o tym dowiedział. Ale może Jackie chciał, żeby z nim uciekła, a w tym czasie Helen miała go już dość i powiedziała mu, że nie wyjedzie, więc... więc ją zabił. I potem zrobił to wszystko, o czym wiemy. Lily w liście do doktora Kenne-dy'ego napisała, że tej nocy przed domem stał elegancki samochód. Było to auto Jackiego Afflicka. A zatem Jackie Afflick też był na miejscu zbrodni. To tylko przypuszczenie - rozważał dalej Giles. - Ale wydaje mi się sensowne. Są jednakże jeszcze listy Helen, które należałoby uwzględnić w naszych rekonstrukcjach. Łamałem sobie głowę nad wymyśleniem „okoliczności”, jak to ujmuje panna Marple, w jakich Helen mogła zostać nakłoniona do

napisania tych listów. Wydaje mi się, że aby to wyjaśnić, musimy przyjąć, iż naprawdę miała kochanka i zamierzała z nim uciec. A zatem przeanalizujmy jeszcze raz nasze trzy możliwości. Najpierw Erskine. Powiedzmy, że nadal nie był gotów porzucić żony czy rozbijać rodziny, ale Helen zgodziła się odejść od Kelvina Hallidaya i pojechać gdzieś, gdzie Erskine mógłby przyjeżdżać i spotykać się z nią od czasu do czasu. Pierwszą rzeczą, którą należało zrobić w takim przypadku, było rozproszenie podejrzeń pani Erskine. Dlatego też Helen napisała kilka listów, które miały w odpowiednim czasie dotrzeć do jej brata i sugerować, że wyjechała z kimś za granicę. To by wyjaśniało, dlaczego Helen starała się otoczyć taką tajemnicą osobę, o którą chodziło.

- Ale jeśli zamierzała porzucić męża dla niego, to czemu ją zabił? - spytała Gwenda.

- Być może dlatego, że nagle zmieniła zdanie. Stwierdziła, że mimo wszystko zależy jej na Kelvinie. Erskine zaś wpadł w furję i udusił ją. A potem zabrał walizkę z ubraniami i wykorzystał te listy.

- To samo można odnieść do Waltera Fane'a. Mam wrażenie, że skandal byłby czymś absolutnie katastrofalnym dla wiejskiego prawnika. Helen mogła się zgodzić uciec gdzieś w pobliże, gdzie Fane mógłby ją odwiedzać, jednocześnie udając, że wyjechała za granicę z kimś innym. Przygotowała listy, ale wtedy, jak sugerowałam, zmieniła zdanie. Walter wpadł we wściekłość i zabił ją.

- A co z Jackie Afflickiem?

- Tutaj trudniej znaleźć uzasadnienie dla listów. Nie sądzę, aby sobie coś robił ze skandalu. Być może Helen bała się, ale nie jego, tylko mojego ojca, i dlatego pomyślała, że lepiej będzie udawać, że wyjechała za granicę... albo może żona Afflicka miała pieniądze, a on chciał je zainwestować w swoje przedsiębiorstwo. Och, jest całe mnóstwo możliwych wyjaśnień dla tych listów. Jak pani sądzi, panno Marple - spytała Gwenda. - Właściwie nie podejrzewam Waltera Fane'a, ale też...

W tym momencie do salonu weszła pani Cocker, żeby posprzątać filiżanki po kawie.

- Ach, właśnie, proszę pani - powiedziała. - Całkiem zapomniałam. Cała ta sprawa z zamordowaniem tej biednej kobiety i fakt, że pani i pan Reed byliście zamieszani... To absolutnie nieodpowiednie dla pani, zwłaszcza teraz. Po południu był tu pan Fane i pytał o panią. Czekał co najmniej pół godziny. Wyglądał, jakby był przekonany, że pani oczekuje jego wizyty.

- Jakie to dziwne - stwierdziła Gwenda. - O której?

- Musiało być już około czwartej lub tuż po. A potem pojawił się kolejny dżentelmen; nadjechał wielkim żółtym samochodem. Myślał, że na niego czekacie. Nie chciał uwierzyć, że to nieporozumienie. Czekał dwadzieścia minut. Zastanawiałam się już, czy może mieliście państwo wydać jakieś popołudniowe przyjęcie i wypadło wam z głowy.

- Nie - zaprzeczyła Gwenda. - Jakie to dziwne.

- Zadzwońmy do Fane'a - zaproponował Giles. - Na pewno jeszcze się nie położył.

Podszedł do telefonu i wykręcił numer.

- Halo? Czy mogę mówić z panem Fane'em? Tu Giles Reed. Słyszałem, że przyszedł pan zobaczyć się z nami dziś po południu... Słucham?... Nie, jestem tego absolutnie pewien... Nie, to bardzo dziwne. Tak, ja też się zastanawiam.

Odłożył słuchawkę. - To dziwne. Zadzwoniono do niego do pracy dziś rano. I zostawiono wiadomość, żeby przyszedł do nas po południu w jakiejś bardzo ważnej sprawie.

Giles i Gwenda popatrzyli na siebie.

- Zadzwoń do Afflicka - zaproponowała Gwenda.

Giles znów podszedł do telefonu, znalazł numer i poprosił o połączenie. Trwało to chwilę, ale w końcu w słuchawce odezwał się głos.

- Pan Afflick? Mówi Giles Reed. Chciałem.....

Najwyraźniej przerwał mu potok słów.

W końcu udało mu się coś powiedzieć.

-Ale to nie my... zapewniam pana... nic z tych rzeczy... Tak, wiem, że jest pan bardzo zajęty. Nie śniłoby mi się... Tak, ale kto mógł do pana dzwonić... mężczyzna? Nie, mówiłem już panu, że to nie ja. Nie... nie. Rozumiem. Cóż, zgadzam się z panem, że to zupełnie niezwykle.

Odłożył słuchawkę i wrócił do stołu.

- Cóż - powiedział. - Ktoś, jakiś mężczyzna, który podał się za mnie, zadzwonił do Afflicka i poprosił go, żeby tu przyjechał. W pilnej sprawie, związanej z dużą sumą pieniędzy.

Popatrzyli na siebie ze zdumieniem.

- To mógł być któryś z nich - zasugerowała Gwenda. -

Nie rozumiesz, Gilesie? Któryś z nich dwóch mógł zabić Lily i przyjechać tu, żeby mieć alibi.

- Trudno to uznać za alibi, moja droga - wtrąciła panna Marple.

- Może nie tyle alibi, co powód, żeby wyjść z pracy. Chodzi mi o to, że jeden mówi prawdę, a

drugi kłamię. Jeden z nich zadzwonił do drugiego i polecił mu tu przyjechać, aby rzucić na niego podejrzenie. Nie wiemy tylko, który. Teraz jest to już wyraźnie rozgrywka między nimi dwoma. Albo Fane, albo Afflick. Ja uważam, że Jackie Afflick.

- A moim zdaniem to Walter Fane - stwierdził Giles. Oboje popatrzyli na pannę Marple.

Pokręciła głową.

- Jest jeszcze inna możliwość - powiedziała.

- Oczywiście Erskine. Giles podbiegł do telefonu.

- Co chcesz zrobić? - spytała Gwenda.

- Zamówić pilną rozmowę z Northumberland.

- Och, Gilesie, nie myślisz chyba...

- Musimy wiedzieć. Jeśli jest w domu, to znaczy, że nie mógł dziś popołudniu zabić Lily Kimble.

Bo przecież nie wchodzi w rachubę żaden prywatny samolot ani inny numer tego typu.

Czekali w milczeniu na połączenie. Kiedy telefon zadzwonił, Giles podniósł słuchawkę.

-Zamawiał pan rozmowę z majorem Erskinem. Proszę mówić.

- Pan... pan Erskine? - zaczął Giles, nerwowo odchrząkując. - Tu Giles Reed. Tak, Reed.

Rzucił rozpaczliwe spojrzenie na Gwendę, która bez trudu odczytała zawarte w nim pytanie: „Co u licha mam teraz powiedzieć?”

Wstała więc i wzięła od niego słuchawkę.

- Major Erskine? Mówi Gwenda Reed. Słyszeliśmy

o... o domu na sprzedaż. Linscott Brake. Czy to... czy może wie pan coś na ten temat? Wydaje mi się, że to blisko pańskiej posiadłości.

- Linscott Brake? Nie, nie sędzę - odparł Erskine. - Nigdy o nim nie słyszałem. Pod jaki podlega urząd pocztowy?

- Trudno odczytać - odparła Gwenda. - Wie pan, jak okropne są kopie, przysyłane przez agentów. Ale podobno jest piętnaście mil od Daith, myśleliśmy więc...

- Przykro mi. Nie słyszałem o takim domu. Kto tam mieszka?

- Och, stoi pusty. Ale nieważne, właściwie... praktycznie się zdecydowaliśmy. Przepraszam, że sprawiamy panu kłopot. Zapewne oderwaliśmy pana od jakiejś pracy.

- Nie, nie robiłem nic ważnego. Takie domowe zajęcia. Żona wyjechała, a kucharka musiała pójść do matki, więc borykam się z różnymi obowiązkami w domu. Obawiam się, że nie jestem specjalnie uzdolniony w tym kierunku. W ogrodzie radzę sobie lepiej.

- Ja też zawsze wolałam pracę w ogrodzie niż w domu. Mam nadzieję, że pańska żona nie jest chora?

- Och, nie. Pojechała z wizytą do siostry. Jutro wraca.

- No cóż, dobranoc i jeszcze raz przepraszam, że zawracaliśmy panu głowę.

Odłożyła słuchawkę.

- Erskine'a to nie dotyczy - stwierdziła. - Jego żona wyjechała, a on zajmuje się domem.

Pozostają więc ci dwaj. Prawda, panno Marple?

Panna Marple robiła wrażenie bardzo poważnej.

- Nie sądzę, moi drodzy - odparła - abyście wystarczająco gruntownie przemyśleli tę sprawę. Mój Boże... jestem naprawdę bardzo zmartwiona. Gdybym tylko wiedziała, co zrobić...

XXIV

Malpie łapy

Gwenda siedziała opierając się łokciami o stół, z brodą wspartą na rozłożonych dłoniach i beznamiętnie przesuwała wzrokiem po resztkach z pospiesznego lunchu. Musi posprzątać, zanieść do kuchni i pozmywać, poustawiać na swoich miejscach i zobaczyć, co mają do jedzenia na kolację.

Ale nie ma powodu do wielkiego pośpiechu. Potrzebowała trochę czasu, żeby sobie poukładać myśli w głowie. Wszystko działa się zbyt szybko.

Wydarzenia poranka, kiedy je wspominała, wydawały się chaotyczne i nieprawdopodobne.

Inspektor Last zjawił się wcześniej, o wpół do dziesiątej. Razem z nim przyjechali detektyw, inspektor Primer z komendy oraz naczelnik policji w hrabstwie. Ten ostatni nie był tu długo.

Inspektor Primer przejął prowadzenie dochodzenia w sprawie zabójstwa Lily Kimble i wszystkich związanych z tym okoliczności.

To właśnie inspektor Primer, człowiek o zwodniczo spokojnym sposobie bycia i łagodnym, przepaszającym głosem, zapytał, czy byłaby bardzo niezadowolona, gdyby jego ludzie trochę sobie pokopali w ogrodzie.

Sądząc z tonu, chodziło mu raczej o dostarczenie jego ludziom zdrowej gimnastyki niż o szukanie ciała, które zostało zakopane osiemnaście lat temu.

- Myślę - odezwał się wówczas Giles - że moglibyśmy podsunąć panu pewne sugestie.

Po czym opowiedział inspektorowi o przemieszczeniu schodków na trawnik i zaprowadził go na taras.

Inspektor popatrzył na zakratowane okno na pierwszym piętrze w rogu domu.

- To, jak sądzę, był pokój dziecienny? Giles potwierdził.

Następnie inspektor i Giles wrócili do domu, po czym dwóch ludzi z łopatami poszło do ogrodu.

- Myślę - odezwał się Giles, zanim inspektor zaczął zadawać pytania - że byłoby dobrze, gdyby wysłuchał pan cfe-goś, o czym moja żona dotychczas nie wspominała nikomu, z wyjątkiem mnie i... jeszcze jednej osoby.

Łagodny wzrok inspektora Primera spoczął na Gwⁿ" dzie. Można było w nim wyczuć lekkie

wahanie. Zastanawia się - pomyślała Gwenda - „Czy na tej kobiecie można polegać, czy też należy do tych, co wymyślają jakieś historie?”

Tak silne było to jej odczucie, że zaczęła od usprawiedliwień.

- Mogłam to sobie wymyślić. Zapewne tak właśnie był^o-Ale wydaje mi się tak okropnie realne.

- A zatem wysłuchajmy tego, pani Reed - powiedział in~spektor Primer ciepłym, kojącym tonem.

I Gwenda zaczęła opowiadać. O tym, jak od pierwszego wejrzenia dom wydał się jej znajomy. W jaki sposób dowiedziała się następnie, że faktycznie mieszkała tu jako dziecko. Jak pamiętała tapetę w pokoju dzieciennym i drzwi łącz^ą-ce jadalnię z salonem i wydawało się jej, że schodki z tarasu na trawnik powinny być w innym miejscu.

Inspektor Primer potakiwał. Nie powiedział, że wspomnienia Gwendy z lat dziecięcych nie są dla niego szczególnie interesujące, ale Gwenda zastanawiała się, czy tak sot>ie właśnie nie myśli.

Wreszcie zebrała się w sobie i przeszła do końcowej kwestii. Jak to nagle, siedząc w teatrze, przypomniała sobie widzianą przez słupki balustrady w Hillside martwą kobietę, leżącą w korytarzu.

- Miała siną twarz, jakby była uduszona, i złotoblond włosy... i to była Helen... Ale to takie głupie, bo ja wcale nie wiedziałam, kim była Helen.

- Naszym zdaniem to po prostu... - zaczął Giles, ale inspektor Primer nieoczekiwanie władczy gestem uniósł dłoń, powstrzymując go.

- Proszę pozwolić, by pani Reed opowiedziała mi to po swojemu.

I Gwenda kontynuowała, zacinając się, z rumieńcami na policzkach, przy dyskretnej pomocy inspektora, czego nawet nie dostrzegła, ponieważ prowadził swoje przesłuchanie w sposób bardzo zręczny.

- Webster? - powiedział w zamyśleniu. - Hm, „Tragedia księżnej Amalfi”. Małpie łapy?

- Ale to był zapewne tylko koszmar senny - wtrącił Giles.

- Panie Reed, proszę...

- To mógł być koszmarny sen - przyznała Gwenda.

- Nie sądzę - stwierdził inspektor Primer. - Byłoby bardzo trudno wyjaśnić śmierć Lily Kimble, gdybyśmy nie przyjęli założenia, że w tym domu zamordowano kobietę.

To stwierdzenie wydało się tak rozsądne i niemal pocieszające, że Gwenda zaczęła pośpiesznie mówić dalej.

- Ale to nie mój ojciec ją zamordował. Naprawdę nie on. Nawet doktor Penrose uważa, że on nie był odpowiednim typem i nie potrafiłby nikogo zamordować. A doktor Kennedy był zupełnie pewny, że on tego nie zrobił, ojcu tylko się tak wydawało. Jak więc pan widzi, był ktoś, kto chciał, aby wyglądało tak, że to mój ojciec zrobił, i my uważamy, że wiemy, kto to był... to znaczy że to jeden z dwóch...

- Gwendo - przerwał jej Giles. - Naprawdę nie możemy...

- Zastanawiam się, panie Reed - powiedział inspektor - czy nie zechciałby pan przejść się do ogrodu i zobaczyć, jak sobie radzą moi ludzie? Proszę im powiedzieć, że to ja pana przysłałem. Zamknął za Gilesem drzwi balkonowe na klamkę i wrócił do Gwendy.

- A teraz proszę podzielić się ze mną wszystkimi swoimi podejrzeniami, pani Reed. I niech się pani nie przejmuję, jeśli nie zawsze będą spójne.

Gwenda wyrzuciła z siebie wszystkie swoje oraz Gilesa spekulacje i przemyślenia, opowiedziała o krokach, jakie podjęli, aby dowiedzieć się możliwie jak najwięcej o trzech mężczyznach, którzy mogli odgrywać rolę w życiu Helen Halliday, jak też o wnioskach, do których doszli, i o telefonach do Waltera Fane'a oraz Jackiego Afflicka, rzekomo od Gilesa, wzywających ich wczoraj po południu do Hillside.

- Ale rozumie pan, panie inspektorze, że jeden z nich mógł kłamać, prawda?

- To jedna z podstawowych trudności w mojej pracy - powiedział łagodnym, dość znużonym głosem inspektor. - Tak wielu ludzi może kłamać. I tak wielu przeważnie to robi... Choć nie zawsze z powodów, o których mogłaby pani pomyśleć. Niektórzy ludzie nawet nie zdają sobie sprawy, że kłamią.

- Czy uważa pan, że jestem jedną z nich? - spytała nieco lękliwie Gwenda.

- Myślę - odparł inspektor z uśmiechem - że jest pani bardzo wiarygodnym świadkiem, pani Reed.

- A czy pana zdaniem mam rację co do tego, kto ją zamordował?

Inspektor westchnął.

- Nie ma żadnego znaczenia, co ja przypuszczam... w każdym razie w mojej pracy. Trzeba wszystko sprawdzić. Gdzie byli, jakie mogą przedstawić dowody na to, co robili. Wiemy z dokładnością do mniej więcej dziesięciu minut, kiedy została zabita Lily Kimble. Między drugą dwadzieścia a drugą czterdzieści pięć. Mógł ją zabić ktokolwiek, a potem przyjechać tu po południu. Nie potrafię znaleźć uzasadnienia dla tych wezwań telefonicznych.

Nie dają one żadnemu z wymienionych przez panią ludzi alibi na porę, kiedy zostało popełnione morderstwo.

- Ale dowie się pan, co oni wtedy robili, prawda? Między drugą dwadzieścia a drugą czterdzieści pięć. Zapyta ich pan?

Inspektor Primer uśmiechnął się.

- Zadamy wszystkie pytania, jakie będzie trzeba, pani Reed, może pani być tego zupełnie pewna. We właściwym czasie. Pośpiech nie jest dobrym doradcą. Trzeba wiedzieć, dokąd się zmierza. Gwenda nagle wyobraziła sobie tę wymagającą cierpliwości, spokojną, pozbawioną sensacji pracę. Bez pośpiechu, nieubłaganą...

- Rozumiem - powiedziała - tak... Pan jest profesjonalistą. A Giles i ja jesteśmy tylko amatorami. Mogło nam się udać przypadkowo na coś trafić, ale właściwie nie wiedzielibyśmy nawet, jak to wykorzystać.

- Coś w tym rodzaju, pani Reed.

Inspektor znów się uśmiechnął. Wstał i otworzył drzwi balkonowe. Już miał zamiar wyjść na taras, kiedy nagle się zatrzymał. Trochę jak wietrzący zwierzynę pies myśliwski - pomyślała Gwenda.

- Przepraszam, że spytam, pani Reed. Czy ta dama to nie jest przypadkiem panna Jane Marple? Gwenda podeszła do drzwi i stanęła przy inspektorze. W końcu ogrodu panna Marple toczyła nadal beznadziejną wojnę z powojem.

- Tak, to panna Marple. Jest tak niezwykle uprzejma, że pomaga nam w ogrodzie.

- Panna Marple - mruknął inspektor. - Rozumiem. Gwenda spojrzała na niego pytająco.

- Ona jest taka kochana - powiedziała.

- To bardzo wysoko ceniona osoba, ta panna Marple - wyjaśnił inspektor. - Ma w garści naczelników policji z co najmniej trzech hrabstw. Nie usidliła jeszcze mojego szefa, ale śmiem twierdzić, że i do tego dojdzie. A więc panna Marple macza w tym palce.

- Podsunęła nam mnóstwo pomocnych sugestii - stwierdziła Gwenda.

- O, nie wątpię. Czy to jej sugestia, gdzie należy szukać zwłok pani Halliday?

- Stwierdziła, że Giles i ja powinniśmy doskonale wiedzieć, gdzie należy szukać - odparła Gwenda. - I myślę, że bardzo głupio, iż sami na to nie wpadliśmy.

Inspektor zaśmiał się cicho, zszedł z tarasu i ruszył w stronę panny Marple.

- Chyba nie byliśmy sobie przedstawieni, panno Marple - powiedział stając obok - ale kiedyś

pułkownik Melrose pokazał mi panią.

Panna Marple wyprostowała się zarumieniona, ściskając w garści wyrwane chwasty.

- Och, tak. Drogi pułkownik Melrose. Zawsze był tak niezwykle uprzejmy. Kiedy...

- Kiedy jeden z parafian został zastrzelony w gabinecie proboszcza. To dość dawne dzieje. Ale od tamtego czasu miała pani i inne sukcesy. Problem z zatrutym piórem w pobliżu Lymstock.

- Wydaje się, że pan o mnie sporo wie, inspektorze...

- Nazywam się Primer. Przypuszczam, że była tu pani bardzo zajęta.

- No cóż, staram się jak mogę pomóc w ogrodzie. Aż przykro, jaki zaniedbany. Ten powój na przykład jest okropny. Jego korzenie - mówiąc to panna Marple spojrzała inspektowskiemu prosto w oczy - sięgają pod ziemią bardzo daleko. Bardzo, bardzo daleko pod warstwą ziemi.

- Myślę, że ma pani absolutną rację - przytaknął inspektor. - Bardzo daleko. Daleko w przeszłość... mam na myśli to morderstwo. Osiemnaście lat.

- A zapewne nawet dłużej - powiedziała panna Marple. - Rozchodzą się pod ziemią... i są strasznie szkodliwe, inspektorze, bo wyciskają życie z ładnych, rosnących tu kwiatków. ..

W tej chwili na dróżce pojawił się jeden z policjantów. Był spocony i miał pobrudzone ziemią czoło.

- Trafiliśmy na... coś, proszę pana. Wygląda, jakby to była właśnie ona.

I od tego momentu, pomyślała Gwenda, ten dzień stał się koszmarny. Nadbiegł Giles, dość blady.

- To... to ona tam jest, zgadza się, Gwendo - powiedział. Potem któryś z policjantów zatelefonował i przyjechał policyjny lekarz, niski, ruchliwy mężczyzna.

I to właśnie wtedy pani Cocker, spokojna, niewzruszona pani Cocker, wyszła do ogrodu, wcale nie wiedzioną cczą ciekawością, jak by można tego oczekiwać, ale wyłącznie po zioła, potrzebne do potrawy, gotowanej na lunch. I ta sama pani Cocker, której reakcją na wiadomość o popełnionym poprzedniego dnia morderstwie była jedynie obawa o wpływ tego zdarzenia na zdrowie Gwendy (ponieważ pani Cocker stała na stanowisku, że po upływie określonego czasu pokój dziecienny na górze powinien mieć lokatora), wszedłszy prosto na makabryczne wykopalisko wpadła w niewiarygodną panikę.

- To zbyt straszne, proszę pani. Kości to coś, czego nigdy nie mogłam znieść. Można powiedzieć, że wszystko, tylko nie kościotrup. I to tu, w ogrodzie, tuż przy mięcie i w ogóle.

Serce mi tak wali... palpacje... z trudem łapię oddech. I jeśli mogłabym mieć taką zuchwałą

prośbę o kropelkę brandy-

Przerażona szlochami pani Cocker i szaropopielatym kolorem jej twarzy, Gwenda pobiegła do barku, naląła do kieliszka trochę brandy i podała gospodyni.

- Tego właśnie mi było potrzeba, proszę pani - powiedziała pani Cocker, po czym nagle głos jej uwiązł w gardle. Wyglądała tak przerażająco, że Gwenda wezwała krzykiem Gilesa, a ten zawołał lekarza policyjnego.

- Jakie to szczęście, że byłem na miejscu - powiedział po jakimś czasie lekarz. - I tak zadziało piorunująco. Bez pomocy lekarza ta kobieta umarłaby natychmiast.

A potem inspektor Primer wziął karafkę z brandy i obaj z doktorem naradzali się nad nią, a inspektor spytał Gwen-dę, kiedy ostatni raz z niej pili.

Gwenda powiedziała, że chyba od kilku dni jej nie ruszali. Nie było ich w domu - pojechali na północ Anglii, a przedtem jeśli pili, to raczej gin.

- Ale niewiele brakowało, a napiłabym się z niej wczoraj -dodała. - Tylko dlatego, że brandy kojarzy mi się z parowcami na kanale, Giles otworzył dla mnie nową butelkę whisky.

- To szczęśliwy traf, pani Reed. Gdyby pani wczoraj wypła, wątpię, czy dożyłaby pani dzisiejszego dnia.

- Giles też był bliski napicia się, ale w końcu wypił ze mną trochę whisky.

Gwenda zadrzała.

Nawet teraz, sama w domu, kiedy policja już odjechała razem z Gilesem, po pospiesznym lunchu, na który zjedli coś z puszek (jako że panią Cocker zabrano do szpitala), Gwenda z trudem mogła uwierzyć w całe to poranne zamieszanie.

Jedno było zupełnie pewne: w domu byli wczoraj Walter Fane i Jackie Afflick. Każdy z nich mógł czymś zaprawić

brandy, a jaki inny cel miałyby te wezwania telefoniczne, jeśli nie stworzenie szansy jednemu z nich do wsypania trucizny do karafki? Gwenda i Giles musieli widocznie dotrzeć niebezpiecznie blisko prawdy. A może jest jakaś trzecia osoba, która zapewne weszła przez otwarte drzwi balkonowe w czasie, gdy czekali z Gilesem u doktora Ken-nedy'ego na Lily Kimble? Ktoś trzeci, kto wymyślił te wezwania telefoniczne, aby skierować podejrzenia na tamtych dwóch?

Ale pomysł z trzecią osobą nie ma sensu - rozważała dalej Gwenda. - Bo ten trzeci z pewnością zadzwoniłby tylko do jednego z nich. Trzecia osoba z całą pewnością wołałaby, żeby był jeden podejrzany, a nie dwóch. A poza tym, kto mógłby być tym trzecim? Erskine był w tym czasie w

Northumberland. Nie, albo Walter Fane zadzwonił do Afflicka i udawał, że telefonował do siebie, albo to Afflick zadzwonił do Fane'a i twierdził, że też otrzymał identyczne wezwanie. Jeden z tych dwóch, a policja - która jest sprytniejsza i ma większe możliwości niż oni z Gilesem - wykryje, który. A na razie obaj będą obserwowani. Nie odważą się... spróbować jeszcze raz. Gwenda znowu zadrżała. Trzeba trochę czasu, żeby się przyzwyczaić do myśli, że ktoś usiłował cię zabić. „To niebezpieczne” - ostrzegała ich od początku panna Marple. Ale ani ona, ani Giles nie potraktowali tego poważnie. Nawet po śmierci Lily Kimble nadal nie przyszło Gwendzie do głowy, że ktoś mógłby próbować zabić ją czy Gilesa. Tylko dlatego, że zanadto zbliżyli się do prawdy o tym, co wydarzyło się osiemnaście lat temu; że mogli wykryć, co się musiało wtedy stać... i kto to zrobił.

Walter Fane i Jackie Afflick...

Który?

Gwenda zamknęła oczy, widząc ich na nowo w świetle tego, czego się ostatnio dowiedziała. Spokojny Walter Fane, siedzący w swoim biurze... blady pająk w samym środku pajęczyny. Taki cichy, taki nieszkodliwy z wyglądu. Dom z zaciągniętymi żaluzjami. Ktoś martwy w domu. Ktoś zmarł osiemnaście lat temu, ale nadal tam jest. Nagle ten spokojny Walter Fane wydał się jej ogromnie niebezpieczny. Walter Fane, który kiedyś rzucił się na własnego brata, chcąc go zabić. Walter Fane, któremu Helen dwukrotnie pogardliwie odmówiła swojej ręki, raz tu, w kraju, a drugi - w Indiach. Podwójna odmowa. Podwójna hańba. Walter Fane, taki spokojny, pozbawiony emocji, który potrafił ujawnić swoją naturę zapewne tylko w nagłym, morderczym ataku - być może tak, jak to kiedyś zrobiła łagodna Lizzie Borden...

Gwenda otworzyła oczy. Przekonała sama siebie, że to Walter Fane był tym mężczyzną, czyż nie?

Ale zaraz. Można zapewne brać pod uwagę także Jac-kie'go Afflicka. Z otwartymi oczami, bez potrzeby ich zamykania.

Jego krzykliwy garnitur w kratkę, jego dominujący sposób bycia - dokładne przeciwieństwo Waltera Fane - nie ma w nim nic stłumionego ani cichego. Ale być może przybrał taką pozę z powodu kompleksu niższości. Tak bywa, jak twierdzą specjaliści. Jeśli człowiekowi brakuje pewności siebie, musi się puszyć, podkreślać swoją wartość, być butny. Został odrzucony przez Helen, bo nie był dla niej dość dobry. Bolesna rana, która się nie zagoiła. Determinacja, żeby się wybić. Prześladowania. Wszyscy przeciw niemu. Wyrzucony z pracy na podstawie fałszywych

oskarżeń, rzuconych na niego przez „wroga”. Z pewnością to dowodzi, że Afflick nie jest normalny. A jakież poczucie władzy taki człowiek potrafi czerpać z morderstwa! Ta jego dobrodusznna, jowialna twarz jest w gruncie rzeczy twarzą okrutną. To człowiek okrutny - a jego blada żona wie o tym i się go boi. Lily Kim-ble zagroziła mu i przypłaciła to życiem. Gwenda i Giles sta-

nęli na jego drodze - a zatem także muszą zginąć, a przy okazji wmiesza w to Waltera Fane'a, który dawno temu zwolnił go z pracy. To się ładnie układa w całość.

Gwenda otrząsnęła się z zamyślenia i powróciła do rzeczywistości. Giles niedługo przyjedzie do domu i będzie chciał się napić herbaty. Musi sprzątnąć i pozmywać po lunchu.

Wzięła tacę, pozbierała naczynia i wyniosła. Kuchnia lśniła od czystości. Pani Cocker to prawdziwy skarb.

Przy zlewie leżała para gumowych rękawiczek chirurgicznych. Pani Cocker zawsze wkłada je do zmywania. Jej siostrzenica pracuje w szpitalu i kupiła te rękawice po obniżonej cenie.

Gwenda włożyła je i zaczęła zmywać. Czemu miałyby nie zadbać o ręce?

Umyła talerze, poustawiała na suszarce, umyła pozostałe rzeczy, wytarła i porządnie poukładała. Następnie, nadal zatopiona w myślach, poszła na górę. Pomyślała, że upierze sobie pończochy i parę sweterków. W rękawiczkach.

Na pozór zajmowała się właśnie tymi sprawami, ale w podświadomości dręczyła ją jakaś myśl.

Walter Fane albo Jackie Afflick, tak zdecydowała. Jeden lub drugi. I dla każdego z nich znalazła całkiem dobre uzasadnienie oskarżenia. Zapewne właśnie to ją naprawdę martwiło. Ponieważ, mówiąc wprost, byłoby o wiele bardziej satysfakcjonujące, gdyby dało się znaleźć dobre zarzuty tylko przeciw jednemu. Powinno już być jasne, który to z nich. A Gwenda nie była pewna.

Gdyby był jeszcze ktoś... Ale nikt inny nie wchodzi w rachubę. Richard Erskine jest poza wszelkimi podejrzeniami. Był w Northumberland, kiedy zamordowano Lily Kimble i kiedy wsypano czegoś do karafki z brandy. Tak, Richarda Erskine'a ta sprawa nie dotyczy.

Cieszyło ją to, ponieważ go polubiła. Był atrakcyjny, bardzo atrakcyjny. Jakie to smutne, że jest żonaty z taką zwalistą kobietą o podejrzliwych oczach i głębokim basie. Całkiem przypominającym głos mężczyzny...

Przypominającym głos mężczyzny...

Przez głowę przeleciała Gwendzie nagła myśl, budząc dziwne wątpliwości.

Głos mężczyzny... Czy to możliwe, żeby pani Erskine, a nie jej mąż, rozmawiała wczoraj przez

telefon z Gilesem?

Nie... nie, na pewno nie. Naturalnie że nie. Zorientowaliby się oboje z Gilesem. A zresztą, zacznijmy od tego, że pani Erskine nie wiedziałyby, kto dzwoni. Nie, oczywiście, rozmawiali z Erskine'm, a jego żona, jak mówił, wyjechała.

Jego żona wyjechała...

Z pewnością - nie, to niemożliwe... Czyżby to pani Erskine? Pani Erskine, szalona z zazdrości? Pani Erskine, do której napisała Lily Kimble? Czyżby to kobietę zobaczyła Leonie w ogrodzie tamtej nocy, kiedy wyjrzała przez okno?

W korytarzu na dole nagle coś trzasnęło. Ktoś wszedł frontowymi drzwiami.

Gwenda wyszła z łazienki na podest i spojrzała nad poręczą. Z ulgą spostrzegła, że to doktor Kennedy.

- Tu jestem! - zawołała.

Ręce trzymała wyciągnięte przed sobą - wilgotne, lśniące, w dziwnym, różowoszarym kolorze.

Coś jej przypominały... Kennedy spojrzał w górę, osłaniając dłonią oczy.

- Czy to ty, Gwennie? Nie widzę twojej twarzy... W oczach mi się mąci.

W tym momencie Gwenda krzyknęła przeraźliwie...

Te gładkie, małe łapy i ten głos w korytarzu...

-To ty - wyszeptała. - Ty ją zabiłeś... zabiłeś Helen... ja... teraz już wiem. To byłeś ty... przez cały ten czas... Ty...

Wchodził po schodach, zbliżając się do niej. Powoli. Wpatrywał się w nią.

- Dlaczego nie zostawiliście mnie w spokoju? - spytał. - Czemu musieliście się w to wtrącić?

Dlaczego ściągnęliście... ją... z powrotem? Właśnie, kiedy zaczynałem zapominać... zapominać.

Ściągnęłaś ją z powrotem... Helen... moją Helen. Wszystko na nowo. Musiałem zabić Lily... a teraz muszę zabić ciebie. Dokładnie tak jak Helen... Tak, dokładnie jak Helen...

Był już blisko niej, wyciągnął przed siebie ręce, sięgając, o czym wiedziała, ku jej gardłu. Ta uprzejma, zagadkowa twarz - ta miła, zwykła twarz starszego pana - ta sama, z wyjątkiem oczu - to nie były oczy człowieka normalnego...

Gwenda cofała się powoli. Krzyk uwiązał jej w gardle. Krzyknęła tylko raz i już więcej nie mogła.

Ale i tak nikt by nie usłyszał.

Nie było w domu nikogo - ani Gilesa, ani pani Cocker, ani nawet panny Marple w ogrodzie.

Nikogo. A sąsiedni dom był zbyt daleko, żeby usłyszano jej krzyk. Zresztą i tak nie mogła

krzyżeć... Była zanadto przerażona. Przerazały ją te potworne, wyciągnięte ku niej ręce...

Mogła się wycofać aż do drzwi pokoju dzieciennego, a potem... a potem... a potem te ręce zacisnęły się na jej szyi.

Żalony, stłumiony jęk wydobył się jej z ust.

Nagle dr Kennedy zatrzymał się i odwrócił, a w tej samej chwili strumień mydlin trafił go prosto w oczy.

Chrapliwie wciągnął powietrze, zamrugał powiekami i zasłonił rękami twarz.

- Jakie to szczęście - odezwał się głos panny Marple, nieco zasapanej, ponieważ wbiegła szybko na górę kuchennymi schodami - że właśnie opryskiwałam mszyce na twoich różach.

XXV

Postscriptum z Torquay

- Ależ to oczywiste, droga Gwendo, że nawet by mi nie przyszło do głowy pójść sobie i zostawić cię samą w domu - wyjaśniła panna Marple. - Wiedziałam, że na wolności jest bardzo niebezpieczna osoba, i dyskretnie obserwowałam dom z ogrodu.

- Czy przez cały ten czas wiedziała pani, że... to on? - spytała Gwenda.

Siedzieli we trójkę: panna Marple, Gwenda i Giles, na tarasie hotelu Imperial w Torquay.

- Zmiana otoczenia - zaleciła tuż po tamtym wydarzeniu panna Marple, a Giles zgodził się, że to będzie najlepsze dla Gwendy. Inspektor Primer ustąpił i natychmiast wyruszyli do Torquay.

- No cóż, moja droga, wiele na niego wskazywało - odpowiedziała panna Marple na pytanie Gwendy. - Choć, niestety, nie było żadnych dowodów. Tylko wskazówki i nic ponadto.

Giles spojrział na nią z zaciekawieniem.

- Ale ja nawet tych wskazówek nie dostrzegam - powiedział.

- Ojej, Gilesie, pomyśl. Zacznijmy od tego, że był na miejscu.

- Na miejscu zbrodni?

- Ależ naturalnie. Kiedy Kelvin Halliday przyszedł do niego do domu, doktor właśnie wrócił ze szpitala. A szpital, o czym mówiło nam kilka osób, mieścił się wówczas w najbliższym sąsiedztwie Hillside, czyli St Catherine's, jak nazywano ten dom. Tak więc, widzicie, był na właściwym miejscu o właściwej porze. A poza tym były setki drobnych, znaczących szczegółów. Helen Halliday powiedziała Richardowi Er-skine, że jedzie poślubić Waltera Fane, ponieważ nie jest szczęśliwa w domu. To znaczy, że nie była szczęśliwa mieszkając z bratem. A przecież brat, według relacji wszystkich, był jej bardzo oddany. Dlaczego więc nie była szczęśliwa? Pan Afflick powiedział wam, że „było mu żal biednego dzieciaka”. Myślę, że mówiąc to był absolutnie szczerzy. Było mu jej żal. Dlaczego musiała potajemnie spotykać się z Afflic-kiem? Przecież najwyraźniej nie była w nim nieprzytomnie zakochana. Czy nie dlatego, że nie wolno jej było spotykać się z młodymi ludźmi w zwyczajny, normalny sposób? Jej brat był „surowy” i „staromodny”. Czy te określenia nie kojarzą wam się trochę z panem Barrettem z Whimpole Street?

Gwenda zadrzała.

- On był szalony - powiedziała. - Szalony.

- Tak - przyznała panna Marple. - Nie był normalny. Uwielbiał swoją przyrodnią siostrę i to uczucie stało się zaborcze i niezdrowe. To się zdarza częściej, niż myślicie. Ojcowie, którzy nie chcą, aby ich córki wychodziły za mąż, a nawet aby spotykały się z młodymi mężczyznami. Jak pan Barrett. Pomyślałam o tym, kiedy usłyszałam o tej siatce do tenisa.

- O siatce do tenisa?

- Tak, wydało mi się to ogromnie znaczące. Pomyślcie o tej dziewczynie, młodej Helen, która wróciła do domu ukończywszy szkołę i jak wszystkie młode dziewczyny była spragniona życia, chciała spotykać młodych mężczyzn, flirtować z nimi...

- Lekko pomyłona na punkcie seksu.

- Nie - zaprzeczyła panna Marple z naciskiem. - To jedna z najpaskudniejszych rzeczy związanych z tym przestępstwem. Doktor Kennedy nie tylko zabił ją fizycznie. Jeśli uważnie prześledzicie, czego dowiedzieliście się o Helen, zobaczycie, że jedyne informacje o niej jako osobie postrzelonej na punkcie mężczyzn czy też... jakiego to określenia użyłaś, moja droga? Ach, tak: nimfomance, pochodzą od samego doktora Kennedy'ego. Myślę, że Helen była absolutnie normalną młodą dziewczyną, która chciała się bawić, miło spędzać czas, trochę flirtować, a wreszcie osiąść gdzieś ze swoim wybrankiem; tylko tyle. I zobaczcie, co zrobił jej brat. Najpierw był surowy i staroświecki, jeśli chodzi o dawanie jej swobody. Potem, kiedy chciała przyjmować gości na korcie tenisowym, co jest przecież najnormalniejszym i zupełnie nieszkodliwym pragnieniem, udawał, że się zgadza, aż pewnej nocy potajemnie pociął siatkę do tenisa na paski, co było bardzo znaczącym sadystycznym postępkiem. Potem zaś, ponieważ nadal mogła wychodzić na tenisa lub tańce, wykorzystał zadraśnięcie na stopie. Leczył je w taki sposób, aby spowodować infekcję, która się nie goiła. Och, myślę, że tak właśnie było... w gruncie rzeczy jestem tego pewna. Zwróćcie uwagę na jedno. Nie sądzę, żeby Helen zdawała sobie sprawę z tego wszystkiego. Wiedziała, że brat darzy ją głębokim uczuciem, nie przypuszczam jednak, żeby rozumiała, dlaczego czuje się niespokojna i nieszczęśliwa w domu. Ale tak właśnie się czuła i w końcu postanowiła wyjechać do Indii, poślubić Waltera Fane. Po to tylko, żeby uciec. Uciec od czego? Otóż, tego nie umiała zdefiniować. Była zbyt młoda i szczerą, żeby to wiedzieć. Wyruszyła więc do Indii. W drodze spotkała Richarda Erskine'a i zakochała się w nim. Jednakże znowu nie postąpiła tak, jak dziewczyna szalona na punkcie seksu, lecz jak osoba wartościowa i godna szacunku. Nie nakłaniała go, żeby porzucił żonę. Wręcz odwrotnie,

mówiła mu, by tego nie robił. Ale kiedy zobaczyła Waltera Fane, zdała sobie sprawę, że nie może wyjść za niego, a ponieważ nie miała co ze sobą zrobić, zatelegrafowała do brata, prosząc o pieniądze na powrót. W drodze do domu spotkała twojego ojca i pojawiła się przed nią kolejna szansa ucieczki. Tym razem taka, która dawała perspektywę szczęścia. Nie poślubiła twojego ojca udając głębokie uczucie, Gwendo. On dochodził do siebie po śmierci ukochanej żony. Ona starała się przezwyciężyć nieszczęśliwą miłość. Mogli sobie wzajemnie pomóc. Myślę, że to istotny szczegół, iż Helen i Kelvin Halliday pobrali się w Londynie i dopiero potem pojechali do Dillmouth powiedzieć o tym doktorowi Kenne-dy'emu. Musiała mieć przeczucie, że to było lepsze rozwiązanie niż jechać do domu i brać ślub w Dillmouth, co w normalnych okolicznościach byłoby zwykłym trybem postępowania. Przy tym nadal twierdzą, że Helen nie wiedziała, przeciwko czemu występuje. Była jednak niespokojna i czuła się bezpieczniej przedstawiając bratu swoje małżeństwo jako/ait accompli.

- Kelvin Halliday odnosił się do doktora Kennedy'ego po przyjacielsku i polubił go. A Kennedy, jak się wydaje, zrezygnował ze swojego dotychczasowego podejścia i robił wrażenie zadowolonego z tego małżeństwa. Młoda para wynajęła sobie tu umeblowany dom. A teraz dochodzimy do bardzo istotnego faktu... do sugestii, że Kelvin był narkotyzowany przez żonę. Są tylko dwa możliwe wyjaśnienia tego, ponieważ było tylko dwoje ludzi, którzy mieli okazję to robić. Albo Helen podawała mężowi narkotyki, ale jeśli tak, to nasuwa się pytanie: dlaczego miałyby to robić? Albo też narkotyki zostały mu przepisane przez doktora Kennedy'ego. Kennedy był lekarzem Hallidaya, czego dowodzi fakt, że Kelvin konsultował się z nim. Ufał wiedzy medycznej swojego szwagra. A sugestią, że żona podaje mu narkotyki, podsunął mu Kennedy.

- Ale czy jakiś narkotyk może spowodować u człowieka halucynacje, iż dusi własną żonę? - spytał Giles. - Chodzi mi o to, że nie ma chyba takiego narkotyku, który wywołuje ten szczególny efekt?

- Mój drogi Gilesie, znowu wpadłeś w pułapkę, jaką jest dawanie wiary w to, co ci powiedziano. Jedynie dr Kennedy twierdził, że Halliady miewał takie halucynacje. Sam Kelvin nie napisał o rym ani słowa w pamiętniku. Miewał halucynacje, to prawda, ale nie wspomina, jakiego rodzaju. Co więcej, śmiem twierdzić, że Kennedy rozmawiał z nim o mężczyznach, którzy dusili żony po przejściu przez taką fazę, jaką przeżywał Kelvin Halliday.

- Doktor Kennedy był naprawdę niegodziwy - stwierdziła Gwenda.

- Przypuszczam - powiedziała panna Marple - że w tym czasie już definitywnie przekroczył granicę między normalnością a szaleństwem. A Helen, biedna dziewczyna, zaczęła sobie z tego zdawać sprawę. To właśnie do swojego brata musiała mówić tamtego dnia, kiedy Lily podsłuchiwała: „Myślę, że zawsze się ciebie bałam”. I to „zawsze” jest tu bardzo istotne. Dlatego postanowiła wyjechać z Dillmouth. Przekonała męża, żeby kupił dom w Norfolk i żeby nikomu o tym nie mówił. Tajemnica, jaką otoczyli fakt kupienia domu, jest wielce wymowna. Helen wyraźnie zależało, żeby ktoś się o tym nie dowiedział, ale to nie pasuje do teorii na temat Waltera Fane'a ani JacLcie'go Afflicka... i z pewnością nie ma związku z Richardem Erskine'em. Nie, to wskazywało na kogoś o wiele bliżej donru. A w końcu Kelvin Halliday, któremu z pewnością ta tajemnica doskwierała i który musiał uważać ją za bezsensowną, powiedział o niej swojemu szwagrowi. Robiąc to, wydał wyrok na siebie i na swoją żonę. Kennedy nie zamierzał bowiem pozwolić Helen odejść

1 żyć szczęśliwie z mężem. Myślę, że początkowo zamierzał po prostu zrujnować narkotykami zdrowie Kelivna. Ale do-

wiedziawszy się, że jego ofiara i Helen zamierzają przed nim uciec, stracił resztki równowagi psychicznej. Zabrał ze szpitala parę rękawiczek chirurgicznych, wszedł przez ogród do St Catherine's, zastał Helen w korytarzu i udusił ją. Nikt go nie widział, nie miał kto go zobaczyć, albo tak mu się zdawało, więc dał się ponieść miłości i szaleństwu, cytując te tragiczne słowa, które zresztą doskonale pasują do sytuacji. Panna Marple westchnęła i cmoknęła z niezadowolaniem.

- Byłam głupia... bardzo głupia. Wszyscy byliśmy głupi. Powinniśmy byli to zrozumieć od razu. Te słowa z „Księżnej Amalfi” stanowiły w rzeczywistości klucz do całej tej sprawy. Mówi je brat, który właśnie uknuł śmierć siostry, żeby się zemścić za jej małżeństwo z mężczyzną, którego kochała. Tak, byliśmy głupi...

- A potem? - spytał Giles.

- Potem zrealizował cały ten diabelski plan. Zaniósł ciało na górę. Zapakował ubrania do walizki. Napisał list pożegnalny, zmiął go i wrzucił do kosza na śmieci, żeby później móc przekonać Hallidaya.

- Ale wydaje mi się - odezwała się Gwenda - że z jego punktu widzenia byłoby lepiej, gdyby mój ojciec został skazany za morderstwo.

Panna Marple pokręciła przecząco głową.

- O nie, nie mógł ryzykować. Jak wiesz, ma bardzo dużo szkockiego sprytu. I ogromny respekt przed policją. Policja bardzo drobiazgowo sprawdza dowody, zanim oskarży człowieka o morderstwo. Policjanci mogli mu zadawać mnóstwo kłopotliwych pytań, dociekać, co robił, kiedy, gdzie. Nie, jego plan był prostszy i, powiedziałabym, bardziej przebiegły. Musiał przekonać jedynie Hallidaya. Po pierwsze, że zabił żonę. I po drugie, że jest szalony. Nakłonił Hallidaya, żeby poszedł do szpitala dla psychicznie chorych, ale nie sądzę, aby naprawdę chciał go przekonać, że to wszystko było złudzeniem. Twój ojciec, Gwennie, przyjął tę teorię głównie, jak

sobie wyobrażam, dla twojego dobra. Nadal jednak był przeświadczony, że zabił Helen. Umarł, wierząc w to.

- To niegodziwe! - zawołała Gwenda. - Niegodziwe, niegodziwe, niegodziwe!

- Tak - przyznała panna Marple. - Nie da się tego chyba inaczej określić. I sądzę, że to dlatego twoje wrażenia, Gwendo, z tamtej nocy były takie silne. W atmosferze tamtego wieczora dominowało prawdziwe zło.

- Ale te listy - przypomniał Giles. - Listy od Helen? Napisane były jej ręką, więc nie zostały sfalszowane.

- Oczywiście, że to było fałszerstwo! Ale tu się właśnie przeliczył. Tak bardzo chciał, żebyście przestali prowadzić wasze dochodzenie. Prawdopodobnie potrafił całkiem nieźle podrabiać pismo Helen, ale nie byłby w stanie oszukać ekspertów. Tak więc próbka pisma Helen, jaką warn przysłał, też nie była napisana przez nią. Sam ją zrobił. I, oczywiście, potwierdzono zgodność.

- Coś takiego! - obruszył się Giles. - Nigdy bym na to nie wpadł.

- Nie - skomentowała panna Marple. - Wierzyliście w to, co warn mówił. A to naprawdę bardzo niebezpieczne wierzyć ludziom. Ja nie robię tego już od wielu lat.

- A brandy?

- Zrobił to tego dnia, kiedy przyjechał z listem od Helen i rozmawiał ze mną w ogrodzie. Czekał w domu, podczas gdy pani Cocker wyszła do ogrodu zawiadomić mnie o jego przybyciu. Coś takiego trwa dosłownie moment.

- Dobry Boże - jęknął Giles. - A potem namawiał mnie, żebym zabrał Gwendę do domu i dał jej brandy, wtedy, kiedy byliśmy na posterunku policji w dniu śmierci Lily Kim-ble. Jak on to zrobił, że spotkał się z nią wcześniej?

- To bardzo proste. W oryginalnym liście, jaki jej posłał, prosił ją, żeby spotkała się z nim w

Wooleigh Camp i przyjechała do Hatchings Halt pociągiem z Dillmouth Junction o drugiej pięć. Prawdopodobnie wyszedł z kępy drzew, spotkał się z nią, kiedy wspinała się ścieżką... i udusił ją. Potem po prostu podmienił listy, zamiast tego, który jej wysłał, podłożył ten, który widzieliście (przedtem prosił ją, żeby zabrała ze sobą list od niego ze względu na wskazówki, jakich jej udzielił na temat drogi), a następnie wrócił do domu, żeby przygotować się na wasze przyście i odegrać tę małą komedię z oczekiwaniem na przyjazd Lily.

- Czy Lily naprawdę mu zagrażała? Z jej listu to nie wynikało. Raczej robiła wrażenie, jakby podejrzewała Afflicka.

- Zapewne tak było. Ale Leonie, ta Szwajcarka, rozmawiała z Lily, a Leonie była niebezpieczna dla Kennedy'ego. Wyrzała bowiem z okna pokoju dziecinnego i zobaczyła, jak kopał w ogrodzie. Rano rozmawiał z nią, powiedział jej bez ogródek, że major Halliday zabił żonę, że był chory psychicznie i on, Kennedy, zacierał ślady dla dobra dziecka. Jeśli jednak Leonie uważa, że powinna pójść na policję, to musi to zrobić. Może to być jednak dla niej bardzo nieprzyjemne... i tak dalej.

- Leonie na dźwięk słowa „policja” natychmiast się przeraziła. Uwielbiała ciebie i bez zastrzeżeń przyjęła, że wszystko, co wymyślił le docteur, 'jest najlepsze. Kennedy zapłacił jej sporą sumę pieniędzy i pośpiesznie odesłał ją do Szwajcarii. Ale zanim odjechała, wspomniała coś Lily o tym, że to twój ojciec zabił żonę i że widziała, jak chowano ciało. To pasowało do ówczesnych poglądów Lily. Przyjęła za pewnik, że Leonie widziała Kelvina Hallidaya kopiącego grób.

- Ale dr Kennedy o tym nie wiedział - podpowiedziała Gwenda.

- Oczywiście że nie. Kiedy dostał list od Lily, przeraził go fragment, gdzie Lily pisała o tym, że Leonie powiedziała jej, co widziała przez okno, a także wzmianka o samochodzie koło domu.

- O samochodzie? Samochodzie Jackie Afflicka?

- Kolejne nieporozumienie. Lily pamiętała albo raczej zdawało się jej, że pamięta stojący na drodze koło domu samochód podobny do tego, jakim jeździł Jackie Afflick. Wyobraźnia podsunęła jej tajemniczego pana, który przyjeżdżał do pani Halliday. Ponieważ jednak w sąsiedztwie był szpital, przy drodze z całą pewnością parkowało wiele samochodów. Musicie jednak pamiętać i to, że faktycznie tej nocy przed szpitalem stał samochód doktora. A zatem zapewne skojarzył, że Lily miała na myśli jego samochód. Określenie „elegancki” nie miało dla niego znaczenia.

- Rozumiem - powiedział Giles. - Tak, dla kogoś z poczuciem winy list od Lily mógł wyglądać

na szantaż. Ale skąd pani wie to wszystko na temat Leonie?

- On przeszedł, no wiecie, ostry kryzys - odparła panna Marple, ściągnając usta. - Kiedy tylko pozostawieni przez inspektora Primera ludzie rzucili się za nim w pościg i złapali go, zaczął ponownie przeżywać całą tę historię - wszystko, co zrobił. Zdaje się, że Leonie umarła wkrótce po powrocie do Szwajcarii. Przedawkowała jakieś pastylki nasenne... Och, nie przegapił żadnej szansy.

- Takiej, jak próba otrucia mnie za pomocą brandy.

- Byłaś dla niego bardzo niebezpieczna, Gwendo. Ty i Giles. Na szczęście nigdy nie opowiedziałaś mu o tym, że widziałaś martwą Helen w korytarzu. Nie wiedział, że był świadek naoczny.

- A te telefony do Fane'a i Afflicka? - spytał Giles. - Czy to on dzwonił?

- Tak. Gdyby było dochodzenie, kto wsypał truciznę do brandy, obaj byłiby doskonałymi podejrzanymi, a jeśli Jackie Afflick przyjechałby samochodem sam, dałoby się go wplątać w morderstwo Lily Kimble. Fane zapewne miałby dobre alibi.

- A wydawało się, że tak mnie lubił - odezwała się Gwen-da. - Małą Gwennie.

- Musiał odgrywać swoją rolę - odparła panna Marple. - Wyobraź sobie, czym to dla niego było. Po osiemnastu latach pojawiliście się z Gilesem, zadając pytania, rozgrzebu-jąc przeszłość, niepokojąc morderstwo, które wydawało się martwe, a było jedynie uspięne... Potwornie niebezpieczna rzecz, moi drodzy. Byłam tym poważnie zmartwiona.

- Biedna pani Cocker - westchnęła Gwenda. - Ledwie się wywinęła śmierci. Cieszę się, że wyzdrowieje. Jak myślisz, Gilesie, czy ona zechce do nas wrócić? Po tym wszystkim?

- Wróci, jeśli będzie lokator w pokoju dzieciennym - odparł poważnym głosem Giles.

Gwenda zarumieniła się, a panna Marple z lekkim uśmiechem na ustach zapatrzyła się przed siebie, na wody Torbay.

- Jakie to dziwne, że to wszystko tak się złożyło - stwierdziła Gwenda z niedowierzaniem w głosie. - Że akurat miałam te gumowe rękawice i patrzyłam na nie, a on właśnie wtedy wszedł i powiedział słowa, które zabrzmiały tak podobnie do tamtych. „Twarz"... a potem „w oczach mi się mąci"... -Wzdrygnęła się.

- „Twarz jej zakryjcie... W oczach mi się mąci... Młodo umarła"... to mogłam być ja... gdyby nie było na miejscu panny Marple.

Po krótkiej chwili dodała:

- Biedna Helen... Biedna kochana Helen, która umarła młodo... Wiesz, Gilesie, jej już tam nie ma, w domu, w korytarzu. Czułam to wczoraj, zanim wyjechaliśmy. Teraz jest to po prostu dom. Dom, który nas lubi. Możemy tam wrócić, jeśli chcemy...